

NAUCZYCIELE RADYKALNIEJSI
NIŻ ZWIĄZKI ZAWODOWE

MAŁA MAŁPKA,
DUŻY PROBLEM

ANNA GORNOSTAJ
AKTORKA NA SWOIM

100 TWARZY
WĘDKARZY

NUMER NA WIELKANOC

Prof. Tadeusz Bartoś

UWIEDZENI PRZEZ ZAKON

CO SIĘ DZIEJE
ZA KLASZTORNĄ
FURTĄ

TEATR KOMEDIA

Instytucja
Kultury
m.st. Warszawy

Terence Frisby

Powiedźmy miłość

/Funny About Love/

Tłumaczenie - Elżbieta Woźniak
Reżyseria - Tomasz Dutkiewicz
Scenografia - Wojciech Stefaniak

Money!

I love
you...

Baby?

Premiera
4 maja
2019

Joanna Koroniewska
Marta Wierzbicka
Mateusz Banasiuk
/Mikołaj Krawczyk
Jan Jankowski
/Tomasz Dutkiewicz

www.teatrkomedia.pl



eBilet.pl

naszemiasto.

Party

flesz

RADIO 103FM
kolor!

P
Przeład

eprasa.pl ff9eab364f

CYTATY

BP PIOTR JARECKI,
warszawski biskup
pomocniczy

*Między politykiem
a hierarchą zawsze musi
iskrzyć. Zawsze musi być
konflikt.*

„Rzeczpospolita”

ALAIN DUHAMEL,
eseista francuski

*Znakiem szczególnym
naszych czasów jest nie
przemoc, lecz nienawiść.*

„Forum”

STANISŁAW TYM,
reżyser, aktor, satyryk

*Do negocjacji wystawiono
wicepremiera Szydło,
która dostała partyjne
zadanie, by z ZNP się nie
porozumieć. Wywiązała
się perfekcyjnie.*

„Polityka”

MONIKA SZNAJDERMAN,
założycielka

Wydawnictwa Czarne

*Odkąd mamy rządu PiS,
nakłady niektórych książek
bardzo nam wzrosły.*

„Press”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Zadecydują rodzice

Nie damy wam pieniędzy i co nam zrobicie? Takiego stosunku polityków PiS do nauczycieli można było się spodziewać. Przecież nikt przytomny nie wybrałby do negocjacji ze związkami nauczycielskimi Beaty Szydło. Specjalistki od wypłacania sobie i swoim po uważaniu gigantycznych premii. Bo takie im się po prostu należały. A nauczycielom należy się tylko co łaska. Tyle ile pokornie przyjął Ryszard Proksa, szef nauczycielskiej Solidarności. Pierwszy na taką skalę solidarnościowy łamistrąk. Modelowa rządowa przystawka. Guzikiewicz i Proksa to dziś znaki firmowe tego, co zostało ze związku zawodowego, który jeszcze jedzie na historycznym sztyldzie. I występuje jako dekoracja na mszach, pokropkach, zgromadzeniach PiS czy IPN.

Rząd i Solidarność to dziś jedna drużyna. Grają na tę samą melodię. Dyrygenta też mają wspólnego. Wspólnie udają, że negocjują. Że najważniejsze jest dla nich dobro dzieci. Podobnie było przy sejmowym strajku rodziców i dzieci niepełnosprawnych.

Gdyby nie strajki, prezes Kaczyński nie miałby okazji spojrzeć w oczy krowom i świniom. I obiecać nowych dopłat. Tym razem z pieniędzy Unii, która o tym, że ma dać, dowiedziała się z telewizji. Strajki potwierdzają, że tylko związki zawodowe mogą skutecznie walczyć o prawa pracownicze. Pracownicy słabo zorganizowani są dla władzy zaledwie petentami. Skoro OPZZ, ZNP i innym strukturom związkowym obrona pracowników idzie tak ciężko, bez nich nie byłoby nawet o czym mówić.

Na zmianę stosunku rządu do nauczycieli mogą teraz wpłynąć tylko rodzice dzieci. Jeśli zacisną zęby i poprą ten strajk, to i rząd znajdzie drogę do porozumienia. I to jest temat do rozmów przy wielkanocnych stołach.



życzy zespół PRZEGLĄDU

DRODZY CZYTELNICY, DZIĘKUJEMY, ŻE JESTEŚCIE Z NAMI

FAUL

Prawda o szczęce?

Gdy Jan Rulewski zapowiedział szczery wywiad, liczyliśmy, że nareszcie opowie, jak to naprawdę było w marcu 1981 r. Strajk okupacyjny Solidarności w Bydgoszczy. Interwencja milicji. I zdjęcia Rulewskiego bez zębów. Makabra. Rulewski udzielał licznych wywiadów i demonstrował brak użębienia. Władze mówiły coś o sztucznej szczęce, która mu wypadła, jak go szarpali. Ale kto by im wierzył? I ta historyjka żyje do dziś. Niestety, Rulewski nie stanął w prawdzie. Zamiast tego stanął na gardle Janusza Zemkego. Najuczciwszego polityka w regionie – w tym samym, z którego startuje Rulewski, tak chętnie opowiadający o etosie.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Uwiedzeni przez zakon**
– rozmowa z prof. Tadeuszem Bartosiem
- 14 Strajk nauczycieli – wieści z pola bitwy**
- 16 Z pistoletem strajkowym u skroni**
– rozmowa ze Sławomirem Wittkoviczem
- 20 Pomagają innym, pomagają sobie**
Być wolontariuszem
- 22 Głupio się przyznać,
że jest się wykluczonym**
Ściana wschodnia
bez transportu publicznego
- 26 Mała małpka, duży problem**
Do torebki i kieszeni

ZAGRANICA

- 30 Cicha bitwa o święte miasto**
Przejmowanie Jerozolimy
- 34 Uczniowie gorszego Boga**
Korespondencja z Berlina
- 38 Nowe zielone porządki**
Polityka, która zmieni USA
- 54 Szczątki z World Trade Center**
Tajemnicze śmierci
- 58 World Press Photo**

SYLWETKI

- 40 Z miłości do wolnego rynku**
Bołączki ministra Kuronia

KULTURA

- 44 Aktorka na swoim**
– rozmowa z Anną Gornostaj
- 48 Kulturalia**
- 66 Krzysztof Żuczkowski**
Galeria w zaułkach

OPINIE

- 50 Radosław S. Czarnecki**
Złudzenia upupionej inteligencji

OBSERWACJE

- 52 Życie z haczykiem**
– rozmowa z Krzysztofem Szymańskim

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Zadecydują rodzice
- 19 Bronisław Łagowski**
Machiavelli – cynik czy demaskator?
- 29 Jan Widacki**
Raz jeszcze o tzw. reformie nauki
- 33 Roman Kurkiewicz**
Pierwsze Powstanie Warszawskie
- 37 Tomasz Jastrun**
Tuczenie gęsi
- 47 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Sto najdziwniejszych książek świata
- 51 Edward Mikołajczyk**
Siódme: nie kuś złodzieja!



20

KRAJ

**POMAGAJĄ INNYM,
POMAGAJĄ SOBIE**
Być wolontariuszem



34

ZAGRANICA

UCZNIOWIE GORSZEGO BOGA
Korespondencja z Berlina



KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI
Galeria w zaułkach

66

KULTURA

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. FOTOLIA



NOWA HUTA –
ma już 70 lat,
nie wali się i nie pęka

**SZWAJCARSCY
GWARDZIŚCI**
podrywani przez kardynałów

SZAŁ TELETURNIEJÓW

**WYDRUKUJ MI
TRZUSTKĘ!**

✉ **Nauczyciele bez przywilejów**

Jestem emerytowaną nauczycielką. Uczylałam od roku 1963 do 2005. Skończyłam pedagogikę szkolną na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Miałam różnych ministrów oświaty. Jeden nawet groził nauczycielom laską. Jednak obecna pani minister jest nie do przebicia. Kiedy w roku szkolnym 1963/1964 zaczynałam pracę, nie płaćliśmy podatku od naszych niewielkich pensji, mieliśmy również obiecanie 15% dodatku do emerytury, bo mało zarabiamy. W czasie zmian na lepsze i gorsze zabrali nam oba przywileje. Niestusnie i bezprawnie – raz nabyte prawa nie powinny być odbierane. Były to lata 80. lub 90. Wtedy przeszło to bez echa. Nikt nie protestował. Ja też nie zwróciłam na to uwagi – wszystko składałam na karb młodości i zakochania w zawodzie.

Elżbieta Więckiewicz-Kwiatkowska, Zabrze

f Tania siła robocza

Po co uczyć przyszłych lekarzy czy inżynierów? Wystarczy sprzedawać ludziom więcej piersiówek, i to w 40 smakach. Mądry naród to silny naród, czyli samodzielnie myślący. Jest to niebezpieczne, bo zacznie odróżniać demokrację od despotyzmu. A niemyślące społeczeństwo bardzo chętnie przyjmuje rozdawane własne pieniądze.

Zygmunt Białka



To kolejna forma walki z inteligencją i celowe oglupianie narodu przez różne odłamy neoliberalizmu. Ma być dur-niej. I tak od trzech dekad. Nauczycieli powywieszać, na odcinek rzucić Pawłowicz z Rachoniem.

Radostaw Orzeł

Nauczałam 36 lat. Byłam aktorką, filologiem, psychologiem, lekarzem, sędzią, organizatorką imprez, przewodnikiem, nianią, policjantem i mamą. To wszystko za grosze, kosztem własnego czasu teoretycznie wolnego od pracy. Latem urlop, bo nasza praca jest uznawana za trudną emocjonalnie. To nie kopanie rowów ani sprzątanie pomieszczeń biurowych. My kształcimy, nauczamy i wychowujemy – często w zastępstwie rodziców – przyszłość. Pozdrawiam nauczycieli z Polski. Jesteśmy z wami solidarni.

Halina Boravska-Maldzis, Wilno

f Nie czytać – źle, czytać – jeszcze gorzej

Pięknie jest mieć całą bibliotekę książek wartych wracania do nich. Ale co robić z taką biblioteką przy ciągłych zmianach wynajmowanych mieszkań? W dobie internetu, bibliotek, internetowych czytelni, e-booków? Spodziewam się w nadchodzącym sezonie torebek udających książki. *Signum temporis.*

Michał Abramowicz



ZDJĘCIE TYGODNIA

Bojownicy Państwa Islamskiego oraz talibowie ujęci podczas operacji w prowincji Nangarhar w Afganistanie – mieli broń, amunicję oraz materiały wybuchowe.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Czy NSZZ Solidarność stać na niezależność od rządu?

MAŁGORZATA AULEJTNER,
pielęgniarka i działaczka OZZPiP

To niemożliwe w przypadku tuzów Solidarności. Od wielu lat są tak bardzo politycznie umoczeni, że nie ma dziś żadnej możliwości tego w nich zmienić. Tak zwane doły związkowe to trochę inna bajka, bo często ich los zależy wyłącznie od nich samych i żadna centrala im nie pomoże.

CEZARY MIŻEJEWSKI,
były poseł PPS, działacz związkowy i spółdzielczy

Przy okazji porozumienia podpisanego niedawno przez przedstawicieli Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania z rządem rzeczywiście widać było nacisk polityczny. Wytworzył go zresztą sam przewodniczący Piotr Duda, który nie mógł strawić inicjatywy innej centrali związkowej, zwłaszcza że w środowisku nauczycielskim Solidarność zawsze była dużo słabsza. Wprawdzie obecna porażka jest dotkliwa wizerunkowo, jednak nie jest wyrazem postawy całego związku. Przecież to Solidarność od dłuższego czasu toczy bój o całą sferę budżetową. Wzrost minimalnego wynagrodzenia, zmiany w emeryturach, ograniczenie pracy w niedzielę czy podniesienie rangi dialogu spo-

łecznego to jednak dość realne sukcesy. I powiem szczerze, że mało mnie obchodzi, czy osiągnięto je we współpracy z rządem, czy nie. Pytanie, jakie należy sobie zadać, brzmi: jak bardzo związek będzie ulegać w takich sytuacjach jak konflikt w oświacie, a jak bardzo będzie to robił rząd. Czas pokaże.

DARIUSZ STANDERSKI,
prawnik i ekonomista, dyrektor programowy Wiosny

Tylko 10% pracujących Polek i Polaków zapisało się do jakiegoś związku zawodowego. Liczba związkowców zmniejsza się co roku. Polacy unikają związków zawodowych z powodu braku zaufania oraz braku poczucia wpływu na warunki pracy. Postępujące upolitycznienie części związków zawodowych przynosi im bieżące korzyści, ale w dłuższej perspektywie może prowadzić do zmierzchu idei uzwiązkowienia. Należy wyraźnie oddzielić działalność związkową od politycznej, np. uniemożliwiając pełnienie jakichkolwiek funkcji związkowych czynnym politykom. Przypadek Ryszarda Proksy to patologia, na którą system prawny nie powinien być pozwoląć. Czas odebrać politykom związkowe zabawki i należy to zrobić odgórnie,

jeżeli chcemy uniknąć jedynie pozorowanych działań.

Czytelnicy PRZEGLĄDU



ANDRZEJ B. IZDEBSKI

Każda organizacja to ludzie. Znamy przywódców obecnej Solidarności i dlatego zupełnie nie rozumiem pytania o to, „czy ich stać”. Przecież jeśli się nie chce, to taka opcja w ogóle nie wchodzi w rachubę. Obecna Solidarność jest tylko przybudówką PiS.

JERZY PAJDO

Oczywiście, ale nie od tego rządu.

OLAF SWOLKIEN

Wszystkie związki są słabe, brakuje w nich szczerzej dyskusji, rzetelnej analizy dokonań, działacze raz wybrani trwają na posadach do emerytury, największą popularność osiągają ci, którzy potrafią grać na emocjach, a nie formułować przemysłane postulaty. Jest też wielka niechęć Polaków do zapisywania się gdziekolwiek i systematycznego płacenia składek. Dopóki to się nie zmieni, związki będą słabe, a w konsekwencji zależne.

Not. Michał Sobczyk

UWIEDZENI PRZEZ ZAKON

Co się dzieje za klasztorną furką

Rozmawia Rafał Pikuła

Skąd pomysł napisania tej książki? Po co panu postać Jana/Benedykta? Nie można było napisać wprost o swoich przeżyciach w klasztorze?

– Wystąpiłem z zakonu dominikanów w 2007 r. Jakies dwa lata później zacząłem spisywać swoje doświadczenia z tego 20-letniego okresu życia. Robiłem to dla siebie, miałem poczucie, że z czasem mogę wiele zapomnieć. Po kilku latach wróciłem do notatek. Pomyślałem, że dobrze byłoby je ubrać w formę powieści, a nawet gdzieś wydać. No i udało się. W tym, co piszę, od lat jestem otwarcie krytyczny wobec Kościoła katolickiego. Natomiast poprzez fikcyjnego bohatera Jana (który przybiera zakonne imię Benedykt) mogłem w jednej osobie zmieścić więcej historii. Moje losy nie są aż tak bogate.

„Mnich” nie przypomina jednak klasycznej powieści. Nie ma tu rozbudowanych wątków, zwrotów akcji, dialogów, to bardziej fabularyzowany esej.

– To raczej styl refleksyjno-wrażliwy. Moim ideałem powieściopisarza jest Marcel Proust z jego rytmem opowieści. Może jest więc w „Mnichu” trochę z Prousta?

Zakony to zamknięte grupy o archaicznej strukturze władzy. Zakonnik jest własnością zakonu.

O psychologicznych mechanizmach zakonnego zniewolenia pisałem w tekstach analitycznych, esejach i felietonach. Pomyślałem, że gdy opowiem historię konkretnego człowieka, będzie to bardziej przystępne i dotrze do szerszego grona odbiorców. Naukowe mówienie o psychologicznych mechanizmach uwikłania to coś innego niż pokazanie konkretnych przykładów z życia. Żywy bohater przemawia bezpośrednio.

20 lat w zakonie to dość czasu, by poznać psychologię grup zamknię-



TADEUSZ BARTOŚ

– filozof i teolog, publicysta, 12 lat temu opuścił zakon dominikanów. „Mnich” jest jego debiutem literackim.

tych. Zastanawia mnie, czego pan nie wiedział, wstępując do klasztoru. Chyba proste usprawiedliwienie, że było się głupim i naiwnym, nie wystarczy?

– Wstąpiłem do zakonu w latach 80. W tamtych szarych czasach to Kościół wydawał się czymś kolorowym, do tego ostoją wolności myśli, słowa. Panowała pustynia duchowa, a w kościołach spotykali się nasi intelektualści, opozycjoniści, wierzący

rzyć, że Jezus pociągał bardziej niż kobiety. Mając 20 lat, chce się pić wino, tańczyć, słowem – grzeszyć.

– Jak się jest młodym, to się jest idealistą, niektórzy tak mają. Kobiety pociągają, równocześnie jednak od osób, którym się ufa, dostaje się sygnał, że jest coś doskonalszego. Że warto. Kaznodzieje tacy jak Jan Góra pięknymi słowami przekonują do chrześcijańskiego życia, pośrednio do zakonnego. I kwiat młodości męskiej z Poznania co roku przywdziewa habit. Tylko tak się mówi, że młody człowiek ma wiele dróg do wyboru. W rzeczywistości idzie się za tym, co się w życiu spotyka, co się pojawia jako realna możliwość. Miałem wielu znajomych, którzy kręcili się przy środowisku dominikańskim, część z nich też wybrała habit. Pamiętam, jak na obłóczynach jednego kolegi znajoma dziewczyna strasznie płakała. Ktoś ją zapytał, czy jest w tym koledze zakochana. Odpowiedziała, że nie, ale się wzruszyła, bo dla niej to jakby pogrzeb, jakby on umarł.

Ona jedna wiedziała. Jak rozumiem, w pana przypadku powołanie było nie tyle do stanu duchownego, ile do zgromadzenia dominikanów.

i niewierzący. U dominikanów w Poznaniu można było zobaczyć sztuki Teatru Ósmego Dnia, pojawiali się wielcy opozycjoniści. Działo się! Chodziłem wtedy do liceum muzycznego, więc byłem wrażliwy na piękną muzykę na mszach dla młodzieży, podniosłość i splendor. Chciało się tam być. Czuło się, że życie w klasztorze jest ciekawsze, bogatsze. Po latach zrozumiałem, że była to forma uwiedzenia poprzez fascynację. Kazania mogą być mądre, koncerty wzruszające, ale trudno mi uwie-

Inne zgromadzenie nie było brane pod uwagę?

– Tak, chodziło o dominikanów. Nie podobał mi się kler diecezjalny, styl bycia, manieri raczej odpychające. Chciałem być nie księdzem, ale dominikaninem. Ten zakon miał pewne odrębności, taki był fajny, fajowy – można by powiedzieć, niezapyziały. Fascynowała mnie filozofia, a u dominikanów wykładali ją najciekawsze postacie polskiej filozofii w tamtym czasie, choćby Klemens Szaniawski, Barbara Skarga, Teresa Hołówa czy Władysław Stróżewski.

Czyli trochę pycha. W książce czytamy: „Świeżo upieczony mnich Benedykt marzył w skrytości serca, że kiedyś zostanie prawdziwym mistrzem, że goście kartazji i bracia będą po cichu o nim mówić, że jest wzorem życia duchownego”. Pan też chciał być takim podziwianym mistrzem?

– To jest bohater książki. Ja niekoniecznie, odgrywanie roli guru dosyć wcześniej zaczęło mnie drażnić. Widziałem to natomiast wokół siebie. Takie nastawienie, żeby przywdziać szatę oświeconego kierownika. Zakonnik staje się autorytetem ponad miarę i nawet nie jest ważne, co mówi, nie podlega to krytycznej ocenie. Zaczarowanie nieco archaicznym strojem zakonnika, atmosferą miejsca, klasztoru, pobożnych gestów, uśmiechów. Do tego jeszcze namaszczony ton kazań.

W latach 90. kimś takim był dominikanin Marie-Dominique Philippe, założyciel zgromadzenia małych braci we Francji. Przyjeżdżał do Polski na rekolekcje, konferencje. Zapraszali go zafascynowani nim polscy dominikanie. Kościół pełny, cały Kraków wstuchany w słowa mistrza duchowego. Po latach okazało się, że ten wielbiony duchowny był przestępcą seksualnym. On i jego brat Thomas Philippe regularnie, przez lata, wykorzystywali seksualnie zakonnice. To byli wielkiej klasy oszuści i manipulatorzy. Zmarli, nie doczekawszy się osądzenia. Podobnie jak Marcial Maciel Degollado cieszyli się wielkim zaufaniem Jana Pawła II.

Dlaczego tak późno odkryto te przestępstwa? Dlaczego współbracia nic nie zauważyli?

– Zakony to zamknięte grupy o archaicznej strukturze władzy. Zakonnik jest własnością zakonu.

To, co robi, gdzie mieszka – wszystko wymaga zgody przełożonych. Jego pozycja jest taka jak kobiet, dzieci, niewolników w patriarchalnej rodzinie czy chłopów w systemie pańszczyźnianym. Taki system społeczny istnieje współcześnie w tradycyjnym islamie. Kiedyś było tak wszędzie. Świat na Zachodzie się zmienił, zakony się nie zmieniły. W zakonie każda rzecz wymaga

Najważniejszą regułą jest posłuszeństwo. Ślubują je duchowni, zakonnice, zakonnicy.

zgody przełożonego, także wyjście z klasztoru, aż do najdrobniejszych szczegółów. Różnie jest to rozwiązywane i przestrzegane, ale sama reguła pozostaje niezmienna. Najważniejszą regułą w takim systemie jest posłuszeństwo. To posłuszeństwo ślubują duchowni, zakonnice, zakonnicy. Całego tego kontekstu społecznego kandydaci do zakonów nie rozumieją. Na samym początku działa sprawny mechanizm uwodzenia: młodym ludziom mówi się, że są powołani, wyjątkowi, wybrani. Silne dawki wyróżnienia, dowartościowania, poczucia uczestnictwa w wielkości duchowej misji. Gdy ma się 20 lat, wierzy się w to, co mówi ci, których obdarza się zaufaniem. Myślenie krytyczne musi mieć podstawy. Te zaś przynosi dopiero doświadczenie życiowe.

Uwielbiany Marie-Dominique Philippe, założyciel zgromadzenia małych braci we Francji, był przestępcą seksualnym.

Brakuje wiedzy, doświadczenia. Nie zna się za dobrze swoich praw.

– Kto jako nastolatek czyta i rozumie Powszechną Deklarację Praw Człowieka? A ona to mówi – że człowiek ma niezbywalne prawa do wyboru miejsca, w którym żyje, wykonywanego zawodu, religii, którą wyznaje. Nie może tych praw się wyzbyć, nawet gdyby podpisał papiery, że sprzedaje się w niewolę albo że zawsze we wszystkim będzie słuchał przełożonego zakonnego. Podstawowe prawa człowieka są łamane w systemie prawnym katolicyzmu. Możesz przez dużą część życia wykonywać jakąś pracę – np. wyklądać na danej uczelni etykę – ale z dnia na dzień cię przenoszą i nie masz nic do

powiedzenia. Jesteś współczesnym niewolnikiem.

Przypominam, że w ciągu wieków zmieniały się systemy zależności. Upadł feudalizm, kobiety uzyskały prawa wyborcze, wykształcenie, własne dochody, prawa reprodukcyjne i stały się niezależne, tymczasem struktura zakonna utrzymuje archaiczne formy zależności jak w rodzinie patriarchalnej. Ten kościelny system

prawny jest tolerowany wewnątrz struktur nowoczesnego państwa. Myślałem nawet, by zaskarżyć to

w jakichś trybunałach praw człowieka. Ale taka sprawa jest bez szans. Zbyt wielki byłby ambaras.

Chciał pan reformować Kościół od środka?

– Moje książki o katolicyzmie przedstawiały różne nurty teologiczne, w Polsce nieznane. Chciałem, żeby wiedzano, że niekoniecznie trzeba tak myśleć o Kościele jak Jan Paweł II i polski kler. To spotkało się z murem negacji i krytyki, więc było nieskuteczne. Później już nie zajmowałem się reformą Kościoła. Przeglądając mu się z zewnątrz, coraz wyraźniej widziałem jego negatywny wpływ na funkcjonowanie demokracji w Polsce. Jego szkodliwość. Raczej więc osłabienie Kościoła, marginalizację uznałem za ważny interes społeczny. Osłabienie jego wpływu na państwo, prawodawstwo i szkolnictwo. Struktura kleru

jest oligarchiczna, funkcjonuje jak zamknięta grupa skupiona na ochronie własnych interesów. Ta oligarchiczna mentalność roznosi się po polskich miastach, miasteczkach i wsiach. Mamy słabe państwo, na wszystkich szczeblach zależne od opinii, a niekiedy kaprysów kleru.

Element zniewolenia wewnątrz tej oligarchicznej grupy wydaje mi się najbardziej oburzający. Za młodymi ludźmi idącymi do zakonu drzwi zatraskują się, zanim ci się zorientują – jeśli w ogóle się zorientują – bo złożyli śluby wieczyste.

Przecież nikt nikogo na siłę nie trzyma w Kościele. Bez przesady!

– Dla ludzi religijnie indoktrynowanych, że to zdrada, zaprzaństwo, ▶

▶ odejść, zrzucić habit jest rzeczą trudną do zniesienia, psychicznie, moralnie. Dlatego wielu pozostaje z tych względów w zamkniętym świecie kleru – bo nie mają odwagi, siły ani środków, by z takiej pułapki się wyrwać. Jeśli nie mają siły, racjonalizują to sobie, używając języka religijnego. Żeby konflikt poznawczy wyparował z głowy. Mamy cały arsenał takich zabiegów racjonalizujących. Jeżeli ktoś ma wątpliwości, mówi mu się, że Bóg wystawia go na próbę wierności, że to „ciemna noc duszy”, jak u mistyków karmelitańskich (więc jest super), że Jezus też został wystawiony na próbę, a św. Piotr upadł. Przekonuje się, że to chwilowy

nym miłosierdziu nie pozwoliłby na wieczne cierpienie człowieka.

– Katolicyzm głosi dziś doktrynę sprzeczną ze swoją tradycją dogmatyczną. Jest niespójny. Sobór florencki w XV w. stwierdzał wieczne potępienie tych, którzy nie ochrzczają się przed śmiercią. Do dziś umierający w grzechu ciężkim są skazani na karę wiecznego cierpienia. W wyobraźni chrześcijańskiej funkcjonuje fantazmat wiecznego cierpienia ludzi jako czegoś sprawiedliwego. Tu sadystyczne skłonności niewątpliwie mogą zostać zaspokojone. Człowiek jest zły – chyba że będzie wypełniał wskazania Kościoła. Wtedy z kolei jest czysty i doskonały – w stanie



niewiele tak naprawdę wiadomo. Jezusa nie da się więc rzetelnie „odkleić” od Kościoła. Choć można to robić nierzetelnie, wybierając sobie jakieś wzniósłe wskazówki z tekstów Ewangelii na własne potrzeby. Wybieranie wedle własnego uznania,

Praktyka spowiedzi przed 14.-15. rokiem życia jest sprzeczna z prawem kanonicznym, poza tym jest okrucieństwem.

kryzys, trzeba tylko się modlić i ufać Panu. Gdy to nie skutkuje, jest presja społeczna, infamia. Opuszczającego stan duchowny wykreśla się z kręgu ludzi, którym podaje się rękę, i pozostawia samemu sobie.

Lepiej słuchać przełożonych, modlić się i pracować, bo potem są problemy. Jak z Bartosiem, który za dużo myślał i wymyślił sobie odejście. Jeszcze o tym książki pisze.

– Analizowałem starannie strukturę funkcjonowania kleru katolickiego. Wnioski mam niezbyt wesołe – ma ona wiele elementów psychomanipulacji charakterystycznych dla sekt. Już św. Paweł pisał, że człowiek rodzi się zły i tylko poprzez chrzest, czyli włączenie się do Kościoła, staje się czysty i może być szczęśliwy. To gruba manipulacja samooceną. Chrześcijaństwo to zorganizowana grupa, która pod płaszczykiem słów o miłości poniża ludzi, imputując im jakieś kosmiczne zło. Faktycznie są to akty nienawiści wobec ludzkiego życia. Nienawiść do siebie samego – to jeden z efektów chrześcijańskiego „wkręcania” ludzi. Bez Boga, bez Kościoła człowiek jest gruntownie zepsuty, nic niewarty. Cała wartość ludzkiego życia zostaje wyeksportowana na instytucję kościelną.

Sobór Watykański II trochę złagodził tę retorykę. Nie trzeba być wierzącym, żeby być zbawionym. Są też teorie teologiczne mówiące, że choć piekło istnieje, pozostaje puste, bo Bóg w swoim nieskończono-

ści. Te skrajności kształtują specyficzną psychikę, miotaną ekstremami. Dzieci w Polsce pierwszą spowiedź odbywają przed 10. rokiem życia – dowiadują się wtedy, jakie są złe, jak na różne sposoby mogą źle postępować. I to w okresie życia, kiedy nie umieją jeszcze kierować swoim postępowaniem, nie mogą więc podlegać żadnej formie sądu, a spowiedź jest formą sądu religijnego. Praktyka spowiedzi przed 14.-15. rokiem życia jest w gruncie rzeczy sprzeczna z prawem kanonicznym, poza tym jest nieludzkim okrucieństwem. Nie można osądzać dzieci przed okresem, kiedy zaczynają – jak to się mówi potocznie – używać rozumu. Mamy więc inicjację

Człowiek jest zły – chyba że wypełnia wskazania Kościoła. Wtedy jest czysty i doskonały – w stanie łaski.

znaczącej części populacji dzieci w uzależniające i destrukcyjne praktyki, głęboko osadzające w psychice ofiar poczucie winy. Łatwo takimi ludźmi sterować, także gdy będą już dorośli. To jak wszczepienie niewidzialnego czipa. A pilot pozostaje zawsze na plebanii.

Są tacy, którym taka narracja przeszkadza, mówią zatem: Jezus tak, Kościół nie.

– Obraz Jezusa został wytworzony przez Kościół, teksty Ewangelii powstały 40 lat po śmierci Jezusa. O samym Jezusie historycznym

co komu pasuje, z mojego punktu widzenia jest godne pochwały. Ujawnia się w tym ludzka wolność, poczucie, że mój osąd ma wartość i mogę się trzymać własnego odczucia, nie muszę pytać proboszcza, co mam myśleć.

A gdybym zapytał, czy Tadeusz Bartoś stracił wiarę?

– Zarówno zyskanie wiary, jak i jej utrata to kategorie języka chrześcijańskiego. Moje zakwestionowanie prawomocności chrześcijaństwa idzie dalej. Nie będę mówić o moich doświadczeniach w obcym



mi duchowo chrześcijańskim języku. Dotarłem do manipulacyjnego, totalistycznego charakteru tego języka, więc przestrzegam przed nim i go unikam; nie dam się wkręcić w takie rozmowy. Z podobnych powodów nie jestem fanem zelotyzmu ateistycznego. Ateista definiuje się przez to, kim nie jest, reaktywnie. To bardzo ubogie. Powstają nawet takie grupy, jakby wspólnoty ateistyczne, pełnych zapału gorliwców. To jest mi obce, bo oznacza, że śpiewam tak, jak mi zagrają. Moja krytyka chrześcijaństwa idzie w innym kierunku. Tak jak próbowałem to już wyłuszczyć.

Z powodu niechęci do wchodzenia w ten narzucony przez Kościół dyskurs nie dokonał pan apostazji. Oficjalnie więc jest pan wciąż członkiem Kościoła rzymskokatolickiego.

– Jestem nim w kościelnych papierach. Te jednak są całym zespołem psychomanipulacyjnych i prawnych nadużyć. Chcąc dokonać apostazji, musiałbym uznać

ważność prawa kościelnego i kanonicznych procedur. Tego nie robię, bo jak powiedziałem, to prawo jest sprzeczne z prawami człowieka, które są uznawane za niezbywalne. Prawo kościelne w moim przekonaniu w punktach dotyczących przynależności, znaczenia chrztu, jego nieusuwalności, jest bezprawiem. Złe prawo – pisał Tomasz z Akwinu – jest nie prawem, lecz zepsuciem prawa. Nawet jeśli żaden trybunał tego nie potwierdzi – w moim przekonaniu bezprawie związane z niemożliwością zatarcia przynależności czyni to prawo fikcją prawną. Nieusuwalność przynależności, niezamazalność chrztu to ewidentny przykład kultury feudalnej, gdzie ludzie przynależą do siebie czy do instytucji na zasadzie własności. Niezatarcie znamię sakramentu jest jak odcisk

wypalany przez właściciela na zadzie cielaka. Nie mogę tego uznać.

A gdyby tak, poźartujmy sobie, przedstawiciele Kościoła Latającego Potwora Spaghetti uznali, że każdy, kto chociaż raz zjadł w życiu makaron, należy do ich wspólnoty i oni też mogą zbierać dane wyznawców i nie muszą ich usuwać ze swoich kartotek? Dziś przepisy o ochronie danych osobowych nie wymuszają na Kościele wykreślenia danych. To kolejne tchórzostwo państwa. A tzw. apostazja jest jedynie następnym wpisem w kartotece kościelnej.

Indoktrynowanymi ludźmi łatwo sterować. A pilot pozostaje zawsze na plebanii.

Powody odejścia są różne. Teologowie myśliciele, którzy odchodzą od zakonnego życia, szukają argumentów intelektualnych, piszą o kryzysie wiary, skandalach, złych biskupach. Proboszczowie mówią po prostu: pokochałem kobiety – najbardziej zakazany owoc od pierwszego roku seminarium. Jak rozumiem, u pana był powód intelektualny – czy była też kobieta?

– A pan mnie o prywatne rzeczy dopytuje. Nieładnie!

Badania prof. Józefa Baniaka pokazują, że tylko co trzeciemu, który odszedł, powiodło się materialnie, więc handlują na targu proszkiem do prania, myją wagony, czasem rozwodzą się z żonami. Nie bał się pan odchodzić z tego bezpiecznego gniazda?

– Odejść jest bardzo trudno. Gdyby zajrzeć do książek o psychomanipulacji w sektach, wszędzie tam kluczowym momentem jest uwikłanie, które uniemożliwia ofiarom

opuszczenie sekty. Takie wieloaspektowe uwikłanie dotyczy też duchownych katolickich. Niektórzy odchodzą, bo się zakochali, ale wciąż wierzą w Boga i chcą być blisko Kościoła, choć ten Kościół uważa ich za zdrajców. Są tacy duchowni, którzy wiążą się czy to z kobietą, czy z mężczyzną, ale nie opuszczają stanu duchownego – odprawiają



► msze i kochają swoich wybranków. Coś sprawia, że nie podejmują tego kroku, czy to sytuacja finansowa, czy presja psychiczna, choć ciąży im podwójne życie. Wielu nie odejdzie, bo nie ma dokąd pójść.

Pana sytuacja była dosyć prosta.

– Kilka lat przed opuszczeniem zakonu pisałem teksty krytyczne o Kościele katolickim w „Tygodniku

w pierwszym punkcie swojego wystąpienia całkowicie się ze mną nie zgadzali. Bez podawania argumentów. Taka była ich charakterystyczna reakcja na moje książki. Tak jest do dziś. Kościół otwarty nie polemizuje ze mną krytyką merytoryczną, zajmuje się raczej moją osobą (ks. Alfred Marek Wierzbicki w polemice „Nie lubię kazań”) albo nie zgadza się

To prawdziwa cenzura. Dobra cenzura jest wtedy, gdy tnie teksty, zanim jeszcze zrodzą się w głowach autorów. Niewidzialna wróżka, anioł stróż.

W Polsce Jana Pawła II nie można krytykować. Zagalopował się pan.

– Sam Jan Paweł II nie znosił krytyki, raczej domagał się subordynacji. Teologie niemiecka i francuska, wtedy najciekawsze, zostały przez ograniczenie wolności debaty teologicznej za pontyfikatu polskiego papieża praktycznie zlikwidowane. Powstał system donosów na wykładowców na uniwersytetach niemieckich, organizowany przez nuncjusza Josipa Uhača. Kilkudziesięciu teologów z tego obszaru pisało w latach 80. list otwarty przeciwko ograniczaniu wolności debaty teologicznej. Jan Paweł II nie lubił debaty, krytyki, za to uwielbiał klakierów. I nimi się otaczał. W Polsce praktycznie żadnej krytyki nie było. Także wykształceni, znający

Obraz Jezusa został wytworzony przez Kościół. O samym Jezusie historycznym niewiele wiadomo.

Powszechnym”, w „Gazecie Wyborczej” i w innych pismach. To spowodowało, że uznano mnie w środowisku za kałającego własne gniazdo. Niechęć, wrogość znaczącej części sprawiała, że życie tam stało się nie do zniesienia. Ponadto szukano na mnie haków, czy gdzieś nie napisałem czegoś niezgodnego z doktryną katolicką, donoszono na mnie, że na wykładach wygłaszam herezje, co wynikało głównie z ignorancji donosicieli. Poczucie osaczenia sprawiło, że wyprowadzka była dla mnie ogromną ulgą. Choć pewnie miałem lepszy start niż inni: doktorat, habilitacja z filozofii. Publikowałem w prasie, wydawałem książki.

Nie znalazł pan zrozumienia w Kościele otwartym?

– Nie bardzo. Coś tkwiło w publicystach tzw. Kościoła otwartego, że

bez podania argumentów (Dominika Kozłowska w tekście „Polski Kościół to nie mafia”). Podobny był odbiór mojej książki „Jan Paweł II. Analiza krytyczna”. Abp Życiński, uznawany za światłego duchowego, przedstawiciel owego tajemniczego Kościoła otwartego, mówił, że moja krytyka papieża to taki pomysł, jakby Judasz chciał reformować kolegium

Jan Paweł II nie lubił debaty, krytyki, za to uwielbiał klakierów. I nimi się otaczał. W Polsce praktycznie krytyki nie było.

apostolskie. Inwektywa zamiast lektury książki, która poruszała istotne kwestie krytyczne wobec pontyfikatu i nauczania Jana Pawła II, obecne w dyskusji kościelnej na całym świecie. W Polsce do dziś nie wolno słowa na ten temat powiedzieć.

niemieckojęzyczną akademię uczeni kościelni, np. Józef Tischner, w tej sprawie grzecznie milczeli. Pytania o Hansa Künga, niemieckiego teologa usuniętego z urzędu za krytyczne wypowiedzi wobec Watykanu, Tischner zbywał żartami. Wolność myślenia teologicznego w kulturze niemieckich uniwersytetów nie była jego zmartwieniem.

Powiem szczerze: nie cierpię oportunistów, kiedy przekraczają pewną granicę przyzwoitości. Za czasów Jana Pawła II brak krytycznej debaty przyjął takie rozmiary, że było to wręcz karykaturalne.

Inny Kościół nie jest możliwy. To może w pana idealnym świecie po prostu nie ma Kościoła?

– Istnieje za to szansa, że ograniczymy przywileje Kościoła. Może to zrobić państwo. Dwie sprawy są najważniejsze: zakaz jakichkolwiek przepływów finansowych z państwa do instytucji kościelnych oraz podporządkowanie tych instytucji prawu obowiązującemu wszystkie inne podmioty. Tak żeby zakony, diecezje nie miały specjalnych uregulowań, ale działały na podstawie tych samych przepisów o stowarzyszeniach. Tak zrobiono ponad



www.wydawnictwomg.pl



narrację – jedni będą mieli wielkie idee, drudzy zajmującą codzienność. Ludzie powinni mieć prawo wyboru, jak chcą żyć, i Kościół nie powinien im mówić, co jest dobre, a co złe. Pozwolić człowiekowi chcieć samemu – oto nowość nowoczesnego świata. I do Polski ona kiedyś dotrze.

Dobra cenzura jest wtedy, gdy tnie teksty, zanim jeszcze się zrodzą w głowach autorów.

Ponieważ pytanie o szczęście jest wyjęte wprost z narracji chrześcijańskiej, którą pan odrzuca, nie zapytam, czy jest pan szczęśliwy.

– Pytanie o szczęście jest pytaniem nadużywanym czy nawet użytym, także przez propagandę chrześcijańską. Na spotkaniach grup ewangelizacyjnych, choćby w neokatechumenacie, mówcy opowiadają, jacy byli nieszczęśliwi, ale spotkali Jezusa i już są szczęśliwi. Przyzna pan, że to odpychające. Byłoby pięknie, gdyby jakiś porządny filozof spróbował uratować to słowo. Jest wiele słów do ocalenia, wyrwania ich z tego uwodząco-manipulacyjnego kontekstu chrześcijańskiego. Uwolnienie szczęścia od chrześcijańskiej perspektywy kija i marchewki – to może mieć sens.

Rafał Piкуła

100 lat temu we Francji i Francja dobrze na tym wyszła. Kościół francuski także. Demoralizacja polskiego kleru wynika w dużej mierze z nieprzejrzystości organizacyjnej i finansowej, z niedopuszczalnego w normalnym państwie uprzywilejowania. Brak kontroli prawnej zawsze prowadzi do demoralizacji. Tu nie ma świętych.

Polskie państwo na pewno nie pójdzie na wojnę z Kościołem. Inna rzecz, że ludzie potrzebują Kościoła, bo ten daje im poczucie sensu.

– Kolejny raz mówi pan językiem zapożyczonym ze słownika kościelnego. To element chrześcijańskiego przesłania: moje życie nie miało sensu, było złe, ale spotkałem Jezusa. Dotknął mnie dziś Pan, on nadaje sens mojemu życiu. Nikt się nie zastanawia, o co chodzi, tak jesteśmy z tym zżyci, gdy mówimy o poczuciu sensu. Cóż to takiego? Najpierw religijny agitator tłumaczy, że twoje życie nie ma sensu. A później, że może go nabrać, jeśli uwierzysz. Mówienie o potrzebie sensu jest elementem ewangelizacji, a to jest uwodzenie, marketing religijny, w znacznej mierze oparty na zabiegach manipulacyjnych. Zakłada się tutaj, że istnieje jeden sens i ten sens to Jezus. A może jest wiele sensów? Dlaczego tylko jeden? Wtedy nie ma monopolu. W zamian jest policentryzm, wiele źródeł inspiracji. Małe, codzienne sensy i bezsensy. Religie monoteistyczne, nosiciele jednego

uniwersalnego, totalnego sensu, bardzo tego nie lubią. Ale my możemy lubić. Wieleś sensów to wedle doktrynerów religijnych relatywizm, konsumpcjonizm, dekadentyzm, cywilizacja śmierci itp. Warto nie dawać się na to nabierać.

Czyli bardziej niż religii potrzebujemy opowieści?

– Można żyć bez definiowania szczęścia czy sensu. Żyć tym, co nam się przydarza, co daje nam radość i zadowolenie, albo ich przeciwieństwa. Nie każdy będzie miał wielką

NIE MASZ GRAFIKI ANI POMYSŁU?

**Nie martw się, przygotujemy
Twoją reklamę GRATIS**

Tylko teraz w supercenie! 500 zł (+ VAT) za kolorową reklamę (117 x 90 mm) w tygodniku PRZEGLĄD

**BRAKUJE CI KLIENTÓW?
CHCESZ SIĘ WYPROMOWAĆ?**

**NA CO CZEKASZ?
TU MOŻE BYĆ TWOJA FIRMA!**

e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl, tel.: 22 635 84 10 wew. 111

Strajk nauczycieli

– wieści z pola bitwy

Robert Walenciak

I kto to wygra? – takie pytanie ustyszałem w ubiegłym tygodniu kilkadziesiąt razy. Ludzie obserwują strajk nauczycieli i zastanawiają się, jak to się skończy. Odpowiedź zamykam zawsze w jednym zdaniu: jeśli nauczyciele wytrzymają, nie pękają, to wygrają.

Starcie przecież nie jest równe. Przy całym szacunku na kilometr widać, że nauczyciele – jeśli chodzi o strajkowanie – to amatorzy. Bogusław Chrabota, naczelny „Rzeczpospolitej”, celnie im wytknął, że nie mają opracowanego systemu komunikowania się z Polakami, nie potrafią przeciwstawić się machinie propagandowej PiS. A ta machina pracuje na pełnych obrotach. Nauczycieli straszy się policją i zwolnieniami z pracy, atakowany jest organizator strajku, czyli Związek Nauczycielstwa Polskiego i jego przewodniczący Sławomir Broniarz. Przeciwno nauczycielom uruchomione zostały prawicowe trollownie, tysiące kont. „Jeszcze nie tak dawno szczuto na mnie i na innych samorządowców przy okazji karty LGBT. Dzisiaj te wszystkie trolle są przedstawione na to, żeby atakować nauczycieli”, powiedział prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski.

PiS prowadzi tę bitwę według wcześniejszego schematu, stosowanego podczas sporów z lekarzami i opiekunami osób niepełnosprawnych. Ośmieszano wtedy strajkujących, atakowano ich i grano na zwłokę, na wymęczenie. W końcu, izolowani i atakowani, protestujący odpuszczali.

Jeśli jednak chodzi o nauczycieli, mamy inną sytuację. Tu

sympatia Polaków jest po stronie strajkujących.

W społeczeństwie dominuje przekonanie, że nauczyciele powinni zarabiać więcej i być bardziej szanowani, że przyszłość naszych

dzieci zależy od tego, jak są kształcone. Trudno więc zrozumieć, dlaczego rząd nie chce dać podwyżki. I to ten sam rząd, który siebie wynagradza hojnymi premiami, który opowiadał na prawo i lewo, że pieniądze ma (bo wystarczy nie kraść), i który co chwila daje kolejnym grupom prezenty.

Akurat w poprzedni weekend poszła w świat wiadomość, że Jarosław Kaczyński zamierza dopłacać do każdej krowy 500 zł, a do każdej świni – 100 zł. To nie jest do końca prawda; być może od roku 2021 Unia Europejska zastosuje takie dopłaty do hodowli ekologicznej, na słomie, i o tych pieniądzach Kaczyński mówił. Zostało to jednak zrozumiane

Machina propagandowa PiS pracuje na pełnych obrotach.

bardziej dosłownie – że PiS nie ma pieniędzy na nauczycieli, ale ma na krowy i świnię. Taki komunikat jest dla partii rządzącej dewastujący.

Inny komunikat padł z ust marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego. Otóż ogłosił on, że nauczyciele powinni pracować dla... idei, bo on sam pracuje dla idei. Zaraz więc przypomniano mu jego zarobki, które porównano z zarobkami nauczycieli. Na portalu OKO.press przedstawiono to tak: „Z oświadczenia majątkowego marszałka Karczewskiego za rok 2017 dowiadujemy się, ile kosztuje jego praca dla idei.

- dochód z tytułu pełnienia funkcji marszałka Senatu – 201 371 zł;
- dieta parlamentarna – 30 062 zł;
- dieta wyjazdowa – 5115 zł.

Rocznie marszałkowska praca dla idei wynosi zatem ok. 236 548 zł. Miesięcznie to ok. 19,7 tys. zł.

Wynagrodzenia zasadnicze nauczycieli wyglądają następująco:

- nauczyciel stażysta – 2538 zł brutto;
- nauczyciel kontraktowy – 2611 zł brutto;
- nauczyciel mianowany – 2965 zł brutto;

- nauczyciel dyplomowany – 3483 zł brutto”.

Jak widać, nie są to zarobki porównywalne. Dlatego PiS bardzo trudno jest zorganizować „gniew ludu” przeciwko nauczycielom, tak jak skierowało go przeciwko sędziom i lekarzom. Zwłaszcza że już nie działa kolejny argument – owo 18-godzinne pensum. Przez lata wszystkie postulaty płacowe nauczycieli zamykano prostym argumentem, że pracują 18 godzin tygodniowo i mają dwa miesiące wakacji, może więc zarabiają niewiele, ale też się nie przemęczają.

ZNP odrobił lekcję i mozolnie tłumaczył, że lekcje przy tablicy to jedno, a sprawdzanie prac domowych

i klasówek, przygotowanie się do lekcji, rady pedagogiczne, wywiadówki, wycieczki itd. to drugie. I że wakacje to też są trzy-cztery tygodnie wolnego, a nie osiem.

Do tego dorzucmy jeszcze jeden czynnik. Pracownicy oświaty są wielką grupą zawodową, liczącą ok. 700 tys. ludzi. Większość z nas albo ma w rodzinie, albo zna kogoś nauczyciela i na własne oczy widzi, że nie są to ludzie szastający pieniędzmi.

Oczywiście telewizja publiczna próbowała ludziom wmawiać, że to „elita”, pokazując, że dyrektorka jednej ze szkół mieszka w domu i jeździ mercedesem, ale natychmiast zostało to wyśmiane. I myślę, że ten fakt do liderów PiS już dotarł – nie da się pokazać nauczycieli jako rozwyzdzonej grupy zawodowej, wysferzonej itd. Dlatego z taką zaciekleścią

PiS atakuje organizatorów strajku.

Politycy tej partii powtarzają, że szefowie ZNP to postkomuniści idący ręką w rękę z Koalicją Europejską, czyli z sojuszem PO, PSL, SLD. Mariusz Błaszczak, szef MON, zdążył już



Manifestacja uczniów popierających strajk nauczycieli w Lublinie.

Przesłanie łańcuchów światła jest jasne – ludzie wspierają nauczycieli, uważają, że ich praca powinna zostać doceniona. Strajk przekształca się w wielki spór między Polską, która docenia rolę nauczania, a Polską, która wiedzę lekceważy. PiS w tym sporze lokuje się po tej drugiej stronie. A w takiej sytuacji przeciąganie sprawy, gra na wyniszczenie bardziej szkodzi władzy niż nauczycielom.

Władza miała pomysł na rozbięcie strajku. Ponieważ odbywa się on w czasie egzaminów gimnazjalnych i ósmoklasistów, PiS miało prostą rachubę: jeżeli nauczyciele utrudnią egzaminy, oskarży się ich o atak na dzieci i stracą społeczne poparcie. To będzie ich koniec. Jeżeli egzaminy się odbędą – okaże się, że nauczyciele nie mają czym straszyć. Niech siedzą w szkołach do wakacji, strachu nie ma.

Nauczyciele wybrali wariant drugi, egzaminy się odbywają. Sukces rzędu? Niezupełnie, bo poza tym mamy demonstracje na ulicach. Mamy także setki tysięcy rodziców, którzy muszą zapewnić opiekę dzieciom

ogłosić, że Sławomir Broniarz był posłem SLD i po to zorganizował strajk, żeby wzmocnić opozycję. Sęk w tym, że Błaszczak skłamał – Broniarz nie był posłem SLD, w ogóle nie był nigdy posłem. Ale atak trwa, bo PiS wie, że jeśli zastraszy liderów strajku, akcja nauczycieli umrze śmiercią naturalną.

Tylko czy to się uda? Na razie ZNP się trzyma. A jego liderzy pewnie sami są zaskoczeni zasięgiem protestu, ponieważ strajkuje 70-80% placówek. To wielki sukces Broniarza, bo ostatni wielki strajk nauczycieli miał miejsce w roku 1993. Poza tym większość strajkujących to osoby niezrzeszone. Związkowcy w szkołach stanowią mniejszość. Tymczasem pociągnęli za sobą resztę. Dlaczego? Ta grupa jest dobrze zorganizowana, wiarygodna, no i – podkreślimy – desperacja nauczycieli musi być już wielka.

Oni zresztą to mówią – że strajkują z dwóch powodów. Domagają się podwyżek, gdyż – po pierwsze – w porównaniu z innymi grupami są wynagradzani coraz gorzej. A po drugie, to jest też krzyk w obronie ich godności, którą PiS dodatkowo depcze.

Jest w tym wszystkim jakaś ironia losu... Te 18 godzin pensum latami było wypominane nauczycielom zwłaszcza przez różnej maści liberałów, z politykami PO na czele: że nie chcą pracować, że są leniwi itd. Liberałowie, a szczególnie libe-

ralni dziennikarze, rzucali przy tym gromy na biednego Broniarza, że związkowy dinozaur i postkomunistą. A tu, proszę, dawne czasy poszły w niepamięć.

Nie mam więc złudzeń. Platforma, gdyby rządziła, strajku nauczycieli by nie poparła. Ale jest w opozycji, chce zaszkodzić PiS i to określa jej działania. W ten sposób strajk nauczycieli

PiS bardzo trudno zorganizować „gniew ludu” przeciwko nauczycielom, tak jak skierowało go przeciw sędziom i lekarzom.

przestał już być zwykłym strajkiem kolejnej grupy zawodowej. Ze względu na okoliczności przekształca się w poważne

starcie z rządem.

Z jednej strony, mamy zatem PiS (z Solidarnością pod pachą), z drugiej – nauczycieli, wspieranych przez opozycję – Koalicję Europejską, Wiosnę, Lewicę Razem... Ten podział jest zresztą bardzo czytelny – samorządy dużych miast, gdzie rządzi PO, popierają strajki. Gdy minister Zalewska zagroziła nauczycielom, że za czas strajku nie dostaną pieniędzy, prezydenci miast zaczęli deklarować, że to oni zapłacą z miejskiej kasy. W dużych miastach zaczynają też być organizowane regularne demonstracje poparcia dla nauczycieli. Łańcuchy światła gromadzą tysiące ludzi. I to jest cios, którego PiS się nie spodziewało.

niechodzącym do szkoły. Z dnia na dzień atmosfera staje się coraz bardziej napięta. Rząd, nic nie robiąc, ryzykuje kryzys społeczny – wściekłość ludzi i rozpowszechniające się przekonanie, że sobie nie radzi. Że kreuje awantury, że jest nieudolny.

Taka opinia, zwłaszcza w perspektywie zbliżających się wyborów i trwającej już kampanii wyborczej do europarlamentu, jest dla PiS jak eksplodujący granat. I nawet ewentualna wygrana z nauczycielami niewiele pomoże. Mamy zatem klincz i kilka niewiadomych. Ile nauczyciele wytrzymają? Czy uda się ich zastraszyć? Na ile uliczne protesty osłabiają władzę? W jakim stopniu naruszą one spójność pisowskiego twardego elektoratu? Czy PiS stać na wojnę z kolejną grupą zawodową?

Odpowiedź na te pytania określi, kto z tej bitwy wyjdzie zwycięsko.

Rozmawia
Małgorzata Szczepańska-Piszc

Bardzo pan się denerwuje, gdy słyszy, że nauczyciele pracują zbyt mało, zaledwie 18 godzin tygodniowo?

– Nie, bo tak łatwe i beztrudne rzucanie takich haseł świadczy tylko o kompletnej nieznajomości rzeczy. Trzeba umieć odróżnić pensum, czyli zajęcia z uczniem w klasie, od czasu pracy. Instytut Badań Edukacyjnych, czyli instytucja w 100% kontrolowana przez Ministerstwo Edukacji Narodowej, jeszcze za rządów PO zrobił pogłębione badania czasu i warunków pracy polskich nauczycieli. I wyszło, że tygodniowo nauczyciel pracuje przeciętnie 46 godzin i 37 minut. Bo wliczamy do czasu pracy nie tylko pracę przy tablicy, ale również przygotowanie się do zajęć, czyli samokształcenie, kserowanie testów, wykonywanie pomocy dydaktycznych itp. A także wycieczki klasowe, wywiadówki, rady pedagogiczne i inne zebrania szkolne, prowadzenie zajęć wyrównawczych, przygotowanie uczniów do konkursów szkolnych i pozaszkolnych oraz obowiązkowe dyżury podczas przerw. Również sprawdzanie klasówek, testów czy wypracowań, co zwłaszcza polonistom zabiera wiele godzin każdego tygodnia.

Do tego indywidualne rozmowy z rodzicami...

– Ależ oczywiście, poza sformalizowanymi kontaktami na zebraniach i wywiadówkach rodzice często szukają indywidualnego kontaktu. Przychodzą do szkoły, dzwonią do nauczyciela, czasem o różnych porach, bo natrafiają na problemy wychowawcze, którym sami nie potrafią sprostać. Kontakt mejlowy z rodzicami to zwykle kilka godzin w tygodniu, często po godz. 20.

I jeszcze biurokracja szkolna...

– O niej moglibyśmy długo rozmawiać, bo puchnie w zastraszającym tempie. Rosnące stosy dokumentów szkolnych mają dwa podstawowe powody. Pierwszy to nowe obowiązki narzucane przez MEN, np. opracowywanie indywidualnych programów terapeutycznych dla uczniów. Pracuję w szkolnictwie od 1985 r. i jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakiś minister nie dorzucił nauczycielom kolejnych

Z PISTOLETEM STRAJKOWYM U SKRONI

Pierwszy raz nauczyciele są radykalniejsi niż związki zawodowe

obowiązków. Drugi powód to wyjątkowo niska sprawność organizacyjna kierownictwa szkół. Gdy zaczynałem pracę w zawodzie, mogłem liczyć na pomoc i wsparcie dyrektora i jego zastępcy. A teraz w szkole panuje zasada: radź sobie sam. Jeśli dziś zgłosiłbym się z problemem do dyrektora, zapewne okazałoby się, że to ja jestem problematyczny i że sobie nie radzę. Dlatego najlepiej niczego nie zgłaszać. Ale problemy w szkole występują i będą występować, więc samotny nauczyciel przede wszystkim produkuje tony dokumentów, żeby się zabezpieczyć na wszelkie możliwe sposoby. Jeżeli przychodzi kontrola z kuratorium, która jest wynikiem skargi...

Przeciętnie nauczyciel pracuje tygodniowo 46 godzin i 37 minut.

A tych jest coraz więcej...

– Taka skarga nie musi nawet być podpisana, a urzędnik musi zbadać problem i w mniejszym stopniu rozmawia z nauczycielami, a w większym żąda okazania dokumentacji. Czy, gdy dwóch uczniów szarpało się na korytarzu, jest notatka pedagoga, wychowawcy, wicedyrektora? Czy było spotkanie z rodzicami? Gdzie jest sprawozdanie? Bez zaawansowanej papierologii nie obejdziesz się też awans nauczycielski ani żaden ruch nauczyciela starającego się o nagrodę ponadszkolną czy granty. Moim zdaniem obecnie już ponad 60% naszego czasu przypada na obsługę procesu nauczania, a mniej niż 40% na samo nauczanie. W tych papierach prędzej czy później szkoła utonie. **Może wprowadzenie ośmiogodzinnego czasu pracy dla nauczycieli oczyściłoby atmosferę?**

– Nie mam nic przeciwko temu. To jednak bardzo kosztowne, a w wielu przypadkach nierealne. Trzeba by stworzyć każdemu nauczycielowi stanowisko pracy. A nie jest nim krzesło w pokoju nauczycielskim. Podam konkretny przykład: w bydgoskiej szkole integracyjnej (dwa budynki i basen), w której pracuje 250 nauczycieli, potrzeba by 250 biur z komputerami z podłączeniem do internetu i drukarek. Szkoła nie ma na to ani miejsca, ani pieniędzy. A przecież trzeba by dodatkowo zapłacić za wywiadówki i zebrania, rady pedagogiczne, za godziny na wycieczkach, popołudniowych czy weekendowych kursach, zawodach i zielonych szkołach, bo nauczyciel pracowałby od godz. 8.00 do 16.00.

Czy wchodząc w przygotowania do strajku, spodziewał się pan aż takiej nagonki na nauczycieli? Że nieroby, że pracują trzy godziny dziennie. Że uczą tylko ci, których w innych zawodach nie chcieli. Że w głowie się przewraca z lenistwa.

– Narzekania na nauczycieli były zawsze. Tyle że teraz są nowe sposoby komunikacji. Ludzie wypowiadający się na portalach internetowych – w poczuciu anonimowości – piszą chętniej, ostrzej. Część tej frustracji wynika ze złych doświadczeń osobistych. Do tego w Polsce od dawna jest przyzwolenie na kwestionowanie autorytetów, na język nienawiści. Na pewno w podsycaniu hejtu mają udział politycy. Bo jest im na rękę. Jednak po każdej atakującej nauczycieli wypowiedzi polityków determinacja w szkołach rośnie lawinowo. Gdyby rządzący myśleli choć trochę perspektywicznie, nie dopro-

SŁAWOMIR WITKOWICZ

– przewodniczący Wolnego Związku Zawodowego Solidarność – Oświata, szef branży nauki i oświaty Forum Związków Zawodowych

wadziłoby do sytuacji, w której negocjują pod pistoletem największego strajku w oświacie od co najmniej 30 lat. Obecny strajk jest większy niż ten w 1993 r., który dotyczył przede wszystkim szkół średnich. A teraz mamy protest od przedszkoli, przez szkoły podstawowe, średnie, po placówki specjalne i wychowania pozaszkolnego.

Skala rozgoryczenia i frustracji w oświacie jest ogromna. Pierwszy raz nauczyciele są radykalniejsi niż związki zawodowe. Powiem wprost: to oni wymusili na nas mocniejsze działania. No bo ile lat można być niedocenianym? Ile można czekać na rozwiązanie podstawowych kwestii? A czekają już przecież 30 lat! Poza tym nauczyciele chcą zarabiać godziwe pieniądze za pracę, a nie za bycie matką, ojcem, hodowcą czy emerytem. Nie chcemy wsparcia, chcemy godziwej zapłaty! Nie żądamy pieniędzy za bycie wyborcą takiej czy siakiej partii – żądamy dobrego wynagrodzenia za naszą niełatwą pracę!

Średnie zarobki nauczycieli dyplomowanych, o których lubi mówić minister Zalewska, są godziwe.

– Ale nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Znakomita większość nauczycieli na oczy nie widziała tych 5-6 tys. zł brutto.

Ale ta średnia skądś się bierze. Kto zarabia te kominowe pieniądze, które dają taką średnią?

– Tych wyliczeń nie pompują kominowe wynagrodzenia. Na średnią skła-

dają się wynagrodzenia zasadnicze, należność za stałe godziny ponadwymiarowe oraz dodatki: za wysługę lat, funkcyjne dyrektora oraz jego zastępców i za wychowawstwo...

To akurat drobna suma, ok. 100 zł.

– Średnia krajowa to 127 zł brutto, czyli od 27 do ok. 600 zł.

600 zł?! Gdzie tyle płacą?

– Przede wszystkim w superbogatych gminach wielkich metropolii, ale również w Kleszczowie. Najbardziej jednak winduje tę średnią czwarta grupa – inne świadczenia ze stosunku pracy, czyli m.in. nagrody jubileuszowe, trzynastki, odprawy emerytalno-rentowe, sześciomiesięczne odprawy z tytułu zwolnień. Nie ma w Polsce nauczyciela, który dostaje

Jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakiś minister nie dorzucił nauczycielom kolejnych obowiązków.

wszystkie 16 dodatków, bo to nie możliwe. Ale to one pompują średnią, która w wypadku pedagoga o najwyższym stopniu awansu – nauczyciela dyplomowanego – daje te imponujące 5,6 tys. zł brutto. Zwykły nauczyciel dostaje z tego 62%, bo tyle wynosi wynagrodzenie zasadnicze. Dostanie więcej, jeśli będzie miał wychowawstwo czy nadgodziny. Pedagog otrzymuje też dodatek za wysługę lat, który notabene zostaje zamrożony w połowie jego aktywności zawodowej i przestaje rosnąć po 20 latach pracy. Tak wygląda

oświatowy system płacowy, który daje możliwość epatowania liczbami i prowokowania konfliktów.

Rządzającym udało się trudna rzecz – zjednoczyli bardzo rozbite, skupione w wielu związkach zawodowych środowisko oświatowe.

– Nie pierwszy raz. Pokazaliśmy, że umiemy się zjednoczyć także za rządów Donalda Tuska, w 2008 r. Zorganizowaliśmy wtedy, również z Solidarnością, strajk jednodniowy. Miał poparcie ponad 70%. Jego efektem były czteroletnie podwyżki nauczycielskich płac. Przez pierwsze dwa lata – dwa razy w roku, a przez kolejne dwa – raz w roku. W sumie wynagrodzenia wzrosły wtedy o ok. 40%. Niestety, później ekipa Tuska zamroziła płace. Nie przeprowadzała nawet waloryzacji. A wkłóto pensje rosły. W efekcie nauczyciele wrócili na żenujący poziom wynagrodzeń. Dlatego wszędzie podkreślam, że obecna ekipa zderzyła się z dwoma problemami: błędami

Szkoła prędzej czy później utonie w papierach.

poprzedników oraz konsekwencjami wynikającymi z systematycznego podwyższania płacy minimalnej i skokowego wzrostu przeciętnego wynagrodzenia. W rezultacie pensje nauczycieli początkujących niebezpiecznie zbliżyły się do płacy minimalnej, którą dostaje każdy, niezależnie od kwalifikacji, jeśli tylko zatrudni się etatowo. I te trzy czynniki potężnie frustrują pedagogów, od których wymaga się coraz wyższych kwalifikacji i ustawicznego kształcenia. A co daje się w zamian? Jeden przykład. Wie pani, ile oferuje się inżynierowi, który przychodzi do szkoły uczyć zawodu?

Naprawdę najniższą krajową?

– Gorzej. O 20 zł mniej, czyli 2230 zł brutto. Bo jest nauczycielem bez przygotowania pedagogicznego. Oczywiście dostaje wyrównanie, bo nie może zarabiać mniej niż te 2250 zł. Ale to dobrze pokazuje, jakie są stawki w oświacie, której ponoć bardzo zależy na odbudowaniu szkolnictwa zawodowego.

Rozmawiacie z rządem o podwyżkach już bardzo długo.

– Od ubiegłej jesieni, gdy minister Zalewska jednostronnie, wbrew wszystkim, przeforsowała zmiany w Karcie nauczyciela, wydłużając

► awans zawodowy z 10 do 15 lat i odbierając wiele dodatków. Gdy rozmowy z MEN nie posuwały nas ani o milimetr, chcieliśmy spotkania z premierem Morawieckim. Bez efektu. Prosiłmy o pośrednictwo Europejską Konfederację Niezależnych Związków Zawodowych (CESI) w Brukseli, do której należymy, oraz polskie przedstawicielstwo przy Unii Europejskiej. Po ich interwencji premier odesłał nas do... minister Zalewskiej. Zobowiązała ją do zorganizowania spotkania. Nigdy takiego z udziałem sekretarza generalnego CESI nie zorganizowała. Nam kancelaria premiera chociaż odpisywała, pisma ZNP w większości pozostawiała bez odpowiedzi.

W grudniu pani Zalewska musiała, wynika to z przepisów Karty nauczyciela, zacząć konsultacje ze związkami zawodowymi, bo w styczniu wzrastały kwoty bazowe, od których wyliczane są wynagrodzenia nauczycielskie. I znów zaczęliśmy rozmowy o zbyt niskich wynagrodzeniach. Nasze (FZZ) projekty zmian MEN wyceniło na

gdy nie ukrywaliśmy, że wiele nas różni, np. stosunek do reformy, podstawy programowej, siatki godzin itp., ale wszystkie związki zawodowe są zgodne co do jednego: trzeba zdecydowanie podnieść wynagrodzenia zasadnicze nauczycieli, bo tylko to umożliwi dalsze zmiany.

Jak ocenia pan działanie sekcji oświatowej NSZZ Solidarność podczas rokowań z rządem?

– Wyjątkowo negatywnie. Jest pewne minimum przyzwoitości, którego Solidarność nie zachowała. Najpierw dywagowała, z kim usiądzie do stołu, a z kim nie, bo ZNP jej się nie podoba. Gdy rozpoczęły się rozmowy pod przewodnictwem premier Szydło, okazało się, że działacze Solidarności nie mają upoważnień negocjacyjnych. Uzgadniali żądania na boku ze stroną rządową, negocjowali w dół, tzn. w trakcie rozmów, gdy piłka była w grze, Solidarność oznajmiła, że nie chce więcej negocjacji. Od 1 kwietnia

– I cieszę się, że już nie jestem. Zachowaliśmy w nazwie naszego związku znak Solidarność, który od kilku lat jest dla nas przede wszystkim obciążeniem. Ciągłe musimy tłumaczyć, że nie jesteśmy związani z Solidarnością Piotra Dudy. Wokół tego związku jest dziś wiele niechęci. Proksa, podpisując porozumienie z Beą Szydło na takich warunkach, jeszcze tę niechęć wzmocnił. Moim zdaniem to koniec oświatowej sekcji Solidarności. Całe ich koła przenoszą się teraz do nas lub do ZNP.

Działacze Solidarności uzgadniali żądania na boku ze stroną rządową, negocjowali w dół.

A jaką rolę w negocjacjach odegrała minister Zalewska?

– Milcząca. Siedziała z boku i odezwała się może ze dwa razy.

Strona rządowa chce się dogadać, czy tylko markuje dobre chęci?

– Do 5 kwietnia wydawało mi się, że chcą doprowadzić do porozumienia. Że naprawdę blokuje ich tylko brak pieniędzy. Dlatego obniżyliśmy wymagania. Najpierw żądaliśmy 1000 zł podwyżki dla każdego nauczyciela. Potem proponowaliśmy 30% podwyżki. W końcu zaproponowaliśmy te 30% rozłożyć na dwie 15-procentowe raty. Odpowiedzią było: podniesienie pensum (w dwóch wariantach: o 22% lub 33%) i dodatek w wysokości 4,6% do pięcioprocentowej podwyżki we wrześniu br. Czyli rząd zaproponował nam: 5% (122-166 zł) dostaliście w styczniu, a od września dostaniecie dodatkowo 9,6%, czyli od 244 zł dla stażysty do 344 zł dla dyplomowanego. Reasumując, propozycja rządu – która została odrzucona przez FZZ i ZNP – wyglądała tak: podniesiemy wam liczbę obowiązkowych godzin pracy, w efekcie zwolnimy 22-33% nauczycieli i w 2023 r., być może, więcej zarobicie. To prowokacja! Jeżeli wicepremier rządu kilkanaście godzin przed rozpoczęciem największego strajku w polskiej oświacie składa taką propozycję, to świadomie dąży do konfrontacji.

Egzamin gimnazjalny – pomimo strajku – odbył się.

– Całkowicie niezgodnie z prawem. Minister Zalewska musi się spodziewać, że następna ekipa rządząca ją z tego rozliczy.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz



17,5 mld zł, ZNP – na 14,9 mld zł, Solidarności – na 6,5 mld zł. Dowiedzieliśmy się, że nie ma takich pieniędzy i nie będzie. My z kolei nie chcieliśmy się zgodzić na proponowane podwyżki maksymalnie o 166 zł brutto. Już w styczniu ostrzegaliśmy, że dojdzie do sporów zbiorowych.

Dlaczego, organizując protest, ograniczyliście się do postulatu płacowego?

– Tylko w ten sposób mogliśmy stanąć z ZNP do wspólnej walki. Ni-

twierdziła, że już chce podpisać porozumienie. Ryszard Proksa miał do nas pretensje, że przyjechał na dwa dni, a już trzeci dzień siedzi i ile będzie musiał jeszcze tak siedzieć. Byli wyłącznie milczącym obserwatorem naszych rozmów z rządem. Solidarności pomyliły się role. Ale najmniej winię Proksę i innych działaczy sekcji oświatowej. Tam zupełnie kto inny podejmuje decyzje.

Pan był wiele lat w NSZZ Solidarność.

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

Machiavelli – cynik czy demaskator?

Istnieje makiawelizm władców i makiawelizm uciśnionych – pisałem o tym niejednemu raz. Makiawelizm wyrafinowany i makiawelizm ubogich duchem; posługujący nim dyktatorzy, przywódcy demokratyczni i kapłani wszystkich Kościołów. Także obrońcy praw człowieka nie wyrzekają się makiawelizmu, jak to widzieliśmy podczas wojny NATO z Serbami o Kosowo. Łamanie umów, wprowadzanie w błąd swoich i obcych, podobnie jak stosowanie przemocy i ośmianie jej masywną frazeologią moralistyczną, należą do politycznej prozy.

Chrześcijanie wyparli rzymskie, pogańskie wierzenia za pomocą najwznioślejszych zasad moralnych, jakie kiedykolwiek głoszone. Wybaczali nieprzyjaciółom, a nawet nakazywali ich miłować. Ich królestwo nie było z tego świata, pogardzali dobrami doczesnymi. Głosili etykę poświęcenia siebie, litości i miłosierdzia wobec nieszczęśliwych. Ich najwyższym celem było zjednoczyć się z Bogiem poprzez miłość i dążenie do zbawienia duszy i podobne mistyczne praktyki, których mój świecki umysł nie jest w stanie dokładnie zapamiętać.

Wydawałoby się, że społeczność mająca uwagę zwróconą na życie pozagrobowe i owładnięta cnotą pokory, gotowa nadstawiać drugi policzek, zginie w świecie okrucieństwa i przewrotności.

Tymczasem chrześcijanie na gruzach świata starożytnego oraz w barbarzyńskich krajach Północy zbudowali system władzy swoją rozległością, hierarchicznością i zdolnością opanowywania ludzkiego żywiołu nieustępujący rzymskiemu panowaniu, a pod względem wyrafinowania przewyższający go. Jak ta miłosierna pokora przeobraziła się w siłę zdolną łamać największe przeszkody, jak ta pogarda doczesności mogła doprowadzić do zbudowania okazałej i pełnej blasku kultury materialnej? To przejście od pokory do pychy, od miłowania nieprzyjaciół do ich ujarzmiania i poniżania, nie mogło się dokonać bez tego, co nazywamy makiawelizmem.

Rzecz godna podkreślenia, Machiavelli nie wiedział więcej o naturze władzy, o okrucieństwach, jakie się z nią wiążą, o przewrotności, jaka do niej należy, niż Tukidydes, Polibiusz czy Tacyt. A jednak makiawelizm jako swego rodzaju „filozofia polityczna”, jako stanowisko myślowe przed chrześcijaństwem nie był możliwy. Trzeba było dopiero, aby świat ludzki został przepełniony i – co tu kryć – zafałszowany niespotykanym przedtem idealizmem moralnym, aby idee Machiavellego tak głośno zabrzmia-

ły jako odświeżająca prawda. Makiawelizm to reakcja na podwójność uświęconej powinności i pruderyjnie niezauważanej rzeczywistości.

Makiawelizm występuje w dwóch różnych wersjach, raz jako pewna praktyka władzy, od której uchowaj nas Boże, jako sztuka walki, dążenie do celu bez względu na koszty ponoszone przez innych, drugi raz jako jasne widzenie tego, co się rzeczywiście dzieje za zasłoną moralizmu, patriotyzmu, marksizmu czy nacjonalizmu, bo nacjonalizm nie jest jeszcze tym najgorszym, co się w polityce może dziać. Podobnie jak jego przeciwieństwa może być tylko fasadą. Ten drugi rodzaj makiawelizmu należy do środków obrony obywatela przed władzą świeckich i duchownych filutów, obracających ideały, święte symbole w narzędzia manipulacji. Żyjemy w czasach, kiedy to narzędzie obrony nie straciło swojej użyteczności.

Makiawelizm jako stanowisko z historii idei prawie od swoich początków jawił się w tej swojej podwójności. Wielki filozof i kanclerz Anglii Franciszek Bacon pisał, że „powinniśmy być wdzięczni Machiavellemu i podobnym pisarzom, którzy (...) piszą o tym, jak ludzie postępują, a nie o tym, jak postępować powinni”, ponieważ jak powinni, to wszyscy i bez pouczenia dobrze wiedzą. Jan Jakub Rousseau – moralista skądinąd i demo-

krata – uważał autora „Księcia” za republikanina, uczciwego człowieka i dobrego obywatela. „Udając, że daje lekcję królom, dał wielką lekcję ludowi”. Szlachetny Spinoza, autor sławnej

Prawdziwi oszuści polityczni wiedzą, że „pierwszą zasadą ich sztuki jest nieujawnianie tajemnic swego zawodu”.

„Etyki”, uważał Machiavellego za najlepszego znawcę polityki. O jego uczciwości mówili też inni: gdyby napisano traktat o sztuce oszukiwania ludzi – a Machiavelli napisał – kto odniósłby z tego większą korzyść: oszukujący czy oszukiwani? – pyta jeden z XX-wiecznych komentatorów. Prawdziwi oszuści polityczni zawsze i we wszystkich krajach wiedzą dobrze, że „pierwszą zasadą ich sztuki jest nieujawnianie wobec innych tajemnic swego zawodu”.

W naszym kraju trzymający władzę (lub po nią sięgający) nie stosują okrucieństw fizycznych, bo to na razie nie-możliwe i niepotrzebne, ale poza tym jednym wyjątkiem biorą z arsenału Machiavellego wszystko, co może im się przydać. Zamykają społeczeństwu usta patriotyzmem, mącą umysły rozdętymi do nienaturalnych rozmiarów „wartościami”. Właśnie Machiavelli w tym kraju dyktatury oszukańczych symboli uczy nas dostrzegać fakty i dodaje śmiałości, aby nie odwracać od nich pruderyjnie wzroku, nawet gdy są nagie i paskudne.

Katarzyna Wierzbicka

Jak to jest? – Czasami przychodzę, wyciągam materiały i słyszę: „Po co tu przylazłaś, sp...”. Wtedy zabieram rzeczy i po prostu wychodzę – zaczyna 25-letnia Justyna, wolontariuszka pracująca z dziećmi z warszawskiej Pragi. – Potem dzwonią i mówią: „No dobra, możesz przyjść za tydzień”, więc przychodzę za tydzień i zaczynamy od nowa.

Justyna od trzech lat prowadzi korepetycje dla dzieci z najbardziej zaniedbanych rejonów Pragi-Północ. Pytana o to, co robi, lubi żartować, że „pracuje ze złymi dziećmi”.

„Złe dzieci”, żartuje dalej Justyna, wszystko robią „złe”: przeklinają, plują, palą papierosy, a zamiast siedzieć w szkole, włóczą się po ulicy, słuchając głośnego, wulgarnego rapu. W dodatku nie dziękują – znacznie częściej każą Justynie się wynosić. Ona jednak wraca – nie wtedy, kiedy usłyszy przepraszam, tylko po tym „No dobra, to przyjdź za tydzień”. W jej słowach nie słychać litości, sensacji czy mesjanizmu.

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego z początku 2016 r. w „pracę niezarobkową poza gospodarstwem domowym” zaangażowanych było 8,5% Polek i Polaków w wieku powyżej 15 lat. Łączna praca tych osób jest równa czasowi pracy 152,6 tys. pełnoetatowych pracowników. Natomiast całkowita wartość wolontariatu w roku 2015 wyniosła 5,2 mld zł.

Znamienne, że z perspektywy samych wolontariuszy pomaganie innym nie jest poświęceniem. Jest opowieścią o szacunku, zadowoleniu i poczuciu sensu.

Nie jestem „dobrą panią”

– Jeden z moich dziesięcioletnich uczniów zupełnie nie potrafił czytać ani pisać, choć rozwojowo wszystko było z nim w porządku. Nikt nawet nie zwrócił na to uwagi. Inny dzieciak bardzo się zdiwił, kiedy powiedziałam mu, że to, o czym słucha na historii, naprawdę się wydarzyło – wymienia Justyna. – To są dzieci poza systemem. Do szkoły chodzą tylko w teorii, w praktyce przepycha się je z klasy do klasy, żeby nie mieć z nimi do czynienia w kolejnym roku. Czasem trudno



Zajęcia z dziećmi na warszawskiej Pradze-Północ.

Pomagają innym, pomagają sobie

Wolontariat działa w dwie strony: ty coś komuś dajesz, ale też dostajesz

się dziwić, przeciętny nauczyciel nie ma narzędzi, żeby zajmować się na lekcji dziewięcio- czy dziesięciolatkami, który tamie wszystkie możliwe zasady. Zresztą taki jest ich cel – wprowadzić nauczyciela z równowagi, żeby mieć jakąkolwiek kontrolę nad sytuacją, wtedy jest bardziej przewidywalnie. Zwykle udaje im się bez pudła.

Zaczęło się w liceum. Niezła z matematyki Justyna lubiła tłumaczyć trudniejsze zagadnienia koleżankom. Do „złych dzieci”, jak twierdzi, ma słabość – w szkole zadawała się z podobnymi rówieśnikami. W końcu trafiła do GPAS – Grupy Pedagogiki i Animacji Społecznej na warszawskiej Pradze-Północ. To organizacja pedagogów ulicznych, którzy prowadzą zajęcia sportowe, artystyczne i edukacyjne dla dzieci z najbardziej wykluczonych społecznie środowisk.

Jednym z ich projektów, współprowadzonym z artystą Pawłem Althamerem, była słynna rzeźba „Pan Guma”. Dzieci miały wyrzeźbić coś, co jest dla nich ważne. Wymyśliły więc, że będzie to znany im od lat, zmarły kilka miesięcy wcześniej, mieszkanie ul. Brzeskiej, nazywany przez nie „Gumą” – lokalny drobny przestępca i pijaczek, który stał zawsze na rogu Stalowej i Czyszowej i kiwał się charakterystycznie w przód i w tył, prosząc przechodniów o drobne. Przedstawiająca go rzeźba została ustawiona w tym samym miejscu, a zamontowana sprężyna powodowała, że – tak jak prawdziwy „Guma” – postać lekko się kiwała z każdym podmuchem wiatru. Od kilku lat jednak rzeźba znajduje się w muzeum, bo podobno za bardzo podkreślała złą reputację dzielnicy.

– Nie jestem „dobrą panią”, a to nie są „biedne dzieci” – Justyna o swoich podopiecznych opowiada trochę jak o niesfornych znajomych. – Bywają nieznośne i agresywne. Rzadko się otwierają, a ja tego od nich nie oczekuję. Moją ambicją nie jest zmienianie ich, ich środowiska i priorytetów – przychodzę, żeby pomóc im w lekcjach.

– Wiesz, tylko z tym pomaganiem tak naprawdę nie chodzi wyłącznie o lekcje – dodaje po zastanowieniu. – Ich największym problemem nie jest to, że oni czegoś nie umieją, ale to, że uważają, że nigdy się nie nauczą – mimo że nie mają żadnych ograniczeń intelektualnych. Mówią:

powiedziało jedno stowarzyszenie. Akurat poszukiwali kogoś z moimi kompetencjami. Dostałam swoje stanowisko pracy i zakres zadań, który właściwie niewiele się różnił od tego, co robiłam wcześniej. Ale praca jest zupełnie inna.

Swoje umiejętności z dziedziny sprzedaży i marketingu przeniosła do pracy wolontariackiej – o ile w korporacji wykorzystywała je po to, żeby zarabiać pieniądze dla firmy, o tyle teraz zdobywa je na projekty fundacji. Wie, że prędzej czy później musi wrócić do pracy zarobkowej – ma jednak nadzieję, że tym razem nie będzie to korporacja. – Wiem, że ta bajka kiedyś będzie musiała się skończyć, oszczędności

„Brave Kids” mający zmniejszać bariery kulturowe poprzez wspólne działania artystyczne dzieci z różnych krajów i kultur. – Zaczęłam pracę przy tym projekcie w 2015 r., kiedy kryzys uchodźczy był w apogeum. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem wtedy, co mam myśleć o tych całych migrantach. Kończyłem prawo i chciałem zdobyć doświadczenie w prowadzeniu dużego projektu – dlatego w to wszedłem. Potem miałem się zająć robieniem kariery.

Z robienia kariery – takiej, jaką zaplanował sobie wcześniej – niewiele wyszło. Janek postanowił bowiem zostać przy „Brave Kids”. – Poczuję, że otworzyły mi się oczy i że

Pomaga się w dużej mierze dla siebie. Nigdy nie byłam bardziej zadowolona z życia niż teraz.

„Nie umiem tego, jestem głupi”. Kiedy się okaże, że jakieś zadanie zrobili dobrze, nie mogą w to uwierzyć – „złe dzieci” zakładają, że zrobią źle.

Człowiek potrzebuje zrobić coś dla innych

– Angażowanie się to nie obowiązek. Nie każdy musi pomagać – Natalia mówi dużo i szybko, wydaje się pełna energii. – Rzecz w tym, że człowiek po prostu potrzebuje zrobić coś dla innych.

Natalia ma 40 lat, kilkanaście przepracowała na stanowisku kierowniczym w dużej firmie. Dziś pracuje za darmo w dwóch organizacjach. W jednej zajmuje się zbieraniem funduszy, w drugiej – lekcjami polskiego dla siedmiolatka z Syrii. Z firmy odeszła po 12 latach. Od tego się zaczęło. – Miałam pieniądze, umowę na czas nieokreślony i pakiet dodatkowych korzyści. Jak tylko mieliśmy z mężem wolne, zabieraliśmy dzieci na jakiś wyjazd. Właściwie żyłam od wyjazdu do wyjazdu. Aż w końcu nawet te wyjazdy przestały mnie cieszyć – opowiada. – Po odejściu z pracy byłam tak wypalona, że postanowiłam zrobić sobie przerwę. Tylko że w takiej sytuacji masz nagle bardzo dużo wolnego czasu, z którym coś trzeba zrobić.

Najpierw pisała do różnych organizacji, pytając, czy nie potrzebują wolontariusza – bez odpowiedzi. – Czułam się trochę głupio: 40-lątka, matka dwójki dzieci, prosi, żeby ktoś przyjął jej pomoc. W końcu od-



Finałowy spektakl „Brave Kids” 2018 we Wrocławiu.

w końcu się wyczerpują. Bardzo nie chcę wracać do poprzedniego trybu – być może uda mi się zatrudnić chociaż na część etatu w fundacji, w której pracuję. Wszystko rozbija się nie o to, co się robi, ale po co się to robi.

Otworzyły mi się oczy

W wypowiedziach wolontariuszy dominuje motyw wzmocnienia i całkiem osobistej satysfakcji. „To sprawia, że czuję się silniejsza”, „wiele mi to daje” – te zdania powtarzają się najczęściej.

– To nie jest tak, że tylko ty coś komuś dajesz. To działa w obie strony – dajesz coś od siebie i dostajesz coś w zamian – potwierdza Janek, który od kilku lat koordynuje program

mam umiejętności, których nie miałem wcześniej. Coś się otworzyło, coś się zmieniło.

– Nie masz pojęcia, jakie to uczucie widzieć moment, w którym dzieciakowi uważającemu wcześniej, że tabliczka mnożenia to przypadkowy zbiór liczb, nagle włącza się abstrakcyjne myślenie – mówi Justyna w odpowiedzi na pytanie o powody, dla których pracuje za darmo. – Albo kiedy chłopak, który przez trzy lata szkoły nie wiedział, co to jest ułamek, oblicza na twoich oczach pole trapezu – pokazując przy tym, jak bardzo go to nie obchodzi.

Natalia: – Może to zabrzmie trochę egoistycznie, ale pomaga się w dużej mierze dla siebie. Nigdy nie byłam bardziej zadowolona z życia niż teraz. ■

Głupio się przyznać, że jest się wykluczonym

To wszystko za późno. Ludzie z Pomorza, Warmii i Mazur nie wierzą, by transport publiczny wrócił

Helena Leman

Na drodze wojewódzkiej łączącej Elbląg z Braniewem sznur pojazdów, niektóre z rosyjskimi tablicami rejestracyjnymi. Mija mnie duży autobus, potem bus, oba mkną prosto do Braniewa. Za nimi moźlnie wspina się na wzgórze elbląskiej Bażantarni miejski autobus linii nr 20. Gdy w Milejewie skręcam w boczną szosę na Młynary, robi się cicho, czasem przemknie pojedyncza osobówka. Z naprzeciwka, walcząc z wiatrem, jedzie na rowerze starszy mężczyzna.

– Czym mam dojechać do sklepu, jak nie rowerem? – pyta zaskoczony. – Pekaesy zabrali, do Majewa, gdzie mieszkam, dojeżdża jeszcze miejski autobus, ale tylko trzy razy dziennie. Sklep we wsi zamknęli, bo był nierentowny. Najbliższy jest w Milejewie i tam właśnie jadę po zakupy. Wszędzie ta sama bieda. Po drugiej stronie Elbląga autobusy na Markusy czy Krzewsk też polikwidowano. Jak nie masz samochodu, to się nie ruszysz. Dobrze, że chociaż zdrowie dopisuje i mogę jeszcze na tych dwóch kółkach do sklepu podskoczyć, bo inaczej trzeba by prosić sąsiada o podwiezienie. A przecież nikt za darmo nie będzie cię obsługiwał.

Pan Jan nie wierzy w rządowy program przywracania lokalnych połączeń. – To, co było, już nie wróci, za dużo wiosek zostało odciętych – mówi. – Żeby to wszystko odbudować, trzeba by ogromnych nakładów. A z tym jest najtrudniej. U nas w Majewie autobus miejski z Elbląga stoi na pętli 20 minut, ludzie z sąsiednich Monasterzysk chcieli, żeby dojeżdżał też do nich, to zaledwie 2 km dalej. Ale do porozumienia nie doszło, bo wieś należy do innej gminy. Choć do Elbląga rzut kamieniem, niespełna 20 km, to ze wsi za Majewem wydostać się trudno.

Pan Franciszek, którego spotykam na tej samej drodze niedaleko Zaścianek, pokazuje szosę dziwnie zwężoną na odcinku kilku kilometrów. Na remont całej zabrakło środków, naprawiono więc połowę, tę jeszcze polniemiecką. Aby się minąć na wąskiej wstążce asfaltu, samochody zjeżdżają na nieutwardzoną część drogi.

– Ja samochód mam, a rowerem jeżdżę tylko dla zdrowia – zaznacza pan Franciszek. – Trzymam kciuki za ten program, ale myślę, że całociowo to on nie wypali. I tak zwycięży ekonomia, po takich wioskach jak nasze kursy dużych autobusów są nieopłacalne, powinny tu jeździć busiki, tańsze w eksploatacji. Tylko czy młodzi przyzwyczajeni do samochodów przesiądą się do nich?

Dobrze, że mogę jeszcze na rowerze do sklepu podskoczyć, bo inaczej trzeba by prosić sąsiada o podwiezienie.

Pan Franciszek dodaje, że katastrofą jest sytuacja starszych osób. – Często wożę samotną sąsiadkę do lekarza, do sklepu, do gminy. Znamy się od lat, więc kawę mi postawi i jest w porządku. Ale nieraz ludzie muszą się naprosić, a w ogóle to obowiązuje zasada: ratuj się kto może.

Skuterem albo pieszo

Kamila Błaszczak, z którą rozmawiam na przystanku w Młynarach, czeka na znajomego, który ma ją podzucić do domu w Słobitach. – Często, gdy muszę pojechać z dzieckiem do lekarza do Paśtka albo do specjalisty w Elblągu, wynajmuję samochód – mówi. – Koszt do Elbląga to 80 zł, jeśli załatwię sprawę szybko. Ostatnio była kolejka, to zapłaciłam 100 zł. Do Paśtka jest taniej, w granicach 50 zł. Dzisiaj wracam od rodziców w Elblągu, do Młynar dojechałam, dalej nie mam połączenia. Jak nikt mnie nie



podzuci, najwyżej pójde pieszo. Do Słobit to około dwóch godzin marszu, tylko pogoda dziś nieprzyjemna, zimno i wieje.

Kamila jeździła też skuterem, nawet do Elbląga. Ostatnio jednak skuter się popsuł. Kobieta ma trójkę dzieci i męża rencistę, który dorabia „na drogach”. Kamila, choć dostaje środki z programu 500+, marzy, by pójść

do pracy, najlepiej do zieleni miejskiej w Paśtku lub Elblągu.

– Dotychczas pracowałam dorywczo, myłam klatki schodowe, zbierałam lipę, truskawki – wymienia. – Teraz, gdy dzieci podrosły, zajęłaby się nimi teściowa, a ja mogłabym poszukać stałego zajęcia. Tylko żeby ta komunikacja była lepsza. Na przykład rano mam autobus o godz. 6.45 ze Słobit do Młynar, a o 6.59 z Młynar do Elbląga. Wystarczy, że ten pierwszy spóźni się kilka minut i już do pracy nie dojadę. A spóźnia się często. Najlepszy byłby pociąg, do końca 2012 r. jeździły przez naszą wieś pociągi z Elbląga do Braniewa, ale trasę zamknięto jako nierentowną. Może po zapowiedziach rządu coś się zmieni?

Wykluczeni przy autostradzie

Przed Nowym Monasterzyskiem szosę z Młynar w kierunku Milejewa przecina nowy wiadukt. Pod nim



idzie droga ekspresowa do przejścia granicznego w Grzechotkach. Za wiaduktem jest zjazd do niewielkiej wsi Karszewo, która z trudem wywalczyła autobus łączący ją ze światem. – Dzięki naszym interwencjom i staraniom gminy utrzymano kurs przez Młynary do Elbląga i z powrotem – mówi sołtys Maria Kamecka. – Autobus wyjeżdża od nas o godz. 6.30, a wraca o 15.40. Rano to trochę późno, żeby zdążyć na godz. 8 do pracy i do szkół średnich, a po południu za wcześnie. Z tego powodu nasi uczniowie musieli zamieszkać w internacie. Ale my i tak cieszymy się z tego połączenia, bo przynajmniej można dotrzeć do lekarza, do gminy, na zakupy, a są przecież wsie zupełnie pozbawione dojazdu.

Gmina Młynary dofinansowuje trzy kursy: dwa do Elbląga, jeden po terenie gminy. – Niestety, autobusy nie dojeżdżają do wszystkich wsi, np. do Warszewa czy Sokolnik – mówi Anna Kołodziej-Rabiczko, sekretarz gminy. – Trudno tak ułożyć trasę, by zadowolić każdego. A od września potrzeby komunikacyjne będą większe, bo dwa roczniki pójdą do szkół średnich.

Trudniejsza sytuacja jest w gminach na północny wschód od Młynar. – Z naszej wsi można wyjechać tylko autobusem szkolnym wynajętym przez gminę – opowiada sołtys Jarzenia w gminie Lelkowo, Zbigniew Czerwiński. – Autobus wyjeżdża ze wsi o godz. 7 rano, a wraca o 16.20. Czasem jest jeszcze kurs o godz. 14, ale nie zawsze, bo przejazdy są dopa-

sowane do planu lekcji. Lekarz w Lelkowie przyjmuje od godz. 14, jak jest kolejka, można nie zdążyć wrócić, już nie mówiąc o czekaniu od rana. W weekendy, święta, wakacje i ferie dojazdu nie ma wcale. Do wojewódzkiego Olsztyna jedzie się z dwiema przesiadkami: najpierw „szkolnym” do Lelkowa, potem z Lelkowa do Pieńki albo Ornety, a stamtąd busami do Olsztyna. To nie jest wyprawa dla starszych ludzi. Gros mieszkańców ma tu niewielkie emerytury rolnicze, po 800-1000 zł. Nie stać ich na utrzymanie czy nawet wynajęcie samochodu, więc siedzą w domu.

Ludzie sypią przykładami zlikwidowanych połączeń. – W zeszłym roku Arriva zawiesiła kursy na trasie Węgorzewo-Gdańsk, autobusami jeździło mnóstwo osób z gmin przygranicznych, studenci na uczelnie. Podobno połączenia mają wrócić latem. Dla kogo? Dla turystów? – pytają. – Na drodze Orneta-Dobre Miasto asfalt zszedł razem ze śniegiem, koło można stracić. Do Głębocka też droga tragiczna. Do powiatu w Braniewie z Lelkowa jest jeden autobus o godz. 6.30, który wraca o 13.

– Od nas do gminy również dojeżdża się tylko autobusem szkolnym – mówi sołtys Bieńkowa, Roman Kich. – Szosa dziurawa, w fatalnym stanie, nawet gdyby się znalazła jakaś firma przewoźowa, to autobus po takiej drodze nie pojedzie. Zresztą nie będzie się opłacać, zameldowanych jest u nas 47 osób, z czego sześć przebywa za granicą. Kilometr od nas jest

Szosa dziurawa, nawet gdyby się znalazła jakaś firma przewoźowa, autobus po takiej drodze nie pojedzie.

wieś Zagaje, kiedyś funkcjonował tam duży PGR. Dziś do pustostanów w blokach sprowadza się ludzi zalegających z czynszami w miastach. Dostają tu lokale socjalne i wyciągają rękę do gminy, która i tak jest biedna. Zapowiedzi, że samorządy mają partycypować w odbudowie komunikacji lokalnej, rodzą więc obawy.

Stefan Hrybek z gminy Płoskinia dodaje: – Jeżeli kursy autobusowe będą finansowe przez państwo, to gmina jest za przywróceniem i rozwojem komunikacji autobusowej. Natomiast jeśli gmina ma finansować komunikację, podobnie jak obecnie dofinansowuje oświatę, będzie to

zbyt dużym obciążeniem. Jeśli ma powstać jakieś rozwiązanie, to jedynie systemowe przy wykorzystaniu wsparcia finansowego państwa.

W gminie Płoskinia połączeń autobusowych nie mają cztery wsie: Pierławki, Giedyle, Łojewo i Robuzy. Pozostałych 10 wsi ma dwa kursy dziennie, przez miejscowość gminną przejeżdżają dziennie cztery autobusy. W weekendy i święta połączeń autobusowych nie ma wcale. Gmina nie partycypuje w kosztach utrzymania komunikacji.

Niestyszalni

Zanim sprawę wykluczenia komunikacyjnego poruszył Robert Biedroń na konwencji wyborczej Wiosny, a potem problem ten stał się jednym z elementów tzw. piątki PiS, przed zapaścią komunikacyjną na prowincji ostrzegali już wiele lat wcześniej naukowcy i organizacje pozarządowe: Instytut Spraw Obywatelskich, Fundacja Pro Kolej, Klub Jagielloński, Fundacja Nowe Spojrzenie. Do zorganizowanej przez nie kampanii obywatelskiej #MyPasażerowie przyłączył się Kongres Ruchów Miejskich. 12 czerwca 2017 r. do ministra infrastruktury Andrzeja Adamczyka wysłano manifest „My, Pasażerowie”. Już wtedy podkreślano, że według danych SGH od wstąpienia Polski do UE komunikacja publiczna poza miastami zmniejszyła się o 40%. Według Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN do ponad 20% sołectw w Polsce

nie dociera żadna komunikacja, a do wielu pozostałych tylko dwa autobusy dziennie. Domagano się, aby za organizację transportu autobusowego odpowiadał jeden szczebel samorządu, a nie sześć – jak teraz – co sprawia, że jedni zrzucają odpowiedzialność na drugich. Kolejnymi postulatami były minimalne standardy gwarantowane wszystkim obywatelom oraz porzucenie mitu o samofinansowaniu komunikacji autobusowej – nakładając odpowiedzialność na samorządy, je trzeba wesprzeć finansowo. „Gdyby tylko 10% środków unijnych na transport publiczny i kolej przeznaczyć na autobusy poza miastami, ▶

► każdy powiat mógłby dostawać co roku po sześć-siedem małych, nowoczesnych i tanich w utrzymaniu autobusów. Chcemy wspólnych biletów i dobrej informacji, to jest możliwe, działa np. w Czechach”, przekonywano w manifestacji. Jego autorzy w maju 2018 r. zorganizowali konferencję pod hasłem „Ratujmy transport w regionach”, podczas której domagali się uwzględnienia ich postulatów w przygotowywanej przez rząd nowelizacji ustawy o publicznym transporcie zbiorowym.

Problem braku transportu nagłaśniały też różne projekty lokalne, np. „Bieszczady to nie zadupie” zainicjowany przez Jerzego Zubę, radnego powiatu sanockiego. – Po wielu spektakularnych akcjach, po spotkaniu w Zagórzu sejmowej Komisji Infrastruktury jako mieszkańcy czujemy niedosyt. Problemy zostały zdefiniowane, ale niewiele się dzieje, by je rozwiązywać – tak w 2017 r. radny tłumaczył powstanie tej inicjatywy.

Wszystkie te wołania były jednak słabo słyszalne. Temat wykluczenia komunikacyjnego przebił się dopiero w roku wyborczym, na dobre w lutym 2019 r. po konwencji PiS. Zdecydowanie za późno.

Uczmy się od Czechów

Maciej Ostrowski z Centrum Studiów Regionalnych UniRegio w raporcie „Wykluczenie komunikacyjne w Polsce (na przykładzie woj. pomorskiego)” z 2016 r. tak przedstawiał standardy czeskie: „Na Morawach w 2010 r. na poziomie wojewódzkim uchwalono przepisy, według których każda miejscowość wiejska musi mieć przynajmniej sześć połączeń autobusowych w ciągu doby, a weekendy przynajmniej trzy. Wszystkie połączenia muszą być skomunikowane z nie dłuższymi niż 10 minut przesiadkami do Brna i Znojma – stolicy województwa i powiatu”.

Według raportu w 2016 r. na 1650 wsi w województwie pomorskim w prawie 400 nie funkcjonował żaden transport publiczny, w weekendy zaś nie docierał do prawie połowy



Do końca 2012 r. jeździły przez wieś pociągi z Elbląga do Braniewa. Trasę zamknięto jako nierentowną.



miejscowości. Choć w województwie był plan komunikacyjny, nie został skonstruowany z myślą o potrzebach mieszkańców obrzeży województwa. „O ile obszar Trójmiasta i pas sięgający od Pucka aż po Malbork charakteryzuje się świetną dostępnością komunikacyjną, o tyle zachodnia i południowa część regionu odznacza się słabą dostępnością tak jak obrzeża województw mazowieckiego i warmińsko-mazurskiego”, podkreślał autor opracowania.

13 marca minister infrastruktury Andrzej Adamczyk zapowiedział, że rząd przeznaczy 800 mln zł na

dofinansowanie deficytu w przewozach autobusowych. Podkreślił też, że bez zaangażowania samorządów ten projekt się nie powiedzie. – Liczymy, że samorzady sfinansują do 30% tego deficytu – wyjaśniał.

– W przygotowaniu są dwie ustawy dotyczące publicznego transportu zbiorowego – mówi Rafał Górski z Instytutu Spraw Obywatelskich. – Pierwsza z 2009 r., nowelizowana od 10 lat, i druga, o rozwoju przewozów autobusowych. Ustawa ma wejść w życie w drugiej połowie maja, przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Z jednej strony, bardzo się cieszymy, że wreszcie jest wola polityczna rozwiązania problemu, o którym mówimy od lat. Z drugiej, niepokoi nas ignorowanie postulatów i opinii środowisk, które zajmują się problemem od ponad dwóch dekad. A postulaty mamy przynajmniej trzy:

1. Przywrócenie zlikwidowanych połączeń autobusowych i kolejowych do małych miejscowości.
2. Internetowy rozkład jazdy wszystkich środków transportu, tak jak w Czechach.
3. Wspólny bilet na wszystkie środki transportu.

Żeby nasze działania były bardziej nośne i miały większy mandat społeczny, zbieramy podpisy pod petycją: „My, Pasażerowie, żądamy!” na stronie www.lepszytransport.pl.

Górski podkreśla, że Instytut Spraw Obywatelskich również stoi na stanowisku, że państwo powinno wspierać gminy w organizacji transportu. – Jednak zapis w projekcie tzw. ustawy autobusowej, że liczyć się będzie kolejność wniosków o dofinansowanie, rodzi obawy, że środki mogą nie trafić do rejonów najbardziej potrzebujących – dodaje.

Tymczasem w gminach, z którymi się kontaktowałam, oficjalnych informacji o planowanych rozwiązaniach i trwających konsultacjach społecznych właściwie nie ma. Można odnieść wrażenie, że trochę ucieka się tam od tematu. – Głupio tak się przyznać, że jest się wykluczonym, gorszym jakimś. Potem pani napisze i łatka zostanie – tłumaczy mi jeden z rozmówców...

Helena Leman

Wasza pomoc ma znaczenie!

Od 20 lat jesteśmy na rynku wydawniczym. Z Waszą pomocą zrobiliśmy bardzo dużo. Nie mamy dotacji ani reklam. A kolporterzy RUCH i Garmond są nam dłuźni ponad 300 tys. zł.

POMOŻESZ?

Warto wspierać fundację PRZEGLĄDU

CZYTELNIKU, KUPUJĄC NASZE KSIĄŻKI, WSPIERASZ PRZEGLĄD

Zebrane środki przeznaczymy na sfinansowanie nowych projektów wydawniczych



Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy – wpłać darowiznę na konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Santander Bank Polska S.A. Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W przelewie prosimy wpisać tytuł książki lub Darowizna
(i dopisać adres e-mail, byśmy mogli przesłać podziękowania). Wpłat darowizny można dokonywać
także online, wchodząc na www.tygodnikprzeglad.pl.

Ewa Rogowska

Byłam sprzedawczynią alkoholi. Kilka miesięcy temu w ramach wcieleniówki sprzedawałam w sklepach monopolowych w Warszawie. Niedługo, raptem cztery dni po kilka godzin. Wtedy właśnie odkryłam, jak wielkim powodzeniem cieszą się małpki – wódki w butelkach po 100 ml. A od koleżanek ekspedientek dowiedziałam się, że najbardziej chodliwe są – w tym akurat czasie – cytrynowki. Najbardziej pożądane małpki były pod ręką, czyli pod ladą, żeby co chwilę nie biegać do półki. Bo o te miniobjętości prosił co drugi klient.

wet jeśli to prawda, wynik i tak jest imponujący.

Z małpką i psem

Firma Synergion zebrała dane ze 150 sklepów w całym kraju. Badanie zlecił i sfinansował Związek Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego. Producentów piw zaczął bowiem niepokoić wzrost zainteresowania napojami wysokoprocentowymi, co wpływa negatywnie na spożycie piwa. Chociaż w 2018 r. – jak wynika z badań Centrum Monitorowania Rynku – nadal w małych sklepach pierwsze miejsce wśród kupowanych alkoholi zajmowało piwo (51,6% sprzedaży), to za nim znalazła się wódka czysta

monopolowych w Warszawie. Zlokalizowanych w najbardziej elitarnych i najbardziej zapyziałych rejonach miasta. Nie było takiego, który w ofercie nie miałby wódki w butelkach po 100 i 200 ml. W tej chwili każda duża wytwórnia wódek oferuje co najmniej kilkanaście ich rodzajów rozlewanych do najmniejszych butelek. W sklepach małpki zajmują co najmniej jedną półtorametrową półkę, ale są i takie placówki, w których wypełniony jest nimi pokaźny regał.

Warszawski Gocławek w pobliżu stacji Olszynka Grochowska. Tu skromne domy i ubogie kamienice komunalne sąsiadują z nowymi willami i apartamentowcami. Codziennie setki mieszkańców z torów



MAŁA BUTELKA, DUŻY PROBLEM

Małpka stała się hitem. Cena przystępna, a siła rażenia większa niż piwo



Ze zdziwieniem zauważyłam, że często kupujący małpkę wracał i powtarzał zamówienie. Nie rozumiałam, dlaczego nie kupić od razu pół litra. Ale z czasem pojęłam. To taki nowy styl życia.

Moje spostrzeżenie potwierdziło wykonane w ubiegłym roku badanie firmy Synergion „Dokąd płynie mała wódka”. Według niego codziennie Polacy kupują 3 mln 100- i 200-mililitrowych buteleczek wódki, z czego 1 mln przed południem. Czyli – dla części – przed rozpoczęciem pracy lub w jej trakcie. Przemysł spirytusowy obruszył się na takie wyniki. Twierdzi, że dziennie sprzedaje się o połowę mniej małych butelek. Na-

(26,5% sprzedaży) i wódka smakowa (12,7%). Mimo wszystko wódki, czyste i smakowe, razem nie pobiły piwa.

Zdaniem firmy Synergion 28% transakcji zakupu wódek w małpkach, czyli w opakowaniach 100 i 200 ml, jest dokonywanych przed południem, po południu – 36%, a po godz. 18 – kolejne 36%. Największą grupę klientów stanowią pracownicy fizyczni, za nimi są osoby młode w wieku 20-25 lat, panowie na spacerze z psem, emeryci i młode kobiety.

Picie od rana do wieczora

Odwiedziłam kilkadziesiąt małych sklepów spożywczych i sklepów

kolejowych i ludzi z kwater pracowniczych przemieszczają się do zakładów pracy. Setki ludzi z podwarszawskich miejscowości wysiadają z pociągów, aby przesiąść się do autobusów. Taki szczególny punkt, gdzie bieda spotyka się z bogactwem. Nieduży sklep łączy oczekiwania wszystkich klientów, oferując towary podstawowe w przystępnych cenach, a obok nich luksusowe, jak choćby szynka prosciutto prosto z Włoch, którą tylko właścicielka potrafi pokroić na prawie przezroczyste plastry.

Sprzedawczynie potwierdza, że wódka w małpkach dobrze się sprzedaje. – Klienci przychodzą przez cały dzień – opowiada. – Sprzedaż wód-

ki w małych opakowaniach zaczyna się właściwie od momentu otwarcia sklepu. Większość kupujących to mężczyźni, często pracownicy fizyczni. Niektórzy przychodzą dwa czy trzy razy dziennie. Nie wiem, gdzie piją alkohol. W każdym razie nie pod sklepem, bo my na to nie pozwalamy. Po godz. 18 sprzedaż setek jest mniejsza.

Martwię się, że nie będzie chętnych na małpki, bo dochodzi godz. 19. Ale po chwili wchodzi dwóch młodych mężczyzn. Jeden bierze piwo i setkę pigwówki, drugi też piwo i setkę cytrynówki. – Piwo i setka to stały zestaw, wielu mężczyzn tak właśnie kupuje – mówi ekspedientka. Młody mężczyzna. Kawałek swojskiej kiełbasy i małpka. Kolejny mężczyzna.



Papierosy i małpka. Młoda Ukrainka nieufnie ogląda ziemniaki. W końcu decyduje się na zakup. Do tego małpka. Setka ląduje w torebce. Dlatego sprzedawcy mówią, że te buteleczki mają rozmiar kieszonkowy – w przypadku mężczyzn – albo torebkowy właśnie. I dodają, że cieszą się one tak dużą popularnością, bo cena ok. 5 zł jest przystępna, a siła rażenia znacznie większa niż piwa.

Gdzie piją? 85 damskich kroków od sklepu jest pusta działka. Wystarczy, by opróżnić butelkę. W dużej męskiej dłoni małpka chowa się całkowicie i nie widać, że delikwent pije alkohol. Można przypuszczać, że pociera nos. Na skraju działki porzu-

cone puste buteleczki. Postanawiam przyjechać następnego dnia w momencie otwarcia sklepu, by namierzyć spragnionych. To jedyny sklep w okolicy otwierany o godz. 5.

Pierwsza klientka pojawia się 15 minut po otwarciu. Zakupy ma w damskiej torebce. Małpka? 5.30. Ze sklepu wychodzi mężczyzna. Dyskretnie pije na przystanku. Butelkę wyrzuca do kosza na śmieci. Ruch klientów coraz większy. Co chwila podjeżdża samochód. Co chwila też do sklepu zbliżają się mężczyźni: samotnie, w dwójkach, w kilkusobowych grupach, bo właśnie wysiedli z pociągu. Dwóch akurat wyszło ze sklepu. Idą w kierunku pustej działki. Jeden pali papierosa, drugi pije z niewidocznej butelki. Szklko wyrzuca na trawnik. Dwóch następnych wychodzi ze sklepu i wsiada do samochodu. Ten zajmujący miejsce pasażera otwiera małpkę i pije, nie przejmując się tym, że ktoś może zauważyć. Codzienny poranek rodaków.

Milion na rauszu

Dr Andrzej Silczuk, kierownik Profilaktyki i Leczenia Uzależnień Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, najstarszej stołecznej placówki zajmującej się leczeniem alkoholików, nie chce rozmawiać o małpkach. Mówi, że nie ma stosownych badań wykonywanych przez naukowców, więc można by tylko domniemywać. Istniejący w instytucie Zakład Badań nad Alkoholizmem i Toksykomaniami nie ma takiego programu badawczego.

Krzysztof Brzózka z Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych uważa, że branża spirytusowa dostrzegła w pewnym momencie, że niezagospodarowanym segmentem klientów są kobiety. Najpierw ukłon w stronę kobiet zrobili browarnicy, którzy wypuścili na rynek piwa o smaku soków. Teraz przemysł piwowarski ma ogromne pretensje do spirytusowego, że wypuścił 100-mililitrowe opakowania, bo część kobiet kupuje małpki z wódkami smakowymi i likierami zamiast piwa. – Bardzo mnie to niepokoi, że do pracy idzie codziennie prawie milion osób pod wpływem alkoholu – mówi Brzózka. – Dwa czy trzy lata temu w Ministerstwie Zdrowia był taki projekt, żeby zakazać sprzedaży

alkoholi w małych objętościach, ale ostatecznie nie przeszedł. Są organizowane przez przemysł spirytusowy czy piwowarski badania, o których oni mówią, że to badania naukowe. Na przykład według jednego z nich młodzież mieszkająca w miejscowości, gdzie są dwa browary, mniej się upija niż rówieśnicy.

Siła przebitcia PARPA nie jest zbyt duża, choćby z powodu budżetu. Agencja ma ok. 4 mln zł, a branża spirytusowa na reklamy przeznacza 1,4 mld zł.

Na smuteczki tyk wódeczki

Przystań Psychologiczna to jedno z tych miejsc w Warszawie, w których osoba uzależniona może znaleźć pomoc. Jej współtwórcą i jednocześnie tamtejszym terapeutą jest psycholog Wojciech Tomaszewski. Twierdzi, że alkohole w butelkach o małych pojemnościach to nic nowego, były na rynku także przed wojną. Tylko że wtedy nazywano je piaskami. – Niektórzy mówią o alkoholu, że to cichy zabójca. Ja uważam, że to jeden z twardszych narkotyków, niewspółmiernie groźniejszy niż trawka – podkreśla Tomaszewski. – Skutki picia alkoholu to wypadki komunikacyjne, przestępstwa, zabójstwa, samobójstwa.

Buteleczki mają rozmiar kieszonkowy albo torebkowy.

Czy wśród jego pacjentów są osoby, które wpadły w nałóg, bo zaczęły pić alkohol w małpkach, co wydawało się im niegroźne? – To tak nie działa – tłumaczy Tomaszewski. – Małpki nie są przyczyną uzależnienia, ale mogą je wzmacniać, podtrzymywać. Na pewno takie małe pojemności powodują, że łatwiej alkohol spożywać w przestrzeni miejskiej. Poza tym na małe objętości łatwiej uezbiarać pieniądze w przypadku osób, dla których koszt pół litra jest zbyt wysoki. Jeśli chodzi o uzależnienie, nie ma też znaczenia, czy człowiek jest wykształcony, czy nie. Ważne jest to, w jaki sposób radzi sobie z emocjami. Ludzie po dniu pracy wracają do domu, nalewają sobie szklaneczkę whisky, wypijają i to ich relaksuje. Z czasem od tego się uzależniają i nie potrafią

► się relaksować w inny sposób. Albo mają jakieś proste fobie społeczne, które można przepracować z psychologiem i się ich pozbyć. A oni sięgają po alkohol i je zagłuszają.

Psycholog spotkał się z przypadkiem młodej kobiety, która bała się wyjść z domu, bo sądziła, że może jej się przydarzyć coś złego. Jej koleżanka mieszkała zaledwie 300 m dalej, ale żeby do niej pójść, kobieta musiała wypić piwo na odwagę. A potem u koleżanki też wypijała piwo, żeby wrócić do domu. – Nie przeżywała lęku, bo blokował go alkohol – mówi Tomaszewski. – Podobnie po alkohol sięgają ludzie, kiedy chcą zagłuszyć jakieś traumatyczne doświadczenie. Dlatego np. chłopak, którego rzuciła dziewczyna, przez tydzień się upija, żeby o tym nie myśleć. Mechanizm nałogowego regulowania uczuć jest taki: jeśli komuś jest smutno, źle, to kupuje flaszkę i wypija kieliszek.

Tomaszewski kilka lat temu był na spektaklu „Upiór w operze” w warszawskiej Romie. Towarzystwo eleganckie, panowie w garniturach. W antrakcie wszedł do toalety. A tam

mężczyzna pił wódkę z 200-mililitrowej butelki. Był to zaskakujący widok. Ale Tomaszewski, psycholog pracujący z osobami uzależnionymi, doskonale to rozumiał. – Wiem, że istnieje coś takiego jak zespół odstawienny – mówi. – Osoba uzależniona musi wypić, żeby nie mieć efektu odstawiennego. To jest podobne zjawisko jak u kogoś, kto długo nic

Małpki nie są przyczyną uzależnienia, ale mogą je wzmacniać, podtrzymywać.

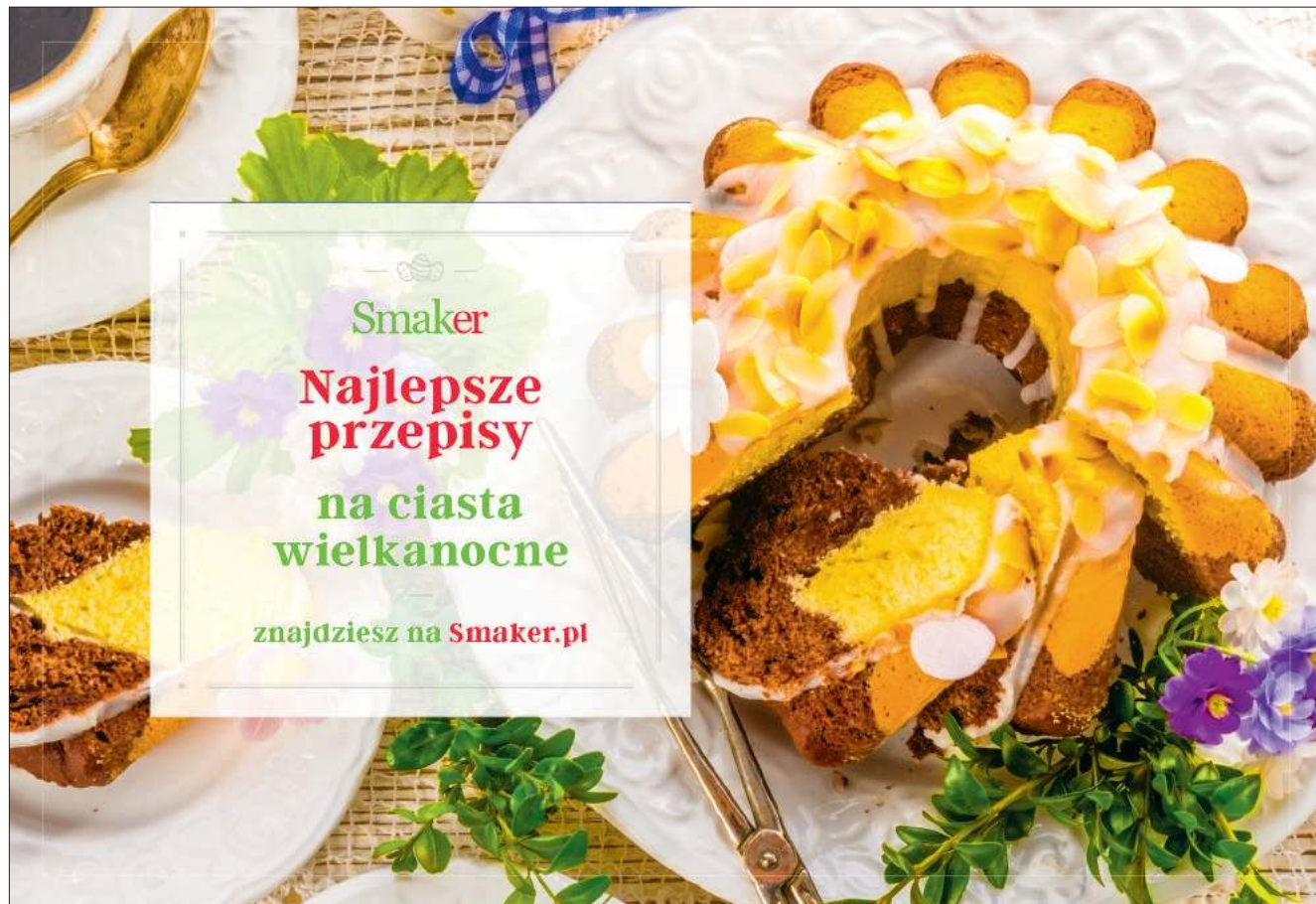
nie jadł, a forsował się fizycznie. Wtedy może nawet z głodu wystąpić trzęsionka. Tylko że w przypadku alkoholu ten efekt jest 10 albo i 100 razy mocniejszy. Kiedyś w sklepie, w którym alkohol stał na półkach, zobaczyłem mężczyznę, który podbiegł do półki, chwycił butelkę i szybko wypił parę łyków.

Małe buteleczki to nowy sposób konsumpcji alkoholu zastępujący biesiadowanie. Kiedyś robiło się

zrzutkę na butelkę, potem rozlewało wódkę do kieliszków albo musztardówek, na trzy cztery wypijało, między jednym a drugim kieliszkiem zaś gadało. Między pijącymi istniała więc pewnego rodzaju wspólnota. Dziś, kiedy każdy ma swoją małpkę, to poczucie choćby chwilowej więzi znika. – Życie zmienia się od strony socjokulturowej: ludzie się alienują, atomizują, występuje egocentryzm, w następstwie tracimy zdolność tworzenia tkanki społecznej – uważa Tomaszewski. – Teraz każdy się śpieszy, ma coś do załatwienia, przestawiliśmy się na realizację celów. Nie mamy czasu, żeby porozmawiać. Zdarza się, że ludzie przychodzą do mnie nie po to, żeby przepracować problem, ale żeby pogadać.

Małpki dają poczucie, że picie to nic naganego, pozwalają ukryć to zjawisko przed domownikami, przyjaciółmi, obcymi. Ale fakt jest taki, że w przeliczeniu na 100% alkoholu pijemy coraz więcej alkoholi wysokoprocentowych – w 2017 r. było to 3,3 litra na mieszkańca.

Ewa Rogowska



Z Galicji



Jan Widacki

Raz jeszcze o tzw. reformie nauki

Przykład dzieła Komisji Edukacji Narodowej w ogólności, a w szczególności reform kołłątajowskich polskich uczelni, wskazuje, że reforma nauki może niekiedy zakończyć się sukcesem. Ale tylko czasem i tylko wtedy, gdy spełnione są podstawowe warunki. Pierwszym jest szczerą chęć podniesienia poziomu nauki i kształcenia wyższego. Drugim – kompetencje reformatora.

Reforma polskiej nauki i szkolnictwa wyższego wydawała się konieczna, bo najlepsze polskie uniwersytety w rankingach światowych lokują się w czwartej czy piątej setce, wyprzedzane stale zarówno przez najlepsze uniwersytety amerykańskie, angielskie czy inne europejskie, jak i przez liczne uniwersytety z krajów, które niegdyś zaliczaliśmy do Trzeciego Świata. Co więcej, w stosunku do mieszkańców tych krajów odnosimy się zwykle z wyższością. Jak to my.

Największe bodaj sukcesy naukowe ostatnich dekad odnieśli Polacy, którzy pracowali w zagranicznych ośrodkach naukowych. Wystarczy przypomnieć prof. Aleksandra Wolszczana. Nawiasem mówiąc, jego wielkość zakwestionował Instytut Pamięci Narodowej.

Nakłady na naukę w Polsce są w porównaniu do nakładów w wielu krajach bardzo albo wręcz katastroficznie małe. Budżet całej nauki i szkolnictwa wyższego jest u nas porównywalny z budżetami pojedynczych najlepszych uniwersytetów amerykańskich. Poza tym te skromne pieniądze są źle wydawane. Większość idzie na fundusz płac marnej na ogół kadry naukowej coś grubo ponad setki uczelni publicznych, na fundusz płac rzeszy pracowników administracyjnych i obsługi, na inwestycje i utrzymanie infrastruktury. Są to pieniądze z punktu widzenia dobra nauki najwyraźniej marnotrawione.

Fatalna organizacja i samych uczelni, i pracy w nich powoduje, że marnotrawione są też czas i energia pracowników naukowych. Co najmniej tyle samo czasu poświęcają oni na pracę naukową i na pisanie idiotycznych sprawozdań, wypełnianie niezliczonych druków, rozważanie, co z ich zajęć dydaktycznych ubogaci „wiedzę”, co „umiejętności”, a co „kompetencje studenta” (konia z rędem temu, kto potrafi precyzyjnie określić, gdzie kończy się wiedza, a zaczynają umiejętności i jak jedno i drugie mają się do kompetencji). Produkujemy dziesiątki dokumentów, które do niczego nie są nikomu potrzebne, poza PAK-ą (Państwową Komisją Akredytacyjną), która zjeżdża raz na cztery lata i studiuje je pilnie. Na marginesie warto dodać,

że w skład tej delegacji wchodzi na ogół uczeni trzeciej kategorii, których największym osiągnięciem życiowym jest właśnie udział w tym gremium. Kto naprawdę zajmujący się nauką ma czas, by jeździć po uczelniach w całym kraju i studiować dokumenty gromadzone pracowicie, a pozbawione jakiegokolwiek sensu? Jediną satysfakcją jest to, że gdy przybędą, podejmowani są przez władze wizytowanej uczelni z uniżonością i częstowani obiadem, a rektorzy pokornie znoszą ich idiotyczne czasem uwagi. Przypomina mi się taka wizytacja wydziału prawa przez delegację, na której czele stał ksiądz uważający się bodajże za socjologa, a najaktywniejszym wizytatorem był jakiś weterynarz z prowincjonalnej uczelni.

Prawdziwym motywem tej pseudoreformy jest pozbycie się starej kadry naukowej, skażonej w mniemaniu reformatorów PRL-em, i zastąpienie jej nowymi ludźmi, którzy całą swoją „wielkość” i pozycję zawdzięczać będą aktualnej władzy. Stąd w tej tzw. Konstytucji dla Nauki limity wieku (po 67. roku życia nie można już być członkiem senatu uczelni i wielu innych ciał kolegialnych). Stąd ko-

To, kto jest „wielkim uczonym”, wskaże pan minister.

lejna lustracja kadry naukowej. A kto jest „wielkim uczonym”, wskaże pan minister. Bo wielkość uczonego wyznaczać będą nadal zdobyte punkty.

Tymczasem to, które wydawnictwa i czasopisma są wysoko punktowane, zależy od ministra i jego urzędników. Wystarczy spojrzeć na listę punktowanych czasopism i wydawnictw. Dominują na niej nie te, które są najwyżej oceniane przez środowiska naukowe, nie te, które są cenione w nauce światowej (przez przyznanie im tzw. impact factora, według liczby światowych cytowań), ale te, które ministerstwo uznało za wartościowe. Wśród nich oczywiście liczne niszowe wydawnictwa i czasopisma kościelne.

Poczekajmy kilka lat. Zobaczmy, jak nauka polska poszybuje w światowych rankingach.

Zaiste, minister Gowin nie jest Hugonem Kołłątajem. Ktoś zwrócił mi uwagę, że jedyną łączącą ich cechą jest to, że Kołłątaj też przystąpił do targowicy. Ale i ta uwaga nie jest trafna. Kołłątaj rzeczywiście przystąpił do targowicy, lecz już po przeprowadzeniu reformy. W przypadku Gowina kolejność była odwrotna. Najpierw przystąpił do targowicy, później wziął się do reformy nauki i szkolnictwa wyższego, wedle jej wskazań.

Pociechą mogą być słowa piosenki Młynarskiego: „Niejedną jeszcze paranoję / Przetrzymać przyjdzie, robiąc swoje, kochani, / Róbmy swoje, / Żeby było na co wyjść”. Wyjdziemy! Mimo wysiłków Gowina i jego mocodawców.

Tomasz Skowronek

Cicha bitwa o święte miasto

Palestyńczyk – strażnik kluczy
do bazyliki Grobu Świętego oskarżony o sprzedaż
izraelskim Żydom domu w Jerozolimie

Był wczesny ranek, gdy do Adiba Dżudeha, popijającego poranną kawę i przygotowującego się do pracy, zadzwonił sąsiad z szokującą wiadomością: żydowscy osadnicy wprowadzili się do jego dawnego domu rodzinnego w Dzielnicy Muzułmańskiej na Starym Mieście. – Kiedy to usłyszałem, moje serce przyspieszyło – wspomina Dżudeh.

Był tym bardziej zaszokowany, że ponad dwa lata wcześniej sprzedał dom, wart ok. 2,5 mln dol., palestyńskiemu biznesmenowi Chalidowi al-Attariemu. – Cała moja rodzina poczuła się teraz tak, jakby niebo spadło na nasze głowy – mówi.

Sprzedaż palestyńskich domów Izraelczykom to absolutne tabu. Obraz jest jeszcze większa, ponieważ była to własność znanego rodu. Dżudehowie są jedną z najstarszych i najbardziej szanowanych palestyńskich rodzin w Jerozolimie. I jedną z dwóch, które mają klucze do bazyliki Grobu Świętego. Adib każdego dnia o godz. 4.30 ruszał uliczkami Starego Miasta do bazyliki, aby otworzyć ją dla wiernych i turystów. Wcześniej chodzili tędy jego ojcowie, dziadkowie i jeszcze dalsi krewni. Jego przodkowie służyli jako strażnicy kluczy już w XII w. Funkcja, którą wykonuje, jest nie tylko prestiżowa, ale i otoczona powszechnym zaufaniem w społeczeństwie. Obecnie, po przejęciu przez żydowskich osadników dawnej posiadłości Adiba, reputacja jego rodziny została mocno nadzarpnięta, a on sam jest nakłaniany do rezygnacji ze stanowiska.

– Jesteśmy Palestyńczykami żyjącymi pod okupacją izraelską. Sprzedaż domu Żydom zaszkodziła nie tylko mojej rodzinie, ale również wszystkim Palestyńczykom – zaznacza Dżudeh. – Kiedy po raz pierwszy myśleliśmy o sprzedaży nieruchomości, zwróciliśmy się do Jerozolimskiego Islamskiego Wafk i kilku palestyńskich instytucji, ale oni nie mieli możliwości zakupu posiadłości. Sprzedaliśmy dom Palestyńczykowi, którego rekomendowali liderzy społeczności.

Dom znajdował się w niezwykle atrakcyjnym punkcie, w pobliżu meczetu Al-Aksa, trzeciego najświętszego miejsca dla muzułmanów, zaledwie kilka minut spaceru od Via Dolorosa – drogi, którą niemal 2 tys.



Adib Dżudeh o świcie otwierał dla wiernych i turystów Bazylikę Grobu Świętego.

lat temu szedł Jezus, niosąc krzyż na miejsce kaźni.

Kto sprzedaje dom, nie ma duszy

W Jerozolimie – otoczonej murami i luźno podzielonej na cztery dzielnice: Muzułmańską, Chrześcijańską, Ormiańską i Żydowską – a w szczególności na historycznym Starym Mieście, od kilkudziesięciu lat trwa między Palestyńczykami a Izraelczykami walka o to, do kogo będzie należeć święte miasto trzech religii – chrześcijan, żydów i muzułmanów. Tutaj każdy dom, każdy centymetr ziemi jest czyjąś twierdzą.

Palestyńczycy chcieliby, aby wschodnia Jerozolima, która obejmuje Stare Miasto, była stolicą ich przyszłego państwa. Uważają, że każda sprze-

daż nieruchomości izraelskim osadnikom jest kolejnym ciosem dla ich sprawy. Dlatego prawo palestyńskie zabrania sprzedaży nieruchomości lub ziemi Izraelczykom. Za takie przestępstwo teoretycznie grozi kara śmierci. Co prawda, przepisy te nie są egzekwowane od 2005 r., gdy prezydentem Autonomii Palestyńskiej został Mahmud Abbas, ale osoby zaangażowane w sprzedaż są oskarżane o dopuszczenie się zdrady stanu, przez co często nie mogą liczyć nawet na godny pochówek. W listopadzie 2018 r. z powodu podejrzeń o sprzedaż majątku izraelskim Żydom muzułmański cmentarz odmówił pochowania mężczyzny, który zginął w wypadku samochodowym.

– Ten, kto sprzedaje swój dom, nie ma duszy. Nie bierze pod uwagę swojej rodziny ani społeczności,

widzi tylko pieniądze. Ci ludzie muszą zostać wykluczeni ze społeczeństwa i nigdy nie zostaną pochowani na mużulmańskim cmentarzu – groził w jednym z wywiadów shejk Ikrima

W Jerozolimie każdy dom, każdy centymetr ziemi jest czyjąś twierdzą.

al-Sabri, były wielki mufti Jerozolimy i terytoriów palestyńskich, a obecnie szef Najwyższej Rady Islamskiej i meczetu Al-Aksa.

W grudniu 50-letni Palestyńczyk z izraelskim obywatelstwem z miasta Dżaldżulja w Izraelu został zastrzelony w pobliżu swojego domu przez nieznanego sprawcę. Lokalne media donosiły, że był on poszukiwany przez Autonomię Palestyńską za sprzedaż mieszkaniową izraelskim Żydom.

Natomiast 31 grudnia palestyński sąd w Ramallah skazał Issama Akela, palestyńskiego Amerykanina z Jerozolimy, na karę więzienia i przymusowe prace fizyczne za zbycie osadnikom posiadłości na Starym Mieście.

Przejmowanie Jerozolimy

Sprzedaż nieruchomości zawsze była istotną kwestią w konflikcie żydowsko-arabskim. We wrześniu 1932 r. gazeta „Al-Dżamia al-Arabija” wspominała: „Nie ma wątpliwości, że kwestia sprzedaży ziemi jest jednym z największych zagrożeń dla przyszłości kraju”. Dziennik przytaczał pojedyncze przypadki, gdy Palestyńczycy w latach 30. sprzedawali posiadłości Żydom.

– Najważniejszym problemem Arabów w Palestynie w tamtym czasie była ich słaba kondycja ekonomiczna. Większość nie miała dostępu do kapitału i uważała, że dzięki sprzedaży ziemi poprawi swój byt. Niewielu przypuszczało, że pozbycie się własności okaże się katastrofą dla przyszłości ich życia w Palestynie – tłumaczy prof. Kenneth W. Stein, dyrektor Instytutu Badań nad Współczesnym Izraelem na Uniwersytecie Emory’ego.

Pod koniec wojny, która wybuchła po ustanowieniu Państwa Izrael w 1948 r., Jerozolimę podzielono. Stare Miasto znalazło się po wschodniej stronie „zielonej linii” demarkacyjnej kontrolowanej przez Jordanię.

19 lat później Izrael przejął wschodnią Jerozolimę podczas woj-

ny sześciodniowej. Dzięki temu Żydzi odzyskali swoją stronę Ściany Płaczu.

W roku 1968 Teddy Kollek, burmistrz objętego konfliktem miasta, wygłosił słynne i kontrowersyjne przemówienie: „Celem jest zapewnienie, że cała Jerozolima pozostanie na zawsze częścią Izraela. Jeśli to miasto ma być naszą

stolicą, musimy uczynić z niej integralną część naszego kraju i potrzebujemy żydowskich mieszkańców, aby tego dokonali”.

Kolejnym krokiem na drodze zawłaszczania świętego miasta było w 1980 r. ogłoszenie zjednoczenia Jerozolimy jako stolicy Państwa Izrael. W grudniu 2017 r. prezydent USA Donald Trump oficjalnie uznał

Sprzedaż palestyńskich domów Izraelczykom to absolutne tabu.

Jerozolimę za stolicę Izraela i zdecydował o przeniesieniu do niej amerykańskiej ambasady.

Dwie pieczenie na jednym ogniu

Sytuacja palestyńskich mieszkańców Jerozolimy z dnia na dzień się pogarsza. Wąskie uliczki Dzielnicy Mużulmańskiej są ogromnie zatłoczone. Z zaułków rzadko wywozi się śmieci, brakuje miejsca na place zabaw. Jak podaje Al-Dżazira, z 324 tys. Palestyńczyków z Jerozolimy tylko 59% ma podłączenie do publicznej sieci wodociągowej. Wiele dzieci pracuje, zamiast chodzić do szkoły. Ponadto Palestyńczycy są zobowiązani do płacenia podatków za ubezpieczenia społeczne czy usługi, których praktycznie nie otrzymują. Jest to sprzeczne z prawem międzynarodowym, które uznaje

wschodnią Jerozolimę za terytorium okupowane, prawo izraelskie na tym obszarze nie powinno zatem mieć zastosowania.

Jednak izraelskie władze liczą, że dzięki takiej strategii wypędzą stąd ludność arabską albo zmuszą ją do sprzedaży nieruchomości, by zapewnić sobie kontrolę nad Jerozolimą. Coraz częściej żydowscy osadnicy kupują domy, w których od dziesięcioleci czy nawet stuleci mieszkali mużulmańskie rodziny. W oknach, na dachach czy drzwiach od razu wywieszają izraelskie flagi.

W kupowaniu nieruchomości we wschodniej Jerozolimie i na Starym Mieście pomagają Izraelczykom wyspecjalizowane organizacje: Ateret Cohanim, Ir David Foundation (Elad) oraz Israel Land Fund. Działają na rzecz utworzenia i wzmocnienia żydowskiej większości oraz „judaizacji” nie tylko Dzielnicy Mużulmańskiej, ale również Chrześcijańskiej i Ormiańskiej, co budzi niepokój tamtejszych mieszkańców.

Arieh King, dyrektor Israel Land Fund i radny Jerozolimy, traktuje swoją misję jako obowiązek patriotyczny: – Czasami zwracamy się do właścicieli, aby sprzedać swoje mieszkania, ale często to oni kontaktują się z nami. Otrzymujemy oferty od Palestyńczyków praktycznie co drugi dzień.

King mówi również, że czasami używa Arabów jako pośredników, aby ułatwić sprzedaż i zatrzeć ślady. Żądają tego także palestyńscy sprzedawcy. – Pośrednicy bądź sprzedający często chcą mieć możliwość opuszczenia Izraela i udania się do Kanady lub Europy. Pomagamy im w procesie migracyjnym – wyjaśnia. – Moim zdaniem piecemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Kupujemy od Arabów ziemię ▶

Przeznacz 1% podatku



**na Fundację
„KUŹNICY”
i „ZDANIE”**

numer KRS: 0000300613

► i pozbywamy się ich z Izraela. To fantastyczne.

Arabscy pośrednicy

Właśnie poprzez arabskich pośredników żydowski osadnicy wykupili nieruchomości w dzielnicy Silwan, znajdującej się niedaleko Góry Oliwnej. Pięć lat temu dwóch Palestyńczyków zaangażowało się w zakup wielu domów. Zapewniali sprzedających, że kupują w imieniu organizacji charytatywnych ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. W rzeczywistości domy trafiły do organizacji żydowskich. Do dziś wśród 20 tys. Palestyńczyków osiedliło się tam 450 Żydów. Ochraniają ich izraelska służba bezpieczeństwa i prywatne firmy.

Według izraelskiego liberalno-lewicowego dziennika „Ha-Arec” w podobny sposób przejęto nieruchomość Adiba Dżudeha. Jak ustalili reporterzy śledczy, Chalid al-Attari, który kupił posiadłość, sprzedał ją od razu Daho Holdings – zagranicznej spółce holdingowej zarejestrowanej na Karaibach. Ta z kolei sprzedawała



Bazylikę Grobu Świętego odwiedza rocznie ok. 3 mln osób.

ją prawicowej izraelskiej organizacji pozarządowej Ateret Cohanim, która zajmuje się pomocą w zakupie nieruchomości w Dzielnicy Muzułmańskiej i ostatecznie przekazywaniem ich Żydom.

Czasami aby ułatwić sprzedaż i zatrzeć ślady, jako pośredników używa się Arabów.

Palestyńscy aktywiści mają pretensje do swoich służb bezpieczeństwa i władz, że nie zapobiegli tej sprzedaży. Tym bardziej że Adib Dżudeh został zapewniony przez lokalnych urzędników, że Al-Attari jest uczciwym i szanowanym biznesmenem. Palestyński premier Rami Hamdallah, który sprawował funkcję do 10 marca br., powołał komisję do zbadania sprawy i zapowiedział szczegółowe śledztwo. Autonomia Palestyńska nie ma jednak jurysdykcji nad Jerozolimą, dlatego znalezienie winnych będzie skomplikowane.

Tymczasem osadnicy nadal przenoszą się do palestyńskich dzielnic w całym mieście. Ich obecność zaczyna komplikować wszelkie negocjacje w sprawie wschodniej Jerozolimy jako stolicy przyszłego państwa palestyńskiego.

Tomasz Skowronek


FILHARMONIA NARODOWA
Dyrektor Artystyczny JACEK KASPSZYK


Moniuszko Czajkowski Prokofiew

piątek / godz. 19:30
26.04.2019

sobota / godz. 18:00
27.04.2019

◀◀ Sala Koncertowa



Orkiestra Filharmonii Narodowej

Ben Gernon
dyrygent

Kristóf Baráti
skrzypce



Na koncert zaprasza
 Strategiczny Mecenase Roku
 Filharmonii Narodowej



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Nigdy nie mogłem zrozumieć, a może precyzyjniej bytoby powiedzieć: nie podzielałem przekonania, że jeśli chodzi o historię, to jakąś istotną rolę odgrywają tzw. okrągłe rocznice, te krążące wokół liczby 10 i jej wielokrotności czy 100 i jej pomnażalnych wersji. Historia to postrzępiony, niejednorodny i nierozstrzygalnie przypadkowy lub koniecznościowy spłot dramatycznych scen, wydarzeń, wyborów, pomyłek i zbiegów okoliczności, nieokiełznany żywioł ludzkiej przemocy, władzy, chęci przeżycia. Dlaczego akurat patyna dziesiętnic miałyby dokładać do nich wartość? Potęgować zrozumienie niezrozumiałego? Łagodzić ostrość, wyciszać huk?

Mimo to, kiedy w 1993 r. przypadła „okrągła” (szczególnie w wypadku tego wydarzenia słowo to wciąż z trudem przechodzi mi przez gardło i palce na klawiszach), 50. rocznica wybuchu Powstania w Getcie Warszawskim,

Oczywiście w tej konstatacji, że było to Powstanie w Getcie, jest jeszcze coś. To była walka samotna, bez wsparcia, bez realnego udziału polskiego podziemia i przy obojętności lub niekiedy jawnej wrogości mieszkańców.

To był wybór rodzaju śmierci. To był sposób umierania. To było dwa tygodnie biegania po dachach i piwnicach, po gruzach, po resztkach świata, po miejskiej pustyni zamordowanego narodu. Marek Edelman, jeden z przywódców Powstania, który swojej pamięci nigdy nie opatulał patosem, powiedział kiedyś, że „ludzkość umówiła się, że umieranie z bronią w ręku jest piękniejsze niż bez broni. Podporządkowaliśmy się tej umowie”.

Pamiętam, że kiedy czytałem później po raz pierwszy, że ci z Powstańców Getta, którzy ocaleli, ukryli się, nie zostali zadenuncjowani i wydani Niemcom, walczyli potem w Powstaniu w 1944 r., ale jak m.in. Edelman nie mogli

Pierwsze Powstanie Warszawskie

pisałem okolicznościowe kilkadziesiąt zdań wstępu do numeru pisma, w którym wtedy pracowałem. Użyłem w tym króciutkim tekście właśnie tego sformułowania: „Pierwsze Powstanie Warszawskie”; byłem pewien, choć nie prowadziłem w tej sprawie kwerendy ani poszukiwań źródłowych, że nigdy wcześniej z taką formułą odnośnie do walk z kwietnia i maja 1943 r. się nie zetknąłem, nigdzie takich słów nie czytałem i mam nieodpartą potrzebę właśnie takiego ich wypowiedzenia. Nie chciałem, nie mogłem, ale też nie musiałem się pogodzić z obowiązującym językiem historycznej opowieści, że Warszawskie było tylko to z 1944 r., to „polskie”, akowskie, straszliwe w skutkach dla mieszkańców i miasta. Powstanie, o którego sens będziemy się spierać już zawsze, którego ocen nie da się wyważyć, którego hekatombi nie daje się opisać, nawet gdybyśmy mieli tu 100 jego muzeów (które na dodatek usiłowałyby nam powiedzieć, że Powstanie to nie młodość, honor, miłość, odwaga i bój o Polskę, ale strach, smród, krzyk, krew, walące się piwnice z setkami ukrytych przed bombami cywilów, to śmierć dzieci, samotność matek, bezradność starszych).

Zastanawiałem się wtedy, dlaczego walczącym ponad rok wcześniej bojowcom ŻOB i ich walce odebrano w milczeniu, bez żadnego dekretu warszawskość, wszak to Warszawa była miejscem życia, walki i tym skrawkiem ziemi, gdzie nastąpił koniec świata warszawskich Żydów, obywateli Polski. Przed wybuchem wojny co trzeci warszawiak, warszawianka byli Żydami. Wyznaczony przez hitlerowców obszar getta nie przestał być Warszawą, dopóki nie przestał być w ogóle. Ruiny getta zapowiadały los, jaki spotka całe miasto, ale ostrzegając, nie przestrzegły przed nim.

pójść po kapitulacji do niewoli, bo nawet ich akowscy dowódcy nie byli w stanie im zapewnić, że inni Powstańcy ich nie zdemaskują przed Niemcami jako Żydów – to byłem pewien, że Warszawa jest Powstańcom z Getta coś winna, być może choć słowo Warszawskie przy ich Powstaniu. I chociaż samo to słowo nie miało i nie ma znaczenia dla wszystkich zamordowanych w piecach Treblinki, Auschwitz, rozstrzelanych na ulicach, w egzekucjach czy podczas zabaw snajperów, spalonych, zbombardowanych – jedyne, co możemy naszą pamięcią zrobić, to składać w milczeniu słowa, nieliczne, bezradne, bezbronne.

Po opowieści o walkach w getcie przetoczył się też w ostatnich latach walec polityki historycznej. Żonglowano nazwami ulic, zabierając i nadając nowe, niesłusznych patronów zamieniano na bardziej akceptowalnych. Rugowano z historii ŻOB dominującą lewicową reprezentację formacji politycznych (Bund, Cukunft), powoływano często siłą wyobraźni inne, nieistniejące byty.

Mam też głębokie przekonanie, że z każdym rokiem znaczenie walk w getcie w 1943 r. będzie ważniejsze do zrozumienia, czym Warszawa była – i dlaczego taka. Dlatego nie chcę się pogodzić z gettoizacją pamięci o tamtym zbrojnym oporze wobec hitlerowskich faszystów. I mimo częstej bezradności nowoczesnego, liberalno-demokratycznego (nawet tak przeformatowanego na prawo jak w ostatnich latach) państwa wobec manifestujących na warszawskich ulicach zwolenników skrajnej prawicy, obnoszących się ze stylistyką i symboliką ruchów faszystowskich – nigdy nie będzie na to zgody.

Warszawa musi być wolna od faszyzmu. To jesteśmy winni ginącym w samotności. Wszystkim, wtedy. My, na zawsze.

Uczniowie gorszego Boga

Niemieckie urzędy z napływem uchodźców już sobie radzą, ale w szkołach problemy dopiero się zaczynają

Wojciech Osinski
Korespondencja z Berlina

Emad trzyma w ręku próbkę z fioletowym płynem i przelewa go do naczynia z wodą. – To wygląda jak prawdziwy wybuch wulkanu! – cieszy się, gdy płyn przeistacza się w rosnący „atomowy grzyb”. 12-latek uwielbia robić eksperymenty. W białym fartuchu i okularach z grubymi oprawkami wygląda jak prawdziwy naukowiec. Pochodzi z syryjskiej miejscowości Anadan (niedaleko Aleppo) i wraz z rodzicami przybył do Niemiec w 2016 r. Od paru miesięcy bierze udział w projekcie „Mali naukowcy”, sfinansowanym przez Niemieckie Stowarzyszenie Fizyków (DPG) w Berlinie.

Te dzieci całymi latami nie chodziły do szkół, a teraz mieszkają w przepelnionych ośrodkach i nie mają warunków do nauki.

Gdy wzburzony płyn powoli osadza się na dnie szklanki, zaciiekawiony chłopiec pyta: – Proszę pani, dlaczego ta woda na górze jest przezroczysta, a na dole fioletowa? Nie powinna się zabarwić cała? – Bo to, co wleś do szklanki, było chłodniejsze. Ciepła woda zawsze wypływa na górę – odpowiada Angelina. 23-letnia Niemka studiuje fizykę i jest praktykantką DPG. Dzięki niej dwa razy w tygodniu kontener z piętrowymi łózkami dla uchodźców zamienia się na kilka godzin w małe laboratorium. W ośrodku w dzielnicy Marzahn mieszka ok. 40 osób. Większość pochodzi z Syrii, ale są też imigranci z Afryki i Czeczenii. Czasem trudno się dogadać, choć akurat zasady fizyki i chemii są wszędzie takie same. Dlatego ilekroć Angelina zbliża się do kontenerów, niosąc walizki pełne rozmaitych próbek, wężyków i palników, dzieci z wypiekami na twarzy czekają na nią przy oknach. Nie chodzą jeszcze do szkoły i są zlaknione wiedzy.

Zwykle się nudzą i nie wiedzą, co ze sobą zrobić.

Inicjatywa DPG trwa już od jesieni 2015 r., gdy ruszyła fala imigrantów, i uchodzi za modelowy przykład udanej integracji. Jest to jednak tylko kropla w morzu potrzeb, bo skala zjawiska, z którym od czterech lat zmagają się niemieckie władze, nadal dostarcza im sporo problemów.

Gorący sierpień

– Niemcy są silnym państwem, damy radę! – powtarza Angela Merkel już od kilku lat, szczególnie wtedy, gdy w prasie wylewane są na nią cysterny pomyj. Po raz pierwszy słowa te padły z ust pani kanclerz we wrześniu 2015 r., kiedy tysiące osób przemierzało szlak bałkański

i skutki otwarcia przez nią granic były jeszcze nie do przewidzenia. Dziś są już powszechnie znane. W latach 2015-2018 o azyl w RFN ubiegało się ok. 1,3 mln osób. Tylko w gorącym sierpniu 2015 r. zarejestrowano w urzędach migracyjnych ok. 100 tys. ludzi. Codziennie przybywało wtedy ok. 3,5 tys. uchodźców. Państwo nie było przygotowane na wzbierającą z każdym dniem falę. Przerosła ona najdalej idące przewidywania polityków, urzędników, służb socjalnych, wolontariuszy, działaczy społecznych, nauczycieli. Zimą 2015 r. na urzędniczych biurkach piętrzyło się prawie pół miliona nierozpatrzonej wniosków o azyl. W międzyczasie sytuacja trochę się uspokoiła, głównie dzięki porozumieniom, które Merkel zawarła z tzw. krajami tranzytowymi, np. z Turcją. W grudniu 2018 r. o azyl ubiegało się już tylko ok. 10 tys. osób – tyle samo, ile w pierwszym kwartale 2015 r. W niemieckich urzędach zapanowała względna normalność, a według in-

formacji urzędu migracyjnego BAMF pozostało „zaledwie” 50 tys. nieopracowanych wniosków o azyl.

Urzednicy mogą więc odetchnąć, ale problemy tak naprawdę dopiero się zaczęły – zwłaszcza jeśli chodzi o integrację młodzieży w szkołach. W ostatnich czterech latach prawie co trzeci wniosek o azyl został złożony przez osobę niepełnoletnią. W 2018 r. aż 43% ubiegających się o prawo pobytu nie skończyło 16. roku życia. Co trzeci przybył z Syrii. W Niemczech przebywa jeszcze ok. 300 tys. „tolerowanych” imigrantów. Dwie trzecie z tej grupy pobiera świadczenia socjalne, wśród nich wielu młodych w wieku 18-24 lata. Gdy jednak zapada już prawomocna decyzja o ich deportacji, przebiega to nader opieszale. Marcowy reportaż hamburskiego tygodnika „Spiegel” o trudnościach z wydalaniem imigrantów odsłania bezsilność władz niemieckich. W 2018 r. deportowano ok. 24 tys. osób, ale w 30 tys. przypadków procedura się nie powiodła – albo ludzie ci się nie stawili i wciąż gdzieś się ukrywają, albo wnoszą sprawy do sądu, przedłużając swój pobyt o miesiące lub lata. W całych Niemczech w więzieniach jest tylko 500 miejsc dla czekających na deportację, choć powinno być dziesięć razy tyle. Tej sytuacji nie zmienił kryzys migracyjny z 2015 r.

Ci młodzi imigranci, którzy tak jak Emad z Berlina chcą w Niemczech uczyć się i w przyszłości uczciwie pracować, też nie mają łatwo.

Wypalone dzieci

Dzieci z rodzin uchodźczych z trudem uczą się języka niemieckiego. Z najnowszych analiz Rady Ekspertów Niemieckich Fundacji ds. Integracji i Migracji (SVR) wynika, że wielu młodych obcokrajowców nie zdoła nawet ukończyć szkoły podstawowej. – Te dzieci są często traumatyzowane konfliktami wojennymi w swoich krajach i całymi latami



Kurs języka niemieckiego dla młodych uchodźców w Akwizgranie.

nie chodzą do szkół, a teraz mieszkają w przepełnionych ośrodkach lub hotelach dla imigrantów, bez biur i warunków do nauki. Naprawdę nie wiem, jak miałyby one osiągnąć poziom niemieckich rówieśników – martwi się socjolog Simon Morris-Lange. Według ustaleń jego zespołu większość uczniów z Bliskiego Wschodu prawdopodobnie w końcu przerwie naukę.

SVR przeprowadziła szeroko zakrojone badania w 56 szkołach podstawowych we wszystkich krajach związkowych w celu ustalenia sytuacji 130 tys. uczniów, którzy przybyli do Niemiec po sierpniu 2015 r. z falą migracyjną. Morris-Lange skupił się także na metodach dydaktycznych niemieckich nauczycieli i próbował znaleźć odpowiedź na pytanie, czy i w jakim stopniu zagraniczna młodzież potrafi się skoncentrować na lekcjach. Socjolog dochodzi niestety do pesymistycznych wniosków. – Oświata nie była przygotowana na tak masową konieczność integracji. Widzimy to zwłaszcza teraz, gdy zaczęły przybywać do Niemiec rodziny uchodźców – mówi Morris-Lange. Naukowiec współpracował z organizacją Teach First Deutschland, która

za pośrednictwem swoich młodych wystanników – przeważnie studentów kierunków nauczycielskich – przeprowadza sondy w szkołach podstawowych. Przy okazji pomagają oni imigrantom w tzw. klasach powitalnych, zbierając pierwsze zawodowe doświadczenia, pisząc protokoły o szkolnej codzienności i dostarczając je następnie pracownikom SVR.

Większość dzieci imigrantów przystępuje do nauki z entuzjazmem, zniechęca się dopiero z upływem czasu.

Na podstawie tych obserwacji Morris-Lange stwierdził, że właściwie każda szkoła realizuje odrębny program integracyjny. Prowadzi to często do chaotycznych sytuacji, w których „lepsi” uczniowie są od razu wrzucani do niemieckich klas, gdzie najczęściej doznają szoku kulturowego i sobie nie radzą, a „gorsi” biorą udział w kursach językowych dla początkujących, których przez lata nie mogą ukończyć. Większość szkół decyduje się jednak na wariant mieszany, czyli na natychmiastową integrację cudzoziemców w tradycyjnych klasach z niemieckimi uczniami,

z dodatkowymi kursami językowymi po szkole. – Pytanie tylko, czy to rzeczywiście najlepsza forma integracji, ponieważ dzieci często wieczorem są wypalone i nie rozumieją, dlaczego ich niemieccy rówieśnicy mogą już iść na basen, a one muszą przesiadywać na kursach – zastanawia się Morris-Lange.

Jego badania pokazały, że najlepsze wyniki osiągają uczniowie

z odrębnych klas powitalnych, gdzie najpierw przez kilka lat uczą się intensywnie języka niemieckiego. Problem polega na tym, że poziom w tych klasach jest bardzo zróżnicowany, gdyż lądują w nich zarówno analfabeci, jak i dzieci, które w krajach ojczystych chodziły do szkoły.

Zniechęceni uczniowie

Z punktu widzenia samych dzieci są to na pewno problemy najmniejszej wagi. – Z powodu ucieczki z ojczyzny i związanej z nią traumy, a także długiego czekania na wolne

▶ miejsca w niemieckich szkołach, dzieci mają ogromne trudności z nauką – wyjaśnia Angelina. Natomiast nauczyciele stoją przed podwójnym wyzwaniem – z jednej strony, muszą nauczyć je niemieckiego, a z drugiej, przygotować do wymagań systemu edukacyjnego. Według analityków z SVR właśnie ten okres przejściowy okazuje się największym problemem. Dostawszy się

trzeba przede wszystkim zatrudnić tam więcej psychologów – uważa Morris-Lange.

Kolejnym utrapieniem jest dojmujący brak nauczycieli i związane z nim dodatkowe obciążenia dla niemieckich szkół. W Berlinie tym kłopotom miało zaradzić szybkie zatrudnienie nauczycieli, choćby z dziedziny niezwiązanych ze szkolnictwem i pedagogiką, co wyraźnie

ców. W szkołach multi-kulti młodzi imigranci z Syrii łatwiej nawiązują kontakty z niemieckimi kolegami, bo ci sami zmagają się jeszcze z problemami integracyjnymi. Kłopot w tym, że poziom w szkołach, do których chodzą uczniowie w trudnej sytuacji społeczno-ekonomicznej, jest bardzo niski. Uchodźcy czują się tam może nieco lepiej, ale absolwenci tych placówek rzadko radzą sobie

w życiu zawodowym.

W tych szkołach można spotkać dzieci, które mówią bardzo źle po niemiecku. mimo że urodzi-

ty się w Niemczech (miałem kiedyś sam przyjemność przeprowadzenia lekcji w takiej klasie).

– Nasze badania pokazują, że niemieccy nauczyciele zupełnie się nie dostosowali do zaistniałej sytuacji. Być może problem zaczyna się już na uniwersytecie, gdzie starszych profesorów pedagogiki i dydaktyki kompletnie nie obchodzą skutki kryzysu migracyjnego – sądzi Morris-Lange i proponuje także odważne zmiany w materiale przerabianym na studiach nauczycielskich. Zdaniem naukowca z SVR wszyscy studenci powinni zaliczać również egzaminy z dydaktyki niemieckiego jako języka obcego – bez wyjątku i niezależnie

Najlepsze wyniki osiągają uczniowie z odrębnych klas powitalnych, gdzie najpierw przez kilka lat uczą się intensywnie języka niemieckiego.

do tradycyjnych klas, imigranci muszą już radzić sobie sami, bez żadnego indywidualnego wsparcia. W rezultacie uczeń nie nadąza za wywodami nauczyciela, nie odraabia lekcji, wstydzi się zgłosić i – co najgorsze – nie zostaje zaakceptowany przez niemieckich kolegów. To smutne, ponieważ w większości przypadków dzieci imigrantów przystępują do nauki z entuzjazmem, zniechęcają się dopiero z upływem czasu. – Aby uporać się ze skutkami kryzysu migracyjnego w szkołach,

obniżyło poziom. Trudności sprawia uchoǳcom równieŝ kiepska komunikacja pomiędy nauczycielami.

– Dzieci często odnoszą wrażenie, że co tydzień zaczynają od nowa, bo prowadzący są źle przygotowani – tłumaczy socjolog z SVR. Co więcej, w klasach powitalnych nauczyciele tylko wyjątkowo sporządzają profile uczniów, zawierające informacje, którymi mógłby potem dysponować wychowawca w tradycyjnej klasie. Po intensywnym kursie językowym obcokrajowiec nagle jest jak Marsjanin, którego nikt nie zna nikt, z nauczycielem włącznie. Z raportów wysłanników Teach First Deutschland wyłania się obraz

W 2018 r. aż 43% ubiegających się o prawo pobytu w Niemczech nie skończyło 16. roku życia.

nauczycieli obciążonych niezliczonymi nadgodzinami, niepozostawiającymi czasu na współpracę i zebrania, na których można by wspólnie wyciągać wnioski i zapobiegać wypaczeniom.

Odgórne decyzje

Młodzi uchodzący najlepiej integrują się w szkołach, do których uczęszczają niemieckie dzieci o pochodzeniu imigranckim. Urodziły się w Niemczech, ale ich rodzice przyjechali np. z Turcji, dlatego są w większym stopniu uwarżliwione na problemy obcokrajowców i śpieszą im z pomocą. To dotyczy również pedagogów, mających w takich szkołach wieloletnie doświadczenie zarówno z wielojęzyczną młodzieżą, jak i w przygotowywaniu konspektów lekcji odpowiednich dla cudzoziem-

od przedmiotu. Wtórąje mu prezes Teach First Deutschland, który uważa, że nauczyciele ponoszą jedynie skutki odgórných decyzji.

– Zmiany wymagają więcej czasu, którym nauczyciele nie dysponują. Dlatego potrzebują wsparcia rządzących, przede wszystkim jednak pieniędzy – przekonuje Ulf Matysiak, szef Teach First Deutschland. Samym belfrom życzy zaś więcej empatii oraz wrażliwości na indywidualne potrzeby imigrantów. Konieczność zmian w edukacji jest paląca, tym bardziej że większość ze wspomnianych 130 tys. młodych imigrantów deklaruje chęć pozostania w Niemczech. Do nich należy także 12-letni Emad, który z pasją godną dorosłego naukowca przeprowadza eksperymenty w kontenerowym ośrodku w Marzahn.

Wojciech Osiński



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Tuczenie gęsi

Byłem z moją nową książką dla dzieci na targach Przecinek i Kropka, które się odbywały w Konese-rze. To dawna wytwórnia wódek na warszawskiej Pradze, niedawno pięknie adaptowana na centrum handlowe i konferencyjne.

Mam na targach spotkanie autorskie, a potem powinienem podpisywać książkę. Ale okazuje się, że jej na targach nie ma, zagapili się, nie ściągnęli tytułu. Organizatorka rozpacza. Robi mi się jej żal i ją pocieszam. Zawsze tak mam. Żal mi ludzi, bo i siebie mi żal, i często się zagapiam, więc zwykle nie potrafię się gniewać na błędy innych, nawet kiedy są dla mnie dotkliwe.

Moje dzieci liczą na to, że strajk nauczycieli będzie trwał do wakacji. Pytanie tylko, czy wytrzymamy z nimi w domu, skoro już po trzech dniach jest ciężko. Na to liczy rząd – że rodzice będą mieli dramat z dziećmi i skierują żal i gniew na stronę nauczycieli. Rząd nie może dać podwyżek nauczycielom, bo zaraz zastrajkują inne grupy zawodowe. A budżet pęka. Rozbudzili niebotyczne apetyty, rozdając pieniądze na prawo i lewo. Strajk zwrócił uwagę na polską edukację, że jest w opłakanym stanie. Ta katastrofa musi wywołać w przyszłości zapaść cywilizacyjną. Zdumiewające, że wcześniej nie było dyskusji na miarę problemu. PiS władowało się w szkoły

jak pijany do sklepu z porcelaną, ale problem jest przecież pradawny, odziedziczony jeszcze po PRL. Już wtedy zaczęła się selekcja negatywna wśród nauczycieli, stabiutki były pensje, chociaż można było jako tako żyć, marnie zarabiając, i nie czuć się gorszym. Dzisiaj już się nie da. Paradoksalnie w tamtych czasach było jednak więcej nauczycieli z pasją. Znajoma, starsza wiekiem nauczycielka pisze mi: „70% kadry pedagogicznej jest do wywalenia. Im młodszy, tym gorzej, z mojego roku studiów najlepsi szli do szkół. Po 1990 r. dobrzy poszli do mediów, korporacji i wydawnictw, by jakoś zarabiać. I teraz mamy to, co mamy”. Ale ten stan rzeczy to wina wszystkich rządów po 1989 r. PiS swoją reformą edukacyjną doprowadziło tylko sytuację do absurdu. Na dodatek wprowadza ideologię ideologiczną dzieci, „żołnierze wyklęci” stają się ważniejsi od Armii Krajowej. Bardzo trudno będzie selekcję negatywną odkręcić, to praca na pokolenia, a na horyzoncie nawet nie widać punktu zwrotnego. O wiele łatwiej będzie zmienić sztywne programy, bo są w Europie dobre wzory.

Nasze dzieci są tuczone wiedzą, jak tuczy się gęsi karmą. Propaganda Kaczyńskiego rozgrywa to wedle starego schematu. Dzieli ludzi i napuszcza ich na siebie. Nauczyciele działają przeciwko naszym dzieciom, krzywdzą je. Są więc „obcy”. Już słyszałem, jak pani Jagoda ze sklepu z warzywami mówi: „Popatrz pani, co ci nauczyciele wyprawiają z naszymi dziećmi, serca nie mają ani sumienia”. Spersonifikowanym wrogiem jest Sławomir Broniarz. Jaki on tam związkowiec? Złowrogi polityk, sługus PO. To wielka czarownica do spalenia.

Na chwilę wchodzę na TVP Info – co za szczupnia, co za obrzydliwość. Jestem potem zatruty, chory. Leszek Balcerowicz skomentował porozumienie rządu z oświatową Solidarnością: „To jest jakiś ponury żart historii, żeby organizacja, która nadal nazywa się Solidarnością, była reżimowym związkiem zawodowym popierającym różne projekty PiS”.

Najmniej 100 zł od jednego tucznika i 500 zł od jednej krowy, ale może być więcej – zapowiedział na konwencji regionalnej PiS w Kadzidle koło Ostrołęki prezes. To „może być więcej” jest wzruszające. Na początku byłem pewien, że to fałszywka, że ktoś robi sobie dowcipy. Ale okazuje się, że to prawda. Oczywiście ten kolejny podarunek Kaczyńskiego ma sfinansować Unia

Europejska, którą prezes tak gardzi. Sławomir Broniarz trafnie zauważył, że nauczyciele przegrali z krowami i świniami. Ktoś na Facebooku zabawnie to skomentował, musimy się ratować humorem, inaczej utopimy się w gnojówce: „Szanowny panie naczelniku Polski całej, uprzejmie proszę o wyjaśnienie, czy te 500+ na każdą krowę to ma być jednorazowo jak na każdego emeryta, czy comiesięcznie jak na każde dziecko? Bo nie mogę się zdecydować, rozmnażać się czy brać za hodowlę”.

Ze strefy smutnego uśmiechu – amerykańscy naukowcy z Georgia Southern University odkryli, że gen. Kazimierz Pułaski był biologicznie kobietą. Tak się dziwnie porobiło w Polsce, że jest to wiadomość antypisowska, prezes powinien grzmieć z trybuny, że nie będzie zmiany płci polskich bohaterów narodowych przez gender i LGBT.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Nowe zielone porządki

Ekologiczna zmiana w amerykańskiej polityce tworzy nowe gwiazdy, ale czy zmienia rzeczywistość?

Mateusz Mazzini

Choć Alexandria Ocasio-Cortez została okrzyknięta wschodzącą gwiazdą Partii Demokratycznej już ponad rok temu, pod koniec marca udowodniła, że miejsce w Izbie Reprezentantów zdobyła nieprzypadkowo. 26 marca Kongres głosował nad tzw. Nowym Zielonym Porządkiem (ang. Green New Deal), jednym z najbardziej kompleksowych i ambitnych pakietów legislacyjnych w najnowszej historii Stanów Zjednoczonych. Projekt nawiązujący nazwą do reform ekonomicznych Franklina D. Roosevelta miał zapoczątkować proekologiczną rewolucję w polityce i gospodarce. Jego założenia dotyczą nie tylko walki ze skutkami zmian klimatycznych, ale też redukcji nierówności społecznych i ekonomicznych poprzez upowszechnienie zielonej gospodarki zwłaszcza w tych regionach, które dawniej opierały się na przemyśle wydobywczym.

Wielu republikanów albo neguje ocieplenie klimatu, albo jest zbyt mocno związanych z lobby węglowym i naftowym, żeby głosować za jakimikolwiek ograniczeniami emisji i roli tradycyjnych źródeł energii. Dla nich Nowy Zielony Porządek jest czystym złem. Oskarżają więc autorów projektu – których łącznie jest ponad 100 – o elitaryzm, oderwanie od rzeczywistości i poświęcanie uwagi problemom bogatych mniejszości dużych miast, takich jak Nowy Jork, Miami czy Los Angeles.



Dlatego kiedy przewodniczący Senatu, republikanin Mitch McConnell, zarządził głosowanie nad pakietem bez uprzedniej debaty w Kongresie, nie dając też możliwości przesłuchania ekspertów zajmujących się zmianami klimatycznymi ani ofiar tych procesów, demokraci owo głosowanie zbojkotowali. Mająca 14 stron rezolucja wzywająca rząd federalny do podjęcia natychmiastowych kroków w walce ze skutkami globalnego ocieplenia została odrzucona stosunkiem głosów 57:0. Aż 43 (spośród 47) senatorów Partii Demokratycznej wstrzymało się jednak od głosu, rejestrując jedynie obecność na sali w czasie głosowania. Choć pierwsze podejście do ekologicznej rewolucji okazało się fiaskiem, Alexandria Ocasio-Cortez nie zamierzała się poddawać.

Jedną z orędowniczek Nowego Zielonego Porządku jest Alexandria Ocasio-Cortez.

Dzień później wygłosiła płomienne przemówienie w obronie Nowego Zielonego Porządku. Trwające zaledwie 127 sekund wystąpienie natychmiast stało się hitem internetu, a komentatorzy polityczni okrzyknęli ją demaskatorką republikańskiej hipokryzji. Na oskarżenia o tworzenie legislacji dla elit błyskotliwie odpowiadała statystykami pokazującymi, że zmiany klimatyczne już teraz negatywnie wpływają na 60% amerykańskiej populacji. Hasła o odpowiadaniu na potrzeby bogatych mieszkańców bogatych miast skontrowała doświadczeniami z Bronksu, gdzie znajduje się jej okręg wyborczy i gdzie z powodu zanieczyszczenia

powietrza odnotowuje się u dzieci najwyższe wskaźniki astmy w całym kraju. Wreszcie krytykę ze strony republikanów, m.in. sceptyka klimatycznego Seana Duffy'ego, skwitowała stwierdzeniem, że konsekwencje zmian klimatycznych i wynikających z tego nierówności społecznych są już tak powszechne, że przestały być problemem natury ekonomicznej, a stały się czynnikiem decydującym o jakości życia Amerykanów. Podkreśliła, że najważniejsza jest dla niej przyszłość najmłodszych obywateli, którym „demokraci chcą zapewnić lepsze jutro, a nie wysłać do Davos czy innych miejsc dla elit”.

Mimo tej brawurowej obrony projekt znalazł się w martwym punkcie. Z technicznego punktu widzenia proponowana przez demokratów marcowa rezolucja miała charakter symboliczny i stanowiła jedynie uverture do dalszych, konkretniejszych działań. Tym bardziej że kwestia ekologicznej rewolucji w amerykańskiej gospodarce zyskuje na znaczeniu niemal z każdym dniem. Według sondażu przeprowadzonego przez lewicowe centrum badawcze Data for Progress dwa tygodnie przed głosowaniem w Kongresie jednoznacznie za wprowadzeniem Nowego Zielonego Porządku opowiedziało się 43% mieszkańców USA. Wśród wyborców Partii Demokratycznej odsetek ten był jeszcze wyższy i wyniósł równo 80%. Nic więc dziwnego, że aż sześć spośród 24 obecnie zadeklarowanych bądź prawdopodobnych kandydatów na prezydenta z ramienia demokratów zaangażowało się w tworzenie założeń projektu. W tej grupie znaleźli się zarówno przedstawiciele nowej, bardziej lewicowej fali polityków, np. pochodzący z Teksasu Beto O'Rourke, jak i weterani sceny politycznej – senator Elizabeth Warren i były wiceprezydent Joe Biden.

Co w takim razie miałyby w ogóle wchodzić w skład Nowego Zielonego Porządku? Jego podstawowym założeniem jest całkowita zmiana struktury miksu energetycznego. Docelowo już w 2030 r. Stany Zjednoczone miałyby się stać gospodarką bezemisyjną, czyli w 100% opartą na odnawialnych źródłach energii. Choć brzmi to jak fikcja lub polityczne myślenie życzeniowe, naukowcy i aktywiści skupieni wokół idei zielo-

nej rewolucji uważają, że cel jest jak najbardziej osiągalny.

Jednym z jego propagatorów jest twórca pojęcia Green New Deal, laureat Nagrody Pulitzera Thomas Friedman. Kiedy pierwszy raz użył tej nazwy w styczniu 2007 r., publikując na łamach „New York Timesa” felieton o kosztach ponoszonych przez budżet federalny w związku z coraz

Nowy Zielony Porządek to również kompleksowa reforma rynku pracy.

częstszymi katastrofami naturalnymi, zauważył, że niezbędna będzie nie tylko nowa strategia energetyczna, ale także koordynacja w zakresie gospodarki, inwestycji publicznych, nakładów na badania i rozwój, a nawet bezpieczeństwa narodowego. Jeśli chodzi o ten ostatni element, Friedman wielokrotnie nawiązywał do amerykańskiej armii, która pozostaje jednym z największych na kontynencie trucicieli, w dodatku szczególnie opornie reaguje na próby przejścia na zielone źródła energii.

Ale Nowy Zielony Porządek to również kompleksowa reforma amerykańskiego rynku pracy. Do tej pory bowiem, nawet jeśli (tak jak za drugiej kadencji Baracka Obamy) bilans miejsc pracy stworzonych przy nowych źródłach energii i likwidowanych w nierentownych kopalniach czy przy obsłudze tradycyjnych technologii produkcji energii, wypadał na korzyść tych „zielonych”, problem stanowiła jego geograficzna asymetria. Firmy zajmujące się odnawialnymi źródłami lokowały siedziby w i tak bogatych stanach, np. w Kalifornii czy na Florydzie. Natomiast ludzi tracących pracę w kopalniach lub w zakładach przemysłowych Środkowego Zachodu dotyczyło coraz większe wykluczenie. Do tego stopnia, że region ten zaczęto nazywać gettem białych bezrobotnych. Wprawdzie demokraci na razie ograniczają się do dość ogólnikowych obietnic pod ich adresem, ale już Partia Zielonych proponuje całkowitą reformę urzędów pracy i publicznych pośredników, żeby upowszechnić możliwość pracy w bardziej ekologicznych sektorach gospodarki w całym kraju.

Postulaty Partii Zielonych są o tyle istotne w tej dyskusji, że Nowy Zielony Porządek nigdy nie był – i raczej nie zostanie – wyłączną domeną Partii Demokratycznej. Na gruncie walki z lobby węglowym i naftowym albo przy okazji kolejnego zanegowania przez republikanów skutków zmian klimatycznych wyrastają przede wszystkim nowe organizacje społeczne, mobilizujące ludzi do walki o sprawiedliwszą i bardziej zieloną Amerykę niezależnie od ich poglądów politycznych. Do takich należy

Sunrise Movement, zawiązany głównie przez młodych aktywistów ruch społeczny na rzecz rezygnacji z tradycyjnych źródeł energii. Jego rzecznik Stephen O'Hanlon wszedł zresztą na wojenną ścieżkę z concernami naftowymi, oskarżając je o pompowanie miliardów w kampanie polityczne tych republikanów, którzy dadzą sobą manipulować i którzy nigdy nie zagłosują za ograniczeniem emisji czy wprowadzeniem restrykcji dla sektora prywatnego.

Partia Republikańska na razie ogranicza się do kasowania pomysłów demokratów, w zamian proponując niewiele. Jej jednostronność stała się do tego stopnia przewidywalna, że w czasie kolejnej debaty o ekologicznych reformach lider opozycji w Senacie Chuck Schumer stwierdził, że „wszyscy wiedzą, przeciwko czemu są republikanie. Nikt

Już w 2030 r. Stany Zjednoczone miałyby stać się gospodarką bezemisyjną.

z kolei nie wie, co aktywnie popiera”. Wprawdzie z szeregow prawicy wyszło kilka projektów konkurencyjnych wobec Nowego Zielonego Porządku, kładących nacisk głównie na inwestycje w nowe technologie przy jednoczesnym wydłużaniu życia sektora węglowego, jednak żaden z nich nie jest dla dzisiejszej władzy priorytetem. Można wręcz odnieść wrażenie, że plany te powstały tylko dlatego, że republikanie zostali przez demokratów wywołani do tablicy. Nie mają przy niej jednak wiele do powiedzenia, a czasu zostało coraz mniej – do kolejnej fali katastrof ekologicznych, ale przede wszystkim do wyborów prezydenckich w 2020 r. ■

Anna Bikont,
Helena Łuczywo

– Gospodarka? Tym mieli się zająć komuniści. My co najwyżej mieliśmy im patrzeć na ręce – wspominał Adam Michnik. Taki był w tym czasie stan ducha wielu ludzi z opozycji.

Grzegorz Lindenberg, wówczas wydawca „Gazety Wyborczej”, poznał Jeffreya Sachsa na kolacji u znajomych. Sachs, choć miał niewiele ponad trzydzistkę, był już sławny. Dzięki jego pomysłom rząd Boliwii w ciągu kilkunastu miesięcy zbił inflację z ponad 50 tys. do 15% rocznie.

– Sachs mówił o uwolnieniu cen, o moratorium na spłatę długów. Miał jasny pogląd, jak przejść od gospodarki socjalistycznej do wolnego rynku. Słuchałem go w oszołomieniu – opowiadał Lindenberg – i umówiłem z Jackiem.

Kuroń był jednym z nielicznych niespecjalistów zafascynowanych gospodarką. Chodził na spotkania opozycyjnych ekonomistów, którzy w obliczu załamania gospodarki spierali się, co dalej. Liberałowie mówili: „Wolny rynek, minimum ingerencji państwa, rynek sam wyreguluje gospodarkę”. Ich przeciwnicy: „Jesteśmy ekonomistami związku zawodowego, musimy myśleć o naszych klientach, a oni są pracownikami państwowych zakładów przemysłowych – co z nimi?”.

Na wolny rynek Jacka nawrócił Sachs. Przyszli do Kuronia wczesnym popołudniem. Sachs wykladał, Lindenberg tłumaczył z angielskiego. „Co kilka minut Kuroń walił ręką w stół i powtarzał: »Tak, rozumiem! Tak, rozumiem!« – wspominał Sachs. – W pokoju było coraz gęściej od dymu, z butelki lał się alkohol. A ja mówiłem i mówiłem, chyba jeszcze dwie czy trzy godziny. Byłem zlany potem. Nie wiem, ile paczek papierosów wypalił tego wieczoru, miazdząc niedopałki w przepelnionej popielniczce. Pod koniec powiedział: »Okej. Ja to rozumiem. Tak zrobimy. Napisz plan“.

Jacek zapalał miłością do wolnego rynku. Ślęczał nad leksykonami ekonomii. Patronował pracom utytułowanych ekonomistów pod wodzą prof. Janusza Beksiaka.

Z miłości do wolnego rynku

Jacek Kuroń od razu zrozumiał, że pozycja, w jakiej ustawił go premier Mazowiecki – ministra od nędzy – była pozycją straceńca

Jerzy Osiatyński: „Zwracałem mu uwagę, że Sachs pewne kłopotliwe kwestie przemilcza, jak np. to, że zaraz po uwolnieniu cen musi nastąpić przyspieszenie inflacji, że zbyt silna dewaluacja złotego przekreśli rentowność wielu przedsiębiorstw, więc będą upadłości i zwolnienia robotników. Krótko mówiąc, byłem dość kasandryczny. Ale nie umiałem przedstawić w zamian nic rozsądnego, tak wszechogarniającego jak recepty Sachsa (które zresztą hamowali Międzynarodowy Fundusz Walutowy i inni doradcy). To dla Jacka było rozstrzygające: plan Sachsa, później Sachsa-Balcerowicza, oferował przynajmniej nadzieję rozwiązania, podczas gdy tacy jak ja nadawali tylko przestrogi i krytykę”.

Zapałał uczuciem do wolnego rynku. Ślęczał nad leksykonami ekonomii.

Było wczesne lato, ekipa Jaruzelskiego – mimo spektakularnego sukcesu Solidarności w wyborach – próbowała utworzyć jakiś rząd, ale już było widać, że jak się przegra wybory, to rządzić się nie da, nawet w kraju bloku sowieckiego, który przecież nadal trwał. Co prawda w ZSRR od kilku lat był liberalny Michaił Gorbaczow, wprowadzał pierestrojkę i głośność, na Węgrzech wrzało, ale nikt nie marzył jeszcze o tym, że pod koniec roku runie berliński mur, a prezydentem Czechosłowacji zostanie więzień polityczny Václav Havel.



3 lipca 1989 w „Gazecie Wyborczej” ukazał się tekst Adama Michnika „Wasz prezydent, nasz premier”. Jacek uważał się za współtwórcę pomysłu, żeby nie pozostawać w opozycji, wziąć odpowiedzialność za Polskę, co oznaczało pokojowe podzielenie się władzą z Jaruzelskim i PZPR. Lech i Jarosław Kaczyńscy zgłosili się do Lecha Wałęsy z innym pomysłem: koalicji z dwiema partiami satelitami PZPR, która zapewniłaby solidarnościowej opozycji większość w Sejmie.

Kuroń spotkał się z braćmi Kaczyńskimi: „Zapytałem wprost, o co chodzi. Odpowiedzieli mi też wprost: budują koalicję z ZSL i SD, bo choć reformatorzy są w PZPR, a tam tylko potakiwacze, to liczy się skuteczność takiego zabiegu. »Kto miałby być premierem?« – zapytałem. »Może Wałęsa? Może Mazowiecki? A może ty?« – rozdawał karty Jarek. Przyznam, że na taką ewentualność zamilkłem. Jest coś takiego w naturze człowieka, że jak zajmie pozycję przerastającą jego możliwości, to mu rozum odbiera”.

Koalicja ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym powstała. Jasne było, że nowego premiera wskaże Lech Wałęsa, który podał trzy kandydatury swoich doradców: Geremka, Kuronia i Mazowieckiego.



Strajk hutników pod Ministerstwem Przemysłu i Handlu, Warszawa, 1993 r.

giczny przełom. Po drugie rozmawiał z ludźmi. Wreszcie pakt o przedsiębiorstwie. Nie wiadomo, co by z tego wyszło, gdyby się udało, nie ma mądrych. Ale to był pomysł na humanizację prywatyzacji i gospodarki rynkowej.

Kuroń zaczął ministrowanie 13 września 1989 r.

– Właściwie nic się w moim życiu nie zmieniło – mówił po objęciu urzędu. – Zawsze miałem kłopoty, skąd pożyczyć pieniądze.

„I pierwsze, czego się dowiedziałem, to że brakuje 50 mln. Było to moje pierwsze zderzenie z ministrowaniem. Skąd wziąć 50 mln? Od tej chwili ja jestem odpowiedzialny za to, że prawie jedna trzecia emerytów nie będzie miała za co kupić nawet chleba”.

Pieniądzy zabrakło akurat dla rolników. Kuroń postanowił pożyczyć je z innej instytucji państwowej, ale dowiedział się, że to sprzeczne z prawem.

„Zapytałem wtedy: »Ile się za to siedzi?«. Oni się roześmiali i pożyczili te 50 mln”.

– Byliśmy jedynym krajem postkomunistycznym, który od początku zadeklarował, że dla emerytów muszą zawsze być pieniądze. Gdzie indziej, jak brakowało pieniędzy w budżecie, emerytur po prostu nie wypłacano. To była zasługa Jacka – mówi Aleksandra Wiktorow, późniejsza wiceminister pracy.

Kuroń odziedziczył po PRL skomplikowany i zabagniony system emerytur i rent. Wskutek bałaganu w przepisach i inflacji nikt nie wiedział, ile mu się należy i dlaczego. Ceny żywności, urynkowane jeszcze przed powstaniem rządu Mazowieckiego, rosły opętańczo. W sierpniu 1989 r. mięso zdrożało siedmiokrotnie, masło czterokrotnie, pieczywo trzykrotnie. Podwyżki z tytułu inflacji wyglądały przy tym żałośnie. ZUS, żeby je skalkulować, co miesiąc zeliczał ręcznie, bez komputerów, osiem i pół miliona rent i emerytur. Do tego emeryci, żeby dostać swoje pieniądze, musieli wystawać w gigantycznych kolejkach, awanturach i tłoku na pocztę, która zatkała się przekazami”.

Pierwszego od półwiecza niekomunistycznego premiera Polski Sejm wybrał 24 sierpnia 1989 r. Został nim Tadeusz Mazowiecki. „Szukał mnie gwałtownie Jacek Kuroń w związku z organizowaniem komisji ratowania gospodarki pod przewodnictwem Janusza Beksia, za którą faktycznie ukrywa się Jeffrey Sachs”, pisał Waldemar Kuczyński, jeden z najbliższych doradców nowego premiera.

Mazowiecki zaczynał właśnie tworzyć gabinet. Zanim zdążył się skontaktować z Kuroń, ten przedstawił za pośrednictwem Kuczyńskiego swoje warunki. Domagał się, żeby rząd przeprowadził szokową operację antyinflacyjną według planu Sachsa, którą miałby nadzorować jako wicepremier od gospodarki.

Premier nie chciał Kuronia jako wicepremiera i guru od gospodarki. Mazowiecki mówił Joannie Szczęśnej i Helenie Łuczywo:

– Patrzyłem na to złym okiem. Ja mam misję tak trudną, jak tworzenie rządu, a tu się gdzieś tworzy inny zespół ludzi, który chce mi dyktować program gospodarczy.

Ale chciał go mieć w rządzie. Jego doradca Jacek Ambroziak opowiadał nam, że Mazowiecki bardzo szybko pomyślał o Kuroń, bo dążył do te-

go, żeby w rządzie byli przywódcy opozycji, korowskiej i też bardziej prawicowej. Pomysł, że Jacek będzie przeciwwagą dla Balcerowicza, pojawił się później.

Adam Michnik:

– Mówiłem mu, że nie powinien wchodzić do rządu. Jeśli na wejściu Tadeusz odmówił mu teki wicepremiera, to nie będzie miał realnego wpływu na politykę państwa. Myliłem się.

Główną troską Jacka było pilnowanie, by emerytur nie zżerała inflacja.

Sceptyczny był też Karol Modzelewski:

– Pozycja, w jakiej ustawił go Mazowiecki – ministra od nędzy – była pozycją straceńca. Jacek, człowiek niezwyklej bystrości politycznej, od razu to zrozumiał.

– Zgoda Jacka była naprawdę wielkim czynem – wspominał Mazowiecki. – Mógł być premierem, a tu ja nim zostaję i kompletuję rząd. On przeszedł nad tym do porządku, był ponad to.

Michnik:

– Trzy rzeczy są najważniejsze. Jacek był *bête noire* nie tylko w Polsce, ale w całym bloku. Jego wejście do rządu to był dla wszystkich psycholo-

**Jan Lityński,
wtedy doradca Kuronia:**

– Z dnia na dzień zmniejszała się siła nabywcza pieniądza, ludzie tracili przez każdy dzień opóźnienia. Jacek osobiście dzwonił na pocztę, do ZUS, by przyspieszyć wypłaty.

Główną troską Jacka było pilnowanie, by emerytur nie zżerała inflacja. „Dokładał do puli emerytalnej wszystkie pieniądze, jakie mu się udawało wydusić z budżetu”, pisała „Gazeta Wyborcza”. Dokonał cudu: w drugim kwartale jego urzędowania emerytury i renty spadły o zaledwie 4%, podczas gdy płace – o 32%. W 1990 r., kiedy Polska zmagająca się z szokiem radykalnej reformy ekonomicznej, Kuroniowi udało się – mimo kurczącej się gospodarki i pauperyzacji społeczeństwa – hojnie dofinansować emerytów, a także przewalczyć w Sejmie rewolucyjne zmiany w systemie emerytalnym.

„Stan przedzawałowy, ze szpitala gasi strajki, odpala jednego papierosa od drugiego”, Izabella Cywińska, ówczesna minister kultury, odnotowała w październiku 1990 r. w swoim dzienniku, jak Jacek Kuroń wpadł na chwilę na Radę Ministrów ze szpitala, by zreferować ustawę o rentach i emeryturach.

Chroniąc emerytury przed inflacją, posunął się jednak za daleko. Wprowadzony przez Kuronia mechanizm podnoszenia emerytur z góry, według prognozowanej inflacji, okazał się – gdy inflacja była niższa od założonej – ruiną dla budżetu. Według Elżbiety Cichockiej, dziennikarki „Gazety Wyborczej”, nagle niektóre emerytury okazały się wyższe niż pensje.

Leszek Balcerowicz:

– Zdarzały się ruchy, które Jacek robił w dobrej wierze, mimo że były sprzeczne z programem rządu. Emerytury przyczyniły się do rozsadzenia budżetu w 1991 r.

Pogadanki w telewizji Jacek wygłaszał od początku swojego ministrowania. Pierwszą nadano już 19 września. Kilkanaście milionów ludzi słuchało co wtorek w TVP 1, zaraz po „Dzienniku”, a przed filmem, to jest w porze największej oglądalności, jak Kuroń tłumaczył i oswajał nową rzeczywistość.

Irena Wóycicka, doradca Kuronia:

– Kiedy przyszła wolność, wszyscy uważali, że będziemy dobrze żyć, by-



to niesamowite ciśnienie na socjalne państwo, które wszystko da, bo komuniści brali dla siebie. Jacek jedyny próbował z ludźmi o tym rozmawiać.

Michał Boni, wtedy działacz Solidarności:

– To nie rzeczniczka naszego rządu usuwała Urbana z naszej świadomości, ale telewizyjne wystąpienia Jacka Kuronia. Marzył, żeby i inni ministrowie ożyli w mediach, Balcerowicza zaś radził wylansować w roli komputera. Mówił: „Dobry wieczór państwu i dobranoc” i stawał się gościem w tysiącach domów. Był takim Matysiakiem. Dziś nie mogę sobie wyobrazić polityka, którego ludzie chcieliby mieć u siebie tydzień w tydzień.

Aleksander Kwaśniewski:

– Pogadanki Kuronia miały dla przemian zasadnicze znaczenie. To on ten towar wepchnął ludziom do rąk. Okazało się, że telewizja jest żywiołem Jacka, grał rolę swojego życia. Zdobytą w tym czasie oszołamiącą popularność zachował do ostatnich lat życia.

Balcerowicz:

– W powszechnej opinii Jacek dał nam ludzką twarz, ale ja nie mam zdania, bo nie oglądałem jego pogadanek. Miałem przeświadczenie,

– Na posiedzeniach rządu odznaczał się wyglądem, w tych dżinsach z termosem, palił jak lokomotywa – mówi Jerzy Koźmiński. Warszawa, Urząd Rady Ministrów, 1990 r.

że to jest czas, kiedy trzeba jak najwięcej zrobić, mniej nawet przekonywać, a stworzyć dużo faktów dokonanych, bo czas nadzwyczajnej polityki – on się kończy.

Jan Lityński:

– Bez Jacka plan Balcerowicza by pękł. Byłby strajk generalny. Przy wszystkich popełnionych błędach Jacek był jedynym możliwym ministrem zdolnym zabezpieczyć ludzi.

Jacek chciał się podobać, uwielbiał być uwielbiany, a mimo to szedł pod prąd. W programie telewizyjnym „Interpelacje” robotnik z Krakowa mówił: „Mamy na zakładzie szkodliwe stanowiska pracy, a niektórzy nie dostają dodatku za szkodliwość. Czy pan minister mógłby nam pomóc?”. Kuroń na to: „Ja mam tam jechać i dopilnować? To przecież generalna deklaracja totalnej niemożności. I jakby się na niej zatrzymać, to nas wszystkich szlag trafi z całą pewnością! Jeśli mi się nie zbierzemy, jeśli się nie zorganizujemy, żeby na miejscu brać własne sprawy w swoje ręce, to przegramy z kretesem”.

Pojechał do Łodzi na spotkanie z włókniami. Odpowiadał na mnóstwo pytań, ale niczego – oprócz podwyżek emerytur – nie obiecywał, głosił „obiektywne prawa rynku”, straszył bankructwami, a mimo to na koniec dostał oklaski. „Miałom grozi śmierć, jeśli będzie mroźna zima”, ogłaszał i wzywał górników do pracy w soboty, bo to „jedyna szansa uzyskania brakującego węgla”. To jego cytują dziennikarze, kiedy w Sejmie ostro sprzeciwia się lawinie podwyżek płac z tytułu inflacji, lawinie pustego pieniądza. Mówi: „Chcemy dać jak najmniej”.

„Kuroń referował nowe prawo strajkowe. Był bezwzględny i radykalny. Mazowiecki na końcu skwitował: „Kompletny surrealizm”, pisała Cywińska w dzienniku z datą 10 października 1989 r. Chodziło pewnie o to, że Jacek był przeciwny płaceniu za dni strajkowe z funduszu płac przedsiębiorstwa.

– Na posiedzeniach rządu odznaczał się wyglądem, w tych dżinsach

z termosem, palił jak lokomotywa – mówi Jerzy Koźmiński, współpracownik Balcerowicza. – Jakby wziąć statystykę tych, co najczęściej się odzywali, to byłby na samej górze. Nie hamletyzował, mówił stanowczo i klarownie, co nie było wtedy częste.

„Gdy przed rozpoczęciem posiedzenia Rady Ministrów wchodził na salę umundurowany borowiec z termosem, wiadomo było, że za chwilę wejdzie Kuroń – opisywał Waldemar Kuczyński. – Mówił soczyście, wplatając od czasu do czasu słowa, powiedzmy, nieministerialne i na pewno pominięte w protokołach”.

Jacek Ambroziak, szef Urzędu Rady Ministrów, nie wytrzymał i spytał Jacka, co ma w termosie: – Powiedział, żebym spróbował. Łyknąłem, to był straszny zajzajer – herbata siekiera.

Jesienią 1989 r. Jacek zaczął nowe, bardzo intensywne życie rodzinne. Zamieszkała z nim Dana z dwójką, a potem trójką dzieci, Pawłem, Madzią i Ewą, z którymi Jacek prowadził niekończące się rozmowy wychowawcze. Opisywał, jakie to było trudne: „[Ewa] na początku trzymała się stale mamy. Zwłaszcza gdy ja chciałem pobyć z Danuską. Wziąłem ją na rozmowę i tłumaczyłem, że nie

powinna zmuszać Dany do wyboru między nią a mną: »Dana wybierze zawsze ciebie, ale robisz jej niepotrzebną przykrość«. Ewa patrzyła na mnie. Ma wielkie niebieskie oczy. Widziałem, jak zbierają się w nich łzy. »A mnie kazali wybierać – powiedziała po chwili. – Między tatą a mamą“.

Bez Jacka plan Balcerowicza by pękł. Byłby strajk generalny.

Wkrótce wprowadził się jeszcze Ukrainiec Timur, kolega z klasy Pawła. Obaj chodzili do nowo utworzonej szkoły społecznej Krystyny Starczewskiej, koleżanki Jacka z czasów KOR, której obiecał, że w zamian za ich przyjęcie będzie prowadził tam lekcje.

„To był taki czas – opowiadała Dana Kuroń – że jak raz wyjechaliliśmy, żeby pobyć razem, i zanocowaliśmy w hoteliku w Morągu, to po pięciu minutach wszyscy tłoczyli się wokół Jacka z pytaniami. I zaraz zrobiło się coś w rodzaju wiecu, na którym Jacek musiał bronić polityki rządu”.

Pod koniec 1989 r. aktywny na wszystkich frontach Kuroń włączył się w pracę nad pakietem ustaw, które przeszły do historii jako plan Balcerowicza. Biegał do Ministerstwa Finansów, godzinami słuchał, jak specjaliści od Balcerowicza roz-

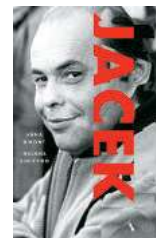
trząsają zawite kwestie ekonomiczne. Co zrobić z płacami, które rosły i napędzały inflację, a było to błędne koło, bo większa inflacja wymaga większych płac? Czy sam rynek powstrzyma wzrost płac, gdy przedsiębiorstwa zaczną konkurować, czy potrzebny jest zaporowy podatek od wzrostu wynagrodzeń, zwany popiwkiem?

Stefan Kawalec, wtedy doradca Balcerowicza:

– Odzywał się, choć nie powiedziałbym, że wnosił jakiś wkład. Ale był sojusznikiem istotnym. No i podczas każdego z tych spotkań coś opowiadał, różne historie ze swojego życia.

Kuroń wspierał Balcerowicza, jak mógł. Reprezentował go nawet wobec delegatów Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, bez których akceptacji Polska nie mogła liczyć na niezbędną pomoc Zachodu. To on miał przekonać zachodnich finansistów, że związek zawodowy Solidarność nie zablokuje szokowej kuracji gospodarczej.

Fragmenty książki
Anny Bikont
i Heleny Łuczywo
Jacek,
Wydawnictwo Agora,
Warszawa 2018



Wirtuozi z Domów Dziecka



Uczestnicy turnieju „Dzieci Polonii – Dzieciom” zorganizowanego przez Fundację na Rzecz Rozwoju i Promocji Sportu Młodzieżowego na boiskach warszawskiej Polonii. Do zawodniczek i zawodników z domów dziecka przemawia prof. Stanisław Speczik, jeden z organizatorów i sponsorów.

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Opadł już jubileuszowy kurz po 35-leciu twojej pracy artystycznej i 10-leciu Teatru Capitol? Jak to przeżyłaś?

– Nie wiadomo, śmiać się czy płakać, bać się czy po prostu cieszyć. Podchodzę do jubileuszy jak do szansy wzbudzenia zainteresowania teatrem – to forma reklamy, dlatego teatry powinny obchodzić jubileusze, bo one zawsze przyciągają widzów. Wszyscy lubimy fety, wołamy nie tylko o chleb, ale też o igrzyska.

Jubileusze sprawiają, że nadchodzą sympatyczne listy, gratulacje, publikacje – zwróciłem uwagę na pełen ciepła tekst okolicznościowy, który ci poświęcił Witold Sadowy.

– Witold to nasza cudowna legenda aktorska. Wspaniały człowiek, już takich nie ma – jak to się mówi, ktoś z tamtej epoki, o ogromnej kulturze osobistej, o szczodrej życzliwości wobec ludzi. Człowiek o czystym sercu. Z tym większym wzruszeniem przyjmuje się od takich ludzi dobre słowa. **Życzenia bywają różne.**

– Niektóre bywają bardzo interesowne, inne bezinteresowne.

Trzeba na to zwracać uwagę, gdy się kieruje taką firmą.

– Prawda, ale życzenia od Witolda Sadowego to absolutna szczerość.

W twoim jubileuszu łatwo o podział: 35 lat dzieli się na dwie części

– 25 lat w teatrach publicznych, głównie w Ateneum, i 10 lat na swoim, czyli w Teatrze Capitol. Część druga na razie jest krótsza, ale jeśli wziąć pod uwagę wydatek energii, kto wie, czy nie większa.

– Masz rację, bo te 10 lat muszę traktować podwójnie, a nawet potrójnie. Zawsze chciałam się zestarzeć z teatrem, z tym zawodem, i to jest dla mnie najważniejsze, że ciągle nie wypadam z zawodu. Stworzyłam ten teatr razem z mężem, Stanisławem Mączyńskim, ale nie zapominam, że jestem aktorką. To dla mnie swego rodzaju stempel.

Wróćmy więc do do debiutu, czyli pierwszego sezonu w Teatrze Narodowym, u Adama Hanuszkiewicza. Nie było zbyt wielu wielkich ról, ale było ich w sezonie aż pięć.

– Były i wielkie. Grałam Sylwię w „Komedii pasterskiej”, to była główna rola. Graliśmy z Jankiem Fry-

Aktorka na swoim

Teatr jest jednak odświętną sprawą, nawet jeśli to tylko komedia



ANNA GORNOSTAJ

– aktorka filmowa i teatralna, założycielka Teatru Capitol

czem główną parę i ciągnęliśmy ten spektakl. To był naprawdę mój duży, duży debiut. Ale były też piękne sceny w „Leśmianie”, Zosia w „Panu Tadeuszu”, miałam również zastępstwo w „Weselu”, grałam Haneczkę.

A ja zapamiętałam jeszcze „Zwolona”, prapremierę monologii Cypriana Norwida.

– W „Zwolonie” zagrałam Pacholę. **Niesforne, bo niszczyło dzbany.**

– Tak? Tego nie pamiętam. Największym wyzwaniem była jednak dla mnie „Komedia pasterska” grana w Teatrze Małym.

Który był sceną Narodowego i którego już, niestety, nie ma.

– W Małym grało się łatwiej ze względu na emisję głosu. Na wielkiej scenie Narodowego to było piekielnie trudne. Wprost ze szkoły teatralnej weszłam na Scenę Narodową, która miała ogromną przestrzeń. Hanuszkiewicz zawsze do nas krzyczał: „Bóg na drugim balkonie!”, bo wszyscy mówili za cicho. Tam wtedy nie było wzmocniaczy – przesłama solidną szkołę aktorskiego fachu, Hanuszkiewicz pilnował, aby wszystko było słyszalne w ostatnim rzędzie. Dla takiej małej

Zosi, dziewczynki z warkoczami, to wcale nie było łatwe. Potem, kiedy przyszedłam do Ateneum, wszyscy pytali: dlaczego ty tak krzyczysz?

Po Narodowym Ateneum musiało ci się wydawać miniaturą?

– Jeszcze bardziej Teatr Mały, który po scenie głównej był prawdziwym oddechem. To było cudowne przedstawienie. Graliśmy na prawdziwej trawie, na scenie Grażyna Szapołowska, Janek Frycz, Henryk Machalica, chodziły owieczki malowane na złotobiało, przygrywał gitarzysta.

To był przedostatni spektakl Adama Hanuszkiewicza w Narodowym, zrobiony, jak pisano, ze współczesną wrażliwością i humorem.

– Działo się tam mnóstwo: Marzena Trybała z Grażyną Szapołowską siedziały nago w wielkich beczkach, zresztą cudowna scenografia Xymeny Zaniewskiej i Mariusza Chwiedczuka to było dość, żeby się zakochać w tym przedstawieniu.

Wkrótce wciągnął cię też film.

– Robiłam w tym samym roku (1985) dwa filmy, „Jestem przeciw” Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego, ważny film o narkomanach, a z drugiej

strony kostiumowy „C.K. Dezerterzy” Janusza Majewskiego. Wrażen mi nie brakowało. I to były nie tylko emocje, ale również doznania estetyczne. Wchodzisz w nowe światy, odmienne czasy, jak schyłek monarchii austro-węgierskiej w filmie Majewskiego albo czasy bujnego baroku jak w komedii Morsztyna. A do tego malownicze obrazy z „Pana Tadeusza” czy żywioł poezji Leśmiana – to wszystko rozbudzało wyobraźnię.

Ten kolorowy świat szybko zniknął.

– Hanuszkiewicz wyrzucili z Narodowego i się skończyło. Ale mnie udało się przejść do Ateneum. Zawsze o tym marzyłam – to był zupełnie inny rodzaj teatru, inna poetyka. Janusz Warmiński narzucał formułę teatru wielopokoleniowego, ale poszukującego nowych form inaczej niż Hanuszkiewicz. Ateneum wyrastało z tradycji teatralnej, ale było bardzo otwarte na świat – Warmiński korzystał z tego, że stał na czele Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (ITI), ściągając więc dla nas dobrą literaturę. A to w tamtych czasach było dla nas, młodych twórców, bardzo ważne.

Ateneum było wówczas wyjątkowym teatrem w Warszawie.

– Nie tylko w Warszawie – także w Polsce. Wokół teatru skupiła się grupa twórców, Tadeusz Konwicki, Wojtek Młynarski, teatr dawał nie tylko premiery dramatyczne, ale i spektakle muzyczne, które ściągaly tłumy. Warmiński narzucał styl, nawet garderobiany. Kiedyś na zebraniu powiedział, że wie, że czasy są ciężkie, ale bardzo prosi koleżanki aktorki, żeby wychodząc na ulice, ubierały się elegancko, modnie, koledzy też, bo jesteśmy wizytówką tego teatru. Myśmy się czuli w obowiązku sprostać wymogom dyrektora, żeby być nie tylko aktorami wykonującymi swoje zadania, ale i ludźmi kultury.

O Ateneum aktorzy mawiali, że to nie był teatr, ale dom. Kiedy myślę o Teatrze Capitol, któremu od 10 lat się poświęcasz wraz z mężem i rodziną, widzę, że prawdziwy dom-teatr masz dopiero teraz.

– Ateneum też było dla nas domem, pracowaliśmy tam razem z mężem, byliśmy wychowankami Aleksandry Śląskiej i Janusza Warmińskiego. Traktowali nas jak swoje artystyczne dzieci, tworzyli atmosferę wzajemnej pomocy, myśmy nasiąkali tymi dobrymi fluidami. Chciałam to

wszystko powtórzyć tutaj – w moim teatrze. Zauważ, że wszyscy ludzie, którzy otworzyli w Warszawie prywatne teatry, są wychowankami Warmińskiego. Krysia Janda, Emilian Kamiński, Michał Żebrowski, ja, nawet Janusz Józefowicz – jesteśmy z jednej stajni. To nie może być przypadek. Staramy się wykorzystać troszkę tego, czego się nauczyliśmy od Śląskiej i Warmińskiego. Trudno mi powtórzyć to, co było w tamtych czasach, choćby dlatego, że zmieniła się obyczajowość. Ale jednej rzeczy zostałam nauczona – szacunku dla aktora i widza. Teatr Warmińskiego taki był, zrodził się z szacunku dla widza i aktora. Publiczność nas kochała. Tłumy stały pod kasą, ludzie nocami wystawiali po bilety do teatru. Nie wyobrażam sobie, żeby aktor Ateneum proszony o autograf odmówił, nie wyszedł do publiczności. Dziś nie śmiem o to prosić koleżanki aktorki, bo mnie zbeszta i powie, że to jej prywatny czas. Nie mogę też prosić, żeby nie pokazywała się ze mną w dresie, bo powie, że naruszam jej prywatność.

Publiczności nie wolno oszukiwać, trzeba uważać, jak się z nią rozmawia. Publiczność widzi wszystko.

O szacunku w twoim teatrze nie sposób zapomnieć. Widz doskonale wie, jak o ten szacunek się upomnieć – ma od tego nogi i może sprawić, że nie przyjdą albo wyjdą.

– Nie tylko nogi. Ma do dyspozycji internet. Nasz marketing odbiera dziennie 300 mejli i odpisuje na wszystkie. Małgosia, która się zajmuje korespondencją z publicznością, czasami wychodzi z pracy dopiero o siódmej czy ósmej, bo tyle ma mejli, na które musi odpowiedzieć. Co więcej, jesteśmy jedynym teatrem, który wpuszcza publiczność nawet po dużym spóźnieniu.

To akurat nie zgadza się z zasadami Warmińskiego.

– Czasy jednak się zmieniły. Kiedyś pewna pani spóźniła się do nas ponad pół godziny. Powiedziałam jej, że to nieelegancko, bo to dla nas bardzo kłopotliwe. A ona odpowiedziała: „Proszę pani, trzy miesiące czekałam na ten spektakl (chodziło o „Klimakterium”), mieszkam w Otwocku i po ciąg się spóźnił – to nie ode mnie zależy, a tak marzyłam, żeby to zobaczyć”. Mało tego, ta pani zapłaciła za

bilet sto kilkadziesiąt złotych, a była skromną emerytką. Wtedy pomyślałam: trudno, to będzie uciążliwe dla aktorów, dla obsługi, ale powinniśmy wpuszczać spóźnionych, różne przecież zdarzają się sytuacje, tak też wyrazimy nasz szacunek dla widza.

Czy w mejlach, o których mówisz, rysują się jakieś oczekiwania repertuarowe?

– O tak, ludzie mają teraz bardzo wiele cennych uwag, choć częściej piszą, czego sobie nie życzą. Nierzadko publiczność reaguje na brzydkie wyrazy, zdarzają się kobiety, które liczą, ile razy pojawiło się jakieś nieprzyzwoite słowo. Czasem – tłumaczę – użycie tzw. brzydkiego słowa jest konieczne w spektaklu. Potem dostaję mejla: „Pani Aniu, pani mnie oszukała, bo wczoraj byłam na spektaklu i użyto dwa razy tego słowa, a dzisiaj znowu dziesięć razy”.

Publiczności nie wolno oszukiwać, trzeba uważać, jak się z nią rozmawia. Miałam nawet takie uwagi, że aktor chodził w brudnych butach na scenie. I tak było: aktora bolała stopa i wy-

szedł na scenę w prywatnych butach, trochę mniej zadbanych niż te sceniczne. Publiczność widzi wszystko. To jest zawód, w którym trzeba dać z siebie wszystko, a nawet więcej.

Czego ci w Capitolu brakuje?

– Stałego zespołu aktorskiego. Nas na to nie stać, teatr impresaryjny jest tańszy. Z drugiej strony cieszę się, że prowadzimy teatr impresaryjny, bo zawsze mogę kolegom powtarzać: w tym teatrze nie gra się za karę. Tu nie ma przymusu – nie chcecie grać, nie gracie. Ale jak gracie, musicie pamiętać o szacunku dla publiczności.

Wspomniałaś o tęsknocie za stałym zespołem, bo to jest ta „większa” połowa twojego scenicznego życia.

– Dla mnie teatr opiera się na zespole. Mądry dyrektor, kiedy przyjmował aktora do pracy, to zatrudniał go zaraz po szkole teatralnej i trzymał w zespole aż do śmierci. Aktor rozwijał się razem z teatrem, pracował na ten teatr swoim nazwiskiem...

...potem był na pogrzebie dyrektora. Ale w jakimś sensie o zespole w Capitolu można mówić. Pewna

► **grupa aktorów pojawia się na afiszu wielokrotnie.**

– Pracujemy ze 150 aktorami, którzy wciąż grają, bo w stałym obiegu jest minimum 15 spektakli. Oni się rotują, zmieniają. Gramy bardzo intensywnie, także na wyjazdach, a to byłoby niemożliwe w systemie jednoobsadowym – mamy więc podwójne obsady, a nawet potrójne. Mało tego, gramy „krosowo”, a to znaczy, że opracowujemy grafik i kto ma czas, wchodzi na scenę. W ten sposób rodzi się nowa jakość; koledzy przychodzą do teatru i często nie wiedzą, kogo spotkają na scenie. To daje świeży oddech.



Staram się dbać o aktorów, a dbać – to znaczy zapewniać pracę. Żeby jednak zapewnić ciągłość grania, następne role mogę im proponować po trzech, czterech kolejnych premierach, żeby sobie samej nie strzelać w kolano. Stworzył się więc taki nieformalny zespół aktorski, bo ktoś, kto do nas wchodzi, potem ciągle gra.

Teatr ma powodzenie, nie bójmy się tego powiedzieć.

– Nie bójmy się. Rocznie mamy 200 tys. widzów, w sezonie nawet 80 spektakli w miesiącu na miejscu i drugie tyle na wyjeździe, to nie w kij dmuchał. Musimy tyle grać, bo płaciemy tu ogromny czynsz.

A skryte marzenia?

– Gramy w przestrzeni, którą wynajmujemy. Nie wiemy, jaki będzie los budynku i jak długo Capitol w tym

miejscu przetrwa. Dlatego podpisaliśmy umowę z deweloperem i budujemy nową przestrzeń. Jeśli tak się zdarzy, że powstanie ta nowa przestrzeń, a obecna nadal będzie istnieć, bez problemu możemy zagospodarować obie. Już dzisiaj duszę się na dwóch scenach, spokojnie mogę zapełnić publicznością trzecią i czwartą scenę. **To znaczy, że typ repertuaru, który wypracowaliście, jest oczekiwany.**

– Sprawdza się. I nie tylko repertuar, ale także oferta, którą stworzyliśmy. Do Capitolu przychodzi się nie tylko na spektakl, na dobrą komedię, ale i po to, aby miło spędzić wieczór, a tu widzowie mają to zapewnione:

Albo korzystają z komórek.

– To faktycznie plaga i nie bardzo wiadomo, jak sobie z tym poradzić.

Teatr nie jest zakładem wychowawczym, ale już w czasach Stanisława Augusta obowiązywał regulamin dla widzów. Może by się przydał?

– My tu gościśmy od czasu do czasu kabarety, a publiczność kabaretowa, która do nas po raz pierwszy przyszła, to ta sama publiczność, która przychodzi do nich na stadiony i hale widowiskowe: w krótkich majtkach, sportowych koszulkach, adidasach. Czuli się trochę niepewnie, ale zaczęli do nas częściej przychodzić, do tego coraz lepiej ubrani. Zaakceptowali, że teatr to jednak odświętna sprawa, nawet jeśli to tylko komedia. **Dajecie również spektakle dla dzieci.**

– Spektakle dla dzieci są na pozór nieopłacalne. Taka sama produkcja za małe pieniądze. Ale spektakle dla dzieci były też naszym wytrychem do sprowadzenia nowej publiczności, czyli rodziców. Okazało się przy tym, że to są cudowne spektakle, bo dzieci tak żywiołowo chłoną teatr, że zakochałam się w dzieciach oglądających spektakle dla dzieci – mamy za sobą już siedem premier dziecięcych.

Kiedy rodził się pomysł tego teatru, byłem niesłyszanie ciekaw, co z tego wyniknie. A w głowie kołatała się wciąż taka myśl: co oni robią? Za dużo ryzykują. Zwariowali.

– Dobrze, że nie mieliśmy wyobraźni. Mieliśmy pasję, determinację, bo gdybyśmy mieli wyobraźnię, to nie wiem, czy to wszystko by się zdarzyło. Mieliśmy tak szalone długi w początkowych latach, że pierwsze pieniądze na koncie, które mogliśmy przeznaczyć na własne produkcje, pojawiły się po czterech-pięciu latach. To był najcudowniejszy moment w moim życiu, kiedy mogliśmy wreszcie sami produkować.

Trzeba było dużo samozaparcia.

– Ogromnie dużo. Zapraszałam producentów zewnętrznych, żeby przetrwać. Oni wykładali pieniądze, a ja dawałam machinę teatralną. Pracowaliśmy na kogoś innego. Ale ten ktoś pomógł mi dotrzeć do chwili, kiedy mogliśmy pod własną marką doprowadzić do premiery przedstawień „Kiedy kota nie ma”, „Klub mężusiów”, „Gwiazda i ja” – od tego się zaczął „prawdziwy” Capitol. Od tego czasu jestem na swoim.

Tomasz Mitkowski

Tak, ale



Agnieszka Wolny-Hamkało

Minęły cztery tygodnie prób w klasycznym trybie: godz. 10-14 i 18-21/22. Ale wiadomo, tekst musiał być gotowy wcześniej – „Leśni. Apokryf” na podstawie partyzanckich opowiadań Tadeusza Różewicza dla Teatru Polskiego we Wrocławiu. Od miesiący czytam w kółko opowiadania partyzanckie, dramaty, wiersze Różewicza – świata poza nim nie widzę. Dlatego kiedy tekst się ustatycznił, osiadł w sobie na próbach i miałam pierwszy wolny dzień, zapuściłam zespół Pixies, zrobiłam kawę i pomyślałam: to będzie wspaniały, ciepły, leniwy dzień. Na zewnątrz, a może nawet w tzw. mieście? Wyświetliłam sobie w głowie mapkę i z przyjemnością odnotowałam punkty, w których właśnie rozpoczynali pracę albo jedli śniadanie moi przyjaciele.

Idę się teraz nad rzeką, pijąc somersby i paląc e-szluga o smaku arbuza. Zamiast tego siedzieli przede mną w olbrzymim i ciemnym, zabytkowym gmachu biblioteki. Rozłożyłam uważnie książki, piłam wodę, dawałam sobie dodatkowe minuty. Co właściwie wrzuciłam do torby? Jakże książki wydały mi się najdziwniejsze? Nie wzięłam ze sobą żadnych eksperymentów formalnych, żadnych wykręconych edytorsko książek, w których tekst uклада się w kółko jak muszla ślimaka, czcionka ma dziwny krój i jest np. niebieska. Nie wzięłam palindromów w stylu *in girum imus nocte et consumimur igni* (wkoło idziemy nocą i trawi nas ogień). Tylko np. „Pierwsze wzruszenie” Nescio, zapomniany zbiór opowiadań. To książka, w której prawie nic się nie dzieje, nie ma

Sto najdziwniejszych książek świata

O godz. 9 włączyłam telefon i od razu zadzwonił. „Niechcąc nacisnęłam – powiedział miły, kobiecy głos. – Ale może to i dobrze. Bo nie pytałam wcześniej, gdzie powiesić ekran. Zaraz ludzie się schodzą”. Troszkę się zdenerwowałam, ale niezbyt poważnie. Nie byłam w stanie połączyć z niczym wieszania ekranu ani schodzących się ludzi. W głowie partyzantka, na stole kawa, na zewnątrz trwa jakiś WF, dzieci skaczą w dal na boisku. I wtedy zerknęłam niechętnie na karteczki z datami przypięte do ściany. A tam napisane: „4 kwietnia, RAWICZ. 10.00”. Oraz tajemniczy dopisek: „Sto najdziwniejszych książek świata”. Rzuciłam więc nonszalancko do telefonu: „Jak szybko dojadę do Rawicza?”. Głos odpowiedział: „To blisko. Z Wrocławia w jakieś 40 minut”. Jednocześnie sobie przypomniałam: chodzi o wykład dla 70 osób. I warsztaty.

Wrzuciłam do torby 100 najdziwniejszych książek świata (na szczęście prawie wszystkie ciekawe książki są dziwne) i dzwonię do znajomych. No, myślę, teraz zapunktuję fakt, że to artyści. Niestety, w BWA trwa montaż wystawy, kolega pisarz średnio radzi sobie z kaczem, w teatrach za godzinę ruszają próby. Wydzwaniam i wydzwaniam. Artyści to najbardziej zajęci ludzie w Polsce! W końcu serdeczny taksówkarz obiecuje zawieźć mnie za dwie stowy. Po szybkich obliczeniach uznaję, że zostanie mi jeszcze coś z honorarium. Zresztą ważniejsze, żeby nie dać plamy, być w RAWICZU!

O 10.03 wkroczyłam dumnie do biblioteki – błada i z włosami rozwianymi, ale dźwigając 100 NAJDZIWNIEJSZYCH KSIĄŻEK ŚWIATA! A pan taksówkarz ruszył penetrować miasteczko. Bo to był naprawdę leniwy, ciepły dzień. I wszystko właśnie zaczynało kwitnąć.

Teraz trzeba było jeszcze coś powiedzieć, i to na tyle ciekawie, żeby wynagrodzić licealistom fakt, że nie ca-

łyżmy się teraz nad rzeką, pijąc somersby i paląc e-szluga o smaku arbuza. Zamiast tego siedzieli przede mną w olbrzymim i ciemnym, zabytkowym gmachu biblioteki. Rozłożyłam uważnie książki, piłam wodę, dawałam sobie dodatkowe minuty. Co właściwie wrzuciłam do torby? Jakże książki wydały mi się najdziwniejsze? Nie wzięłam ze sobą żadnych eksperymentów formalnych, żadnych wykręconych edytorsko książek, w których tekst uклада się w kółko jak muszla ślimaka, czcionka ma dziwny krój i jest np. niebieska. Nie wzięłam palindromów w stylu *in girum imus nocte et consumimur igni* (wkoło idziemy nocą i trawi nas ogień). Tylko np. „Pierwsze wzruszenie” Nescio, zapomniany zbiór opowiadań. To książka, w której prawie nic się nie dzieje, nie ma

zmyślnych splotów akcji, zagadek albo chociaż zwykłego cudzołóstwa. Obserwujemy grupę przyjaciół, jakieś drobne zdarzenia, skromne detale, które nie składają się na żaden większy obraz, lecz tworzą migotliwe ciągi, jak w życiu. Czasem coś się wybija, soczewka uwagi odnotuje to – i dalej. Po prostu mija czas, ludzie rozmawiają, spacerują, spotykają się w mieszkaniach. Nescio dobrze rozumiał, że nie trzeba spektakularnej, legendarnej akcji, wystarczy wstawić do pokoju dwoje ludzi. Sytuacja staje się wystarczająco trudna.

Po warsztatach dostałam różę i udałam się do sekretariatu, gdzie w księdze pamiątkowej złożyłam nonszalancko wpis w stylu „Kocham Kalisz”. Przed biblioteką czekał taksówkarz – w pełnej gotowości. Z miejsca wręczył mi wizytówkę, na której nabazgrał długopisem numer swojej taksówki, i powiedział poważnie: „W razie gdyby był potrzebny ktoś do zadań specjalnych”. Musiałam przyznać mu rację: miałam szczęście. Jechał szybko, rzeczowo i do celu. Mówił dokładnie tyle, ile trzeba. A samochód miał idealnie zrównoważony zapaszek, który emanował dyskretnie z przechodzonej nieco choinki dyndającej pod lusterkiem. „Teraz, kiedy pani uśmiech jest już inny, mogę opowiedzieć pani o konfiturach”, zrobił nawiedzoną, psotliwą minę kończą. I, szczerze mówiąc, pasowało mi to doskonale.

Pola między Rawiczem a Wrocławiem miały kolor piłki tenisowej. Postanowiłam nie włączać jeszcze telefonu. A pan taksówkarz słowo po słowie prowadził mnie najpierw przez targowiska pełne tanich owoców w ilościach hurtowych, potem przez kuchnie, aż do piwnic, gdzie gromadzili z żoną stoiki pełne słodkich smażonych moreli. Co za odlot! Chyba trafiłam na sto pierwszą najdziwniejszą książkę świata. Czas stanął w miejscu. Jechaliśmy.

KURTYNA W GÓRĘ

INNI LUDZIE

Grzegorz Jarzyna ma dobrą rękę do tekstów Doroty Maślowskiej. Jej hiphopowemu poematowi-musicalowi o Warszawie końca drugiej dekady XXI w., tkwiącej w okowach neokapitalizmu, smogu i zatruwającej umysły ksenofobii, nadał kształt widowiska przerażającego trafnością diagnoz. Ekspozując żywioł języka, który u Maślowskiej zawsze jest probie-rzem i jądrem rzeczywistości, Jarzyna zaprzęga do maszyny teatralnej muzykę, chóry, projekcje wideo, a przede wszystkim armię współpracowników.

Nagrania wideo ukazują pulsujące nerwowo miasto, aktorów wpisanych w green boxy, którzy co chwila wyłaniają się z nich na plan żywego teatru, sugestywną animację z dręczącym pytaniem, co się stało, że tak to się toczy. Wędrownik Kamila Janika (Yacine Zmit), drobnego kombinatora z blokowiska, niespełnionego autora rapowej płyty, który niczym anty-Odys krąży po Warszawie w poszukiwaniu jakiejś szansy, odsłania świat skarlałych pragnień, zwichniętych relacji i pogorzeliska idei. Kamil to dostrzega – wokół spotyka Innych Ludzi, których dzieli obcość, plemienna przepaść, wrogość wypierająca dawne związki sąsiedzkie.

Kończy się ten spektakl jak w „Ferdynurce”. „I to tyle – wykrzykuje Matka (świetna rola Marii Maj), pokazując wymownie środkowy palec – jakby ktoś pytał, jak tam jego płyta”.

Tomasz Miłkowski

Dorota Maślowska, „Inni ludzie”, reżyseria Grzegorz Jarzyna, TR Warszawa, sala ATM, premiera 15 marca 2019



KOBIETY PRACUJĄCE

Pewnie nie jest to utwór odkrywczy, raczej potwierdza dość potoczną wiedzę o psychicznych kosztach korporacyjnego młyna. Ale trzeba od razu dodać, że spektakl na podstawie scenariusza Macieja Łubieńskiego został przyrządzony więcej niż sprawnie: wiarygodnie i z dramatycznym nerwem. Nie zabrakło autorowi ani aktorom pomysłów, w jaki sposób widowiskowo odegrać niepoliczony stres, nieprzespane noce i lęki o przyszłość.



Dawniej nazywano by je przodownicami pracy. Trzy korporacyjne liderki: Daria (Agnieszka Przepiórska), Ewa (Monika Babula) i Pati (Hanna Konarowska) przechodzą kryzys wyczerpania psychicznego. Każda jest inna – Daria to skoncentrowana na karierze wilczyca samotnica, Ewa wychowuje samodzielnie dorastającego syna, Pati pozostaje pod ochroną męża prezesa, co – jak się okazuje – nie zawsze

wychodzi jej na zdrowie. Wszystkie mają poczucie niespełnienia, choć uchodzą za kobiety sukcesu. Dlatego spotykają się na zajęciach relaksacyjnych, ich znękaną duszę ma uleczyć tajemniczy Guru. Ale go nie zobaczą; Guru okaże się głosem z offu, za to jakim (sam Wojciech Mann)! Działa jak balsam.

Pod warstwą zabawnych sytuacji kryje się pytanie o wybór sposobu na życie, które w końcu nie może się zamykać w granicach wyznaczonych przez cele korporacji. Inteligentny tekst w pełnym wigoru wykonaniu daje do myślenia. Wartka komedia nie tylko dla kobiet zatrudnionych w korporacjach.

Tomasz Miłkowski

Maciej Łubieński, „Deadline”, reżyseria Agata Biziuk, gościny na premierę użyczył Teatr WARSawy, 12 marca 2019



ŻYCIE W STRZĘPKA(CH)

Ekstremalny wyczyn aktorski i reżyserski. „Płatonowa” rzadko wystawia się w całości, ale Monika Strzępka zrobiła to ze studentami IV roku warszawskiej Akademii Teatralnej. Tragedię człowieka, który nie wiadomo dlaczego podoba się wszystkim kobietom, ukazała jako dramat nieudacznika, nieszczęśnika i pijaka. Jakub Kordas wypełni nałożony na niego obowiązek. Był z minuty na minutę coraz bardziej rozbity, sfrustrowany i pijany. To wyjątkowo trudne zadanie, bo spektakl trwa 210 minut. W tym samym czasie otoczenie postaci tytułowej też przeżywa dramaty, które prowadzą do śmierci kilku osób. Zresztą Kamila Brodacka, Jakub Gąsowski i Mateusz Burdach muszą się wcielić w dwa lub trzy odmienne charaktery. Nie obyło się bez wtrętu politycznego, tradycyjnie stosowanego przez Strzępkę, bo na scenie pojawia się transparent „Wspieramy nauczycieli” – tytułowy bohater, choć trudno go uważać za wzór, jest wiejskim nauczycielem. Aktorzy grają jak w transie, a Strzępka ukazuje życie z quasi-farsową przesadą.

Bronisław Tumilowicz

Antoni Czechow, „Płatonow”, tłumaczenie Agnieszka Lubomira Piotrowska, reżyseria Monika Strzępka, Teatr Collegium Nobilium, premiera 5 kwietnia 2019

NA EKRANACH

WILKOŁAK

reż. Adrian Panek, prod. Polska, Holandia, Niemcy, już w kinach

Wyswobodzone z Gross-Rosen dzieci trafiają do pałacyku gdzieś za siedmioma górami, za siedmioma lasami. Mnóstwo w nim tajemnic, których odkrywanie wpływa na początkowy nastrój filmu. Tajemne przejścia, zagracony strych i ciemne piwnice stwarzają atmosferę baśni, która urzeczywistnia się brutalnie, gdy budynek otaczają wytresowane do polowania na więźniów uciekinierów psy nazistów. Konfrontacja zła i dobra nie rozkłada się tu jednak zero-jedynkowo. Przesiąknięte prawami obozu koncentracyjnego dzieci – rewelacyjnie w filmie poprowadzone – wiedzą, że gdy stawką jest przetrwanie jednostki, nie gra się na rzecz grupy. Na przecięciu baśni i filozoficznego horroru Panek pokazuje, że konflikty wewnętrzne, walka o przywództwo i najwzyczajniejsza w świecie zazdrość objawiają się niezależnie od czasów i doświadczeń. Najbardziej jednak w „Wilkołaku” przeraża refleksja, do czego



zdolne są dzieci, które całe dotychczasowe życie spędziły w otoczeniu terroru, nienawiści i przemocy. Czy wrażliwość może przetrwać Zagładę? – pyta reżyser tym nieoczywistym i oryginalnym filmem.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

SERIAL



WROCLAW,
MUZEUM ARCHITEKTURY,
DO 5 MAJA

JOSEF SUDEK: TOPOGRAFIA RUIN. PRAGA 1945

Josef Sudek (1896-1976), legenda czeskiej fotografii, szczególnie upodobał sobie martwe natury, okna, ogrody, motywy praskie i pejzaże. Od lat 20. do 40. prowadził również atelier realizujące zlecenia komercyjne. Jego dorobek, obejmujący kilkadziesiąt tysięcy fotografii, znajduje się obecnie w publicznych i prywatnych kolekcjach na całym świecie. W 1945 r., tuż po zakończeniu II wojny światowej, Sudek wyruszył na ulice Pragi, aby udokumentować zniszczenia. Powstała wtedy wyjątkowa seria ok. 400 fotografii składających się na artystyczny obraz zrujnowanych budynków, instalacji przeciwlotniczych, zbiorników przeciwpożarowych czy opuszczonej barykady powstańczej.

GRA O TRON,

sezon 8

Nadeszła zima, a z nią koniec. Ech, szkoda, bo było na co popatrzyć. Ósmy sezon serialu, który zasilił półkę z napisem „kultowe”, ma być tym ostatnim i rozstrzygającym, kto zasiądzie na Żelaznym Tronie. W sześciu odcinkowej serii *fantasy* zrealizowanej



na podstawie sagi George'a R.R. Martina „Pieśń lodu i ognia” pożegnamy się z postaciami, w które wcielali się Peter Dinklage, Nikolaj Coster-Waldau, Lena Headey, Emilia Clarke, Kit Harington, Sophie Turner czy Maisie Williams. Nie ma co spekulować, bo produkcja okryta była wielką tajemnicą. A dla przypomnienia: wszystkie sezony „GOT” można oglądać w HBO GO.

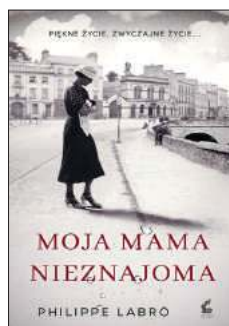
HBO I HBO GO, OD 15 KWIETNIA

MIĘDZY OKŁADKAMI

Philippe Labro
MOJA MAMA NIEZNAJOMA

tłum. Stanisław Kroszczyński
Sonia Draga, Katowice 2019

Wydarzeń z życia Netki starczyłoby na grubą powieść, już okres II wojny, kiedy z mężem ukrywali Żydów, mógłby zająć znacznie więcej niż paręnaście stron. Mogłaby też powstać saga rodzinna, gdyby dołączyć historię Marie-Hélise, francuskiej nauczycielki, która – sama nieślubne dziecko wiejskiej dziewczyny – z romansu z polskim hrabią miała syna i córkę, nazwanych po ojcu Henri i Henriette. Ale trzeba by się zdać niemal całkowicie na wyobraźnię. Informacji o swoim pochodzeniu Hen-



riette, Netka, skąpiła; jej synowie musieli nieźle się naszukać. Zamknęła drzwi do przeszłości i oddała się rodzinie, którą sama założyła. Była w tym tak konsekwentna, że gdy po latach Marie-Hélise próbowała się z nią skontaktować, odmówiła rozmowy. Philippe Labro nie miał więc nigdy okazji wysłuchać wersji swojej babki. A gdyby – czy coś by to zmieniło? Choć wie, że nie powinien osądzać, i nawet zdobywa się na nieco obiektywizmu, górę bierze współczucie dla matki, dziecka zostawianego na przechowanie jak bagaż. Wygrywają emocje, aż do łzawości. Ta książeczka obracająca się wokół tematu porzucenia to głównie wyraz miłości i synowskiej lojalności.

Aleksandra Pańko

Złudzenia upupionej inteligencji

To władza kapitału sprawiła, że triumfy święcą specjaliści od wciskania kitu

MOTTO

Kapitalizm to przedziwna wiara, że działania najbardziej pazernych ludzi, motywowane najbardziej ordynarnymi pobudkami, przyniosą korzyści całemu społeczeństwu.

John Maynard Keynes

Radostaw S. Czarnecki

W PRZEGLĄDZIE nr 13/2019 Robert Walenciak publikuje tekst „Specjaliści od wciskania kitu” oraz bardzo pouczający wywiad z prof. Jackiem Hołówką o tym, jak ludzie są podatni na złudzenia („Ludzie lubią ulegać złudzeniom”). Oba materiały poruszają zbliżoną tematykę, choć ujmują ją z innej perspektywy. Nie wyłuszcza jednak istoty zagadnień, a jest nią sam system kapitalistyczny, oparty na kanonach gospodarki rynkowej, odzianej na dodatek od trzech dekad w neoliberalne szaty, retorykę i uzasadnienia.

Podstawą tego systemu i związanego z nim modelu człowieka, zwanego *homo oeconomicus*, jest materialny, dziś na dodatek natych-

miastowy, zysk. Jak celnie napisała w jednym z listów do „Dziś” Mieczysława F. Rakowskiego „czerwona hrabina” Marion Dönhoff, redaktor naczelna „Die Zeit”: „*Homo oeconomicus* ma właściwie tylko jeden cel: z bezlitosną precyzją i kierując się niezawodnym, neoliberalnym rozsądkiem, dążyć do osiągnięcia jak największych korzyści”.

Jest to więc koncepcja zakładająca, że człowiek zawsze w swoich działaniach i dążeniach kierować się musi maksymalizacją zysków. A dokonywane przezeń wybory uwarunkowane są wyłącznie względami komercyjnymi. Niestety, wielka w tym rola mediów. Od prawie 30 lat preferują one, zarówno poprzez bezpośrednie reklamy, jak i w różnych formach medialnego przekazu, neoliberalną wersję polskiej transformacji: prywatyzację, outsourcing, re-engineering, ograniczenie zdobyczy socjalnych z równoczesną fetyszyzacją własności prywatnej.

Taka propaganda i stygmatyzacja wszystkiego, co się kojarzyło z Polską Ludową i jej dorobkiem, musiała zaburzyć poczucie wspólnoty i więzi społeczne, a wydobyć pokłady egoizmu, egotyzmu, pazerności, anarchii, skłonności do tandetności i ludycznej, bezrefleksyjnej wiary religijnej. Owo myślenie reprezentuje m.in. wypowiedź przedstawiciela nurtu neoliberalnego, byłego premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego: „PRL zniszczył Polskę bardziej niż okupacja hitlerowska”.

Tak prowadzona polityka poparta retoryką ze strony władz i propagandą medialną zachwiała poczuciem wiary w dorobek wielu ludzi, dla których Polska Ludowa była jedyną ojczyzną, a ich trud i wysiłek – fizyczny, intelektualny, zawodowy, kulturowy itd. – stanowiły najwyższą wartość.

Do tego doszło permanentne obniżanie poziomu oświaty publicznej. Warto odwołać się do opinii



Gombrowicza, która odnosi się do polskiej inteligencji, zawsze mającej bardzo wysokie mniemanie o sobie – zarówno do 1939 r., jak i w końcowych latach PRL, a w dekadzie transformacji ustrojowej prezentującej siebie jako zbiorowość, która „obaliła komunizm” (którego w Polsce nigdy nie było). Polską inteligencję z tą jej

pompatoznością, uniżonością wobec silnych i bezwzględnością wobec słabych, ograniczonością horyzontów, a przede wszystkim – z klerikalizmem, określał on mianem upupionej. Upupionej intelektualnie.

Prof. Jacek Hołówka nie powinien więc być zdziwiony „powrotem propagandy”. Bo czy natrętna, wszechobecna reklama nie powoduje u nieodpornych i niewydukowanych jednostek rozdzwieku między światem pokazywanym w reklamie

Czy sztuczność świata reklam nie skłania odbiorców do życia złudzeniami?

a rzeczywistością? Czy nie jest ona propagandą i manipulacją? Czy sztuczność świata reklam, preferującego zabawę, konsumpcję, dojrutkowość bez głębszej refleksji, nie skłania odbiorców do życia złudzeniami?

To władza kapitału i pozostających na jego smyczy mediów, pracujących dla pomnażania jego zysków (a w żadnym wypadku niebędących czwartą, niezależną władzą), powoduje tę infantylizację świadomości, banalizację myślenia, karnawalizację codzienności (przede wszystkim politycznej i kulturowej). Komu w tej sytuacji ma zależeć na świadomym, sceptycznym, logicznie myśiącym społeczeństwie? Trudno więc się dziwić, że współczesne społeczeństwo nie jest zainteresowane refleksją, a triumfy święcą specjaliści od wciskania kitu.

Marszałek Sejmu
Marek Kuchciński grozi
sądem tygodnikowi „NIE”.
Szczegóły w nowym
numerze.



Siódme: nie kuś złodzieja!

Edward Mikołajczyk

Gdyby złodziej wiedział, co się dzieje w głowie człowieka, któremu ukradł portfel bądź auto, może by pomyślał o jakiejś innej robocie. Opowiadał mi niedawno taksówkarz, że od 30 lat dwa-trzy razy w miesiącu śni mu się polonez. Nie z powodu urody, ale dlatego, że ktoś mu go rąbnął. W tym śnie, jak się zorientowałem, istotne było nie tyle auto, ile jeden moment jakby wyjęty ze złego snu: wychodzisz rano z domu, patrzysz – nie ma samochodu. Zawsze stał, dzisiaj nie. Stoisz natomiast ty i zastanawiasz się, czy zacząć głośno bluźnić przeciwko całemu światu, czy rutynowo udać się do komisariatu, by pozbyć się resztek złudzeń.

O ileż świat byłby piękniejszy, gdyby każdy poszkodowany miał pewność, że złodziejowi śni się co noc, że go diabli ćwiartują bez znieczulenia, kroją w plasterki, przekładają cebulą, nadziewają na patyczki i fru na piekielny grill... Aż wreszcie rabuś się budzi w zmoczonej pidżamie.

Niestety, żeby tak było, musiałby każdy nowy obywatel, zaraz po urodzeniu, poddać się operacji wszczepienia sumienia. Inaczej nie da się opanować dzisiejszego bałaganu, kiedy jeden ma w środku to, co go gryzie, gdy przytuli nie swoje, a drugi tego nie ma. Wielowiekowe próby zastąpienia sumienia toporem do obcinania złodziejowi wybranych członków, kodeksowymi obietnicami jeszcze boleśniejszych mąk, drutem kolczastym albo surowymi strażnikami, policjantami czy księżmi nie przyniosły dotąd dobrego rozwiązania. W każdym razie nie wywołały oczekiwanego strachu przed karą na ziemi ani przed zesłaniem do piekła na sądzie ostatecznym.

Każda władza gotowa jest dla mitycznego spokoju uciec do krainy nicnierobienia.

Ciągle nie ma śmiałka gotowego do odpowiedzi na bardzo starożytne pytanie: *quis custodiet ipsos custodes?* (kto będzie pilnować samych strażników?). Już widać, że mgr Ziobro nie da rady, zwłaszcza gdyby ktoś się pomylił i zamiast IPSOS, to znaczy samych, napisał PISOS, co może znaczyć samych swoich i do tkliwie utrudnić zadanie prokuratorowi. Najbardziej

zaś musi martwić, że dzisiaj także Kościół zręka się odpowiedzialności za łamanie siódmego przykazania (nie kradnij!) przez strażników i złodziei, co przecież musi piekielnie obciążać sumienia i dusze wszystkich wymienionych.

W tej ważnej sprawie nikomu nie pozostawił złudzeń ks. Marek Gałęziewski, dyrektor cmentarza Stare Powązki. Zdarzyło się mianowicie, że z nagrobka Niny

Andrycz zniknął posążek, kopia statuetki, którą aktorka dostała z okazji jakiegoś jubileuszu od Związku Artystów Scen Polskich, a zapragnęła mieć blisko także po śmierci. Opiekunka jej grobu udała się z tym kłopotem do dyrektora Powązek. Czytam w „Gazecie Stołecznej” (autor Tomasz Urzykowski), że ks. Marek powiedział pani Lilianne Śnieg-Czaplewskiej, która jest wykonawczynią testamentu Niny Andrycz, że powiadamianie policji o kradzieży nie ma sensu. Pani Czaplewska nie posłuchała księdza (grzech?!). Poszła i zgłosiła szkodę (obywatelski obowiązek!). I stał się cud. Wyłamaną z nagrobka statuetkę ktoś (podobno) podrzucił do cmentarnej świątyni – kościoła św. Karola Boromeusza.

Ks. Gałęziewski poradził opiekunce, by już więcej nie stawiała odnalezionego posążka na grobie, bo na złodziei nie ma siły. W ten sposób skapitulował w trójnasób:

jako strażnik nekropolii, jako jej dyrektor i jako duszpasterz. Przed złodziejami, przed odpowiedzialnością i własnym posłannictwem.

Jak można było przewidywać, wkrótce nie zgodził się na powrót statuetki także wojewódzki konserwator zabytków, wychodząc ze słusznego założenia, że jak posążka nie będzie, będzie spokój, bo nikt go nie ukradnie. Dobra zmiana siódmego przykazania: nie kuś złodzieja!

Każda władza, nie tylko ta cmentarna i konserwatorska, gotowa jest dla mitycznego spokoju uciec jak najdalej od odpowiedzialności, do krainy nicnierobienia, w której grzechem jest kusić złodzieja. Jeden z licznych w moim życiu prezesów telewizji, dr Juliusz Braun, którego kadencja akurat przypadła na czas, kiedy TVP powinna była własnymi siłami wyprodukować porządny dokument o katastrofie smoleńskiej, publicznie usprawiedliwiał to zaniechanie potrzebą utrzymania spokoju politycznego w kraju. Udało się o tyle, że ani filmu, ani spokoju nie ma w dalszym ciągu.



Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Gdzie najlepiej się wędkuje?

– Zaraz, zaraz. Nie ma prostej odpowiedzi na to pytanie. Najpierw trzeba określić, co rozumiemy przez wędkowanie. Są tacy, którzy np. połują tylko na karpie, i tacy, którzy łowią ryby na sztuczną muszkę, czyli w naszej gwarze muszkarze. Inaczej też wygląda nasza pasja, gdy się łowi spinningiem, a inaczej przy wyczynowych połowach kilkunastometrową tyczką – tych nazywamy tyczkarzami.

Wyobrażałem sobie, że wędkarz to zwykły hobbysta, który ma jakiś długi kij, żyłkę, spławik i haczyk z robakiem na końcu.

– Taka odmiana naszego hobby występuje coraz rzadziej. Łowienie „na bata” ze spławikiem jest najtańszym sposobem spędzania czasu nad wodą. Ale to raczej dla początkujących młodzików.

Czyli kiedy chcemy zacząć tę przygodę?

– Może nawet nie za bardzo chcemy, ale traktujemy to całkiem zwyczajnie, bez szczególnego zaangażowania, jako formę odpoczynku nad wodą. Wycinamy jakiś kij z leszczyny. To jest ów bat. Nie kupujemy żadnego kołowrotka, tylko żyłkę, do tego spławik, ale można go wykonać samemu. I oczywiście haczyk. Wykupujemy w ogródku jakieś czerwone robaki albo bierzemy gotowane płatki owsiane lub pęczak. Zaczepiamy na haczyku i czekamy. Wydatki nie muszą przekraczać 100 zł.

A bardziej zaawansowani?

– To zależy od wielu czynników. Ludzie mają coraz mniej czasu na przygotowanie sprzętu, ale też na siedzenie nad wodą, więc kiedy wędkarz wygospodaruje sobie dwie godziny w ciągu dnia, może zabrać sztuczne przynęty w pudełku z gumkami i błyskami albo sztuczną muchę i z marszu może łowić spinningiem. Sądzę, że takich wędkarzy jest najwięcej, choć nie wszyscy są dobrze przygotowani do połowów spinningiem. Bardzo młodzi ludzie ruszają nad wodę wyposażeni w teleskopową składaną wędkę z włókna szklanego z kołowrotkiem super hiper z wolnym biegiem za 2 tys. zł, a powinni zacząć od „bata”.

Ale są też inne, bardziej wyspecjalizowane odmiany wędkarstwa.

Życie z haczykiem

W wędkarstwie nie ma profesorów

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

– wędkarz
z 50-letnim stażem



– Kiedy wędkarz nastawia się np. na karpie, potrzebny jest mu raczej samochód dostawczy, do którego pakuje specjalny namiot, łódeczko, stolik, matę do położenia ryb, worek do ważenia ryb, wagę itd.

Na co łowi się karpie?

– Najczęściej na kulki proteinowe z różnymi dodatkami zapachowymi. Są kulki o smaku kraba i pomarańczy, kulki czekoladowe, waniliowe, kokosowe. To autentyczna alchemia wędkarska, którą zajmują się prawdziwi pasjonaci.

A tyczkarze?

– To już wyczynowcy, profesjonalści, którzy występują głównie na zawodach. Ich 11-metrowe wędki kosztują po kilkanaście tysięcy złotych. Nawet na siedzisko dla takiego tyczkarza trzeba wydać tysiąc albo i dwa.

Czy wędkarz musi mieć jakieś pozwolenie, kartę wędkarza?

– To coś jak prawo jazdy. Nie trzeba należeć do Polskiego Związku Wędkarskiego. Kartę ze zdjęciem trzeba sobie wykupić w starostwie powiatowym po zdanym egzaminie w kole PZW. Uprawnia ona do łowienia w zbiornikach wodnych dzierzawionych przez związek lub w wodach gminnych, np. w Warszawie w parku na Moczydle. Ale są też miejsca na Pojezierzu Mazurskim, Warmińskim czy Pomorskim, gdzie pozwolenia

wykupuje się w tamtejszych gospodarstwach rybackich. Wtedy nawet nie jest potrzebna karta wędkarska.

A nad morzem?

– Tam pozwolenia wydają urzędy morskie. Aby łowić przez cały rok, płaci się niecałe 50 zł. Można wędkować na kutrze, na łodzi, na plaży, na molo, w akwenie portowym, np. w Porcie Północnym w Gdańsku biorą śledzie. Siadamy z wędką, gdzie się tylko chce.

Ale nie łowimy wszystkiego, co chcemy?

– Oczywiście. Trzeba przestrzegać wymiarów ochronnych ryb. Zbyt małe należy wypuszczać na wolność. Wszystko jest zapisane w regulaminach PZW. Wymiary ochronne ryb reguluje ustawa o rybołówstwie. W przypadku szczupaka, w zależności od miejsca, wymiar ochronny wynosi 45 cm, ale może to być także 50 cm. Dla niektórych ryb mamy okresy ochronne, ale istnieją również ryby, które po wyłowieniu należy zabić, bo są gatunkami inwazyjnymi, np. karłowaty sumik amerykański czy trawianka. Zostały wprowadzone do naszych wód z zagranicy i niszczą faunę. Karp też jest obcym gatunkiem, wprowadzonym z południa przez cystersów, ale dobrze się u nas rozmnaża, nie jest rybą drapieżną. Obecnie są także amur i pstrąg tęczowy.

Czy ryba złowiona na haczyk, poraniona, ma szansę przeżyć?

– Najczęściej tak. Trudności mają te, którym haczyk uszkodził skrzel. Teraz zresztą pojawiły się haczyki bezpieczniejsze, bez zadziora. Zdarza się jednak, że ryba po wyłowieniu jest już w takim stanie, że wypuszczanie żywego trupa do wody nie ma sensu. Wtedy trzeba ją zabić, usmażyć, ugotować lub uwędlzić i zjeść. Nie oszukujmy się. Rybaczenie jest tak samo okrutne jak myślistwo. To kulturowy atawizm. Ryba, która połknie haczyk, walczy, broni się, przeżywa ogromny stres, gdy przez długi czas jest holowana do brzegu. Ale właśnie to holowanie jest najsilniejszym przeżyciem wędkarza. To jest jak orgazm.

Po to idziemy nad wodę z wędką?

– To oczywiście zależy od indywidualnych preferencji. Można sobie wyobrazić podróż z wędką, czyli turystykę wędkarską. Jest wędkarstwo wyczynowe albo tylko chęć posiedzenia nad wodą dla relaksu.

A spinning, który pan preferuje?

– To metoda połowu ryb drapieżnych i wszystkożernych, jak szczupak, sandacz, sum, kleń, boleń – jedyna ryba karpiowata, która jest drapieżna. Na spinning łowimy też łososie, trocie, pstrągi.

Gdzie szukać tych ryb?

– W różnych miejscach. Wielu właścicieli stawów traktuje komercyjnie nawet nieduże łowiska. To może być wspaniała wędkarska zabawa, gdy w wodzie aż się roi od ryb, a za 20 zł można je łowić przez cały dzień. Ryby można zabrać i zjeść albo wypuścić. Ale są też miejsca, gdzie jest wiele ryb, a one właśnie nie biorą, bo w tym momencie nie żerują.

Na przykład śpią?

– Jest wiele gatunków żerujących w nocy. Nocną rybą jest węgorz, choć jego można też czasem złowić w jasny dzień, w południe. Nocą żerują sumy oraz miętusy, które są rybami dorszowatymi, ale żyją w wodach słodkowodnych. Najlepiej biorą w psią, listopadową pogodę, gdy wieje wiatr i pada śnieg. Ale są gatunki ciepłolubne, jak karp. Lina czy karasia można łowić pod lodem, w przerębli. Płoc natomiast jest rybą łowioną przez cały rok, w letni upał i mroźną zimę, podobnie jak okoń.

Pańskie największe trofeum?

– Wędkuję już prawie 50 lat. Może to być zaskakujące, bo moja niezapo-

mniana ryba ważyła tylko 80 kg, ale był to kleń, bardzo płochliwy i trudny do złowienia. W dodatku złowiłem go w maleńkiej rzeczce, wąskiej i płytkiej. To był wyczyn. Ale trafił mi się kiedyś ogromny sum. Nie wiem nawet, ile ważył, ale mierzył więcej niż ja, a mam 188 cm wzrostu. Wypuściłem go.

Tyle mięsa, dlaczego?

– Pozwoliłem mu odpłynąć do Wisły. Wielu wędkarzy wypuszcza ryby, szczególnie duże. Powody są dwa. Zależy nam, by wielkie ryby były w wodzie i by ktoś jeszcze mógł przeżyć to wspaniałe holowanie, które dla wędkarzy jest sensem ich pasji. A powód drugi to myśl o przyszłości, bo duża ryba produkuje więcej ikry i to sprzyja rozrodowi gatunku. Wielu z nas wyznaje hasło *no kill*. To taki patriotyzm wędkarski.

Czy w Polsce ryby żyją w każdym większym zbiorniku?

– Pewnie są wody, w których nie ma żadnego życia, bo są ekstremalnie zanieczyszczone. Ale jak ktoś widział wędkarzy łowiących przy kolektorach ściekowych w Warszawie, to nic go nie zdziwi. Ryba jest bardzo prostym organizmem i szybko się adaptuje do trudnych warunków. Jeśli żerują przy ściekach, to tam na pewno mają co jeść, ale one same do jedzenia się nie nadają, bo w ich mięsie jest cała tablica Mendelejewa, z dużą reprezentacją

Holowanie jest najsilniejszym przeżyciem dla wędkarza. To jest jak orgazm.

metali ciężkich. W tej chwili polskie wody nie są tak zanieczyszczone jak w czasach PRL. Wiele zakładów przemysłu ciężkiego upadło, zbudowano też przemysłowe i komunalne oczyszczalnie ścieków, a przepisy dotyczące ścieków są bardzo rygorystyczne. Nasze rzeki się zmieniły. Utrata płynąca niedaleko Skierniewic miała wszystkie kolory tęczy i straszny zapach, ale życie w niej nie zamarło. Dziś ta sama Utrata jest czysta i prześliczna. Wędkarze mogą łowić niemal wszędzie, począwszy od kanałów melioracyjnych, które wpadają do Wisły i innych rzek, można wędkować w parkowych oczkach, np. w stołecznym Forcie Czerniakowskim czy na Agrykoli.

Czyli Polska jest krajem dla wędkarzy?

– Mimo powiększającego się niedostatku wody Polska jest krajem dla

wędkarzy. W porównaniu ze Skandynawią jesteśmy dużo biedniejsi, ale można u nas łowić i można się uczyć wędkowania, choć Polacy w ogóle niechętnie się uczą, a do jedzenia ryb trzeba ich namawiać. Najczęściej zachwycamy się, jak to wspaniałe jest za granicą. Oczywiście można jechać do Szwecji i Finlandii, ale nic nie zastąpi dostępu do własnych wód. W wielu gospodarstwach jeziorowych odchodzi się nawet od rybaczenia sieciami i przedstawia się na wędkowanie. Buduje się małe przystanie, wypożycza łódki, za 10 zł można wypłynąć na jezioro. Wędkarstwo staje się dzwignią rozwoju agroturystyki, lokalnego handlu i wszelkiej wytwórczości oraz usług, napędza gospodarkę, ożywia region. A ponieważ jesteśmy wielkimi plotkarszami, wieści o nowych miejscach do łowienia szybko się rozchodzą.

Proszę trochę poplotkować.

– Sprzedam swój patent na wędkowanie – robić to najbliżej domu. Urodziłem się nad Wisłą i wciąż do rzeki mam parę kroków. Wszystko mam rozpracowane. Wiem, kiedy i gdzie się ustawić. Oczywiście można jechać gdzieś daleko, np. nad Dunajec, ale łowienie nad nieznaną wodą nie zawsze jest udane. Miejsce połowu trzeba dobrze poznać. A poza tym urokiem wędkarstwa jest zaskoczenie, bo nie ma miejsc murowanych. Rybostan w rzece czy stawie nie ma decydującego znaczenia. Lepiej łowić ryby pochodzące z naturalnego tarła, bo natura ma swoje zalety, choć wiele wód jest sztucznie zarybianych w celach hodowlanych. Od przestrzegania wymiarów ochronnych ryb, które z roku na rok są podnoszone, zależy, czy nie zaburzymy naturalnych procesów. Najbardziej zagrożony jest narybek, niewiele go przeżywa, bo na małe rybki polują kijanki, ważki, bociany, czaple i ryby drapieżne. Chcemy, by złowiona ryba przynajmniej raz odbyła tarło, a jeszcze lepiej dwa razy. Wtedy nie wyrządzamy szkody przyrodzie.

A możemy sporo zepsuć?

– Tak, bo w Polsce wędkarzy jest dużo. Oficjalnie jest nas 600 tys., ale razem z wakacyjnymi i działającymi z doskoku będzie pewnie 1,5-2 mln. **Wszystkim można więc życzyć taaaakiej ryby. Ale oczywiście z umiarem.**

Dr Richard Shepherd

Było to 11 września 2001 r.

Włączyłem telewizor i patrzyłem w szoku, jak samolot linii American Airlines, lot numer 11, uderza w północną wieżę World Trade Center. W tym momencie wyglądało to na straszliwy wypadek w rodzaju tych, które staraliśmy się przewidzieć w swoim gronie. Kiedy jednak samolot linii United Airlines, lot 175, wkrótce uderzył w południową wieżę, zrozumiałem, że choć nieraz rozmawialiśmy o katastrofach lotniczych i aktach terroryzmu, nigdy nie przyszło nam do głowy, że ktoś

mie zarządzania sytuacją kryzysową, w tym przy identyfikacji kilku ciał. Taka skromna liczba przy wypadku masowym mogła się wydawać nieznaczna, lecz każdy przypadek błędnej identyfikacji boleśnie dotknął dużą liczbę krewnych, pogłębiając ich tragedię.

Dlatego Alison Thompson sformowała przy Scotland Yardzie zespół specjalistów, na który składali się nie tylko funkcjonariusze policji i służb ratowniczych, ale też członkowie naszego Komitetu ds. Katastrof oraz wysocy rangą urzędnicy i oficjele. Zajmowały nas liczne pytania. Jak możemy wspomóc amerykańskich kolegów? Wedle jakiej



Szczątki z World Trade Center

mógłby je połączyć w jeden potworny kataklizm.

A potem – co było nie tylko nieprawdopodobne, ale wręcz niemożliwe – dwie bliźniacze wieże runęły. Najpierw południowa. Później północna. Uświadomiłem sobie, że terroryści właśnie wynieśli katastrofę ponad wszystko, co mogłoby się nam przyśnić w najgorszym koszmarze.

Ów spektakularny wyczyn zbulwersował mnie i zafascynował nie mniej niż resztę świata. Do głowy mi jednak nie przyszło, że mógłbym zostać zaangażowany w tę sprawę osobście. Założyłem z góry, że moi amerykańscy koledzy sami się podejmą przytłaczającego zadania polegającego na ratowaniu rannych i szukaniu oraz identyfikowaniu zmarłych. Gdzie było w tym miejsce dla Brytyjczyka? Tymczasem Alison Thompson niebawem do mnie zadzwoniła.

Jako koroner zachodniego Londynu miała przyjąć ciała brytyjskich ofiar zamachu na lotnisku w Heathrow, po czym przeprowadzić ich identyfikację. Prawo gwarantuje każdemu Brytyjczykowi zmarłemu za granicą, że dochodzenie w sprawie jego śmierci odbędzie się w kraju. (...) Alison Thompson zdawała sobie sprawę, że gdy przed ponad 10 laty w wyniku zamachu terrorystycznego doszło do katastrofy samolotu pasażerskiego nad Lockerbie w Szkocji, popełniono wiele błędów na pozio-

Tajemnice śmierci oczami lekarza medycyny sądowej

procedury powinniśmy ściągać ciała brytyjskich obywateli do kraju? Czy poddawać je ponownej autopsji na ojczystej ziemi? Czy rodziny ofiar pogodzą się z taką dalszą ingerencją? Może więc lepiej byłoby scedować prawo do autopsji i identyfikacji zwłok na OCME, Office of the Chief Medical Examiner of the City of New York (Biuro Naczelnego Lekarza Sądowego dla Miasta Nowy Jork)? Czy w razie ściągnięcia ciał do Wielkiej Brytanii powinny one następnie trafić do poszczególnych hrabstw, gdzie właściwi koronerzy przeprowadzą dochodzenie i wydadzą werdykt? Potrafililiśmy sobie to wyobrazić: w tym ostatnim przypadku dochodzenia ciągnęłyby się miesiącami, a nawet latami, owocując różnymi, nierzadko wręcz sprzecznymi ze sobą werdyktami (poczynając od przypadkowej śmierci przez nieumyślne spowodowanie śmierci, a skończywszy na morderstwie).

Ustaliliśmy, że najpierw wybadamy, jakie działania podejmuje OCME, a dopiero potem opracujemy odpowiedź strony brytyjskiej i zaofiarujemy się z pomocą.

Odpowiadaliśmy bezpośrednio przed premierem Tonym Blairem,



który przewodniczył pracom specjalnej grupy koordynacyjnej w zakresie sytuacji kryzysowych, noszącej kryptonim COBRA (od nazwy miejsca spotkań: Cabinet Office Briefing Room A). Wśród jej członków zapadła decyzja, że potrzebne są informacje z pierwszej ręki, w związku z czym 20 września – w swoje 49. urodziny – miałem polecieć do Nowego Jorku, aby na własne oczy się przekonać, jak tamtejszy naczelnny lekarz sądowy sobie radzi. Skontaktowałem się telefonicznie z koleżanką z OCME, Yvonne Milewski, i umówiłem się z nią na spotkanie. Z tonu jej głosu wywnioskowałem ogromne zmęczenie i wyczerpanie emocjonalne, mimo to ucieszyła się na moją wizytę.

Nowy Jork, w którym wylądowałem w środku nocy, był dziwnie cichy, nawet zważywszy na porę. W mieście nadal królowała atmosfera szoku i przestachu. Choć od runięcia obu wież upłynęło już dziewięć dni, w powietrzu czuło się swąd i kurz. Z powodu zamknięcia licznych tuneli na drogach były korki, jednakże żaden kierowca nie użył klaksonu. (...)

Zbliżał się czas mojego spotkania z Yvonne w kostnicy OCME, dokąd zamierzałem się udać taksówką.

Po ataku na WTC, wrzesień 2001 r.



przy zderzeniu samolotów z wieżami, a następnie przy zawaleniu się wież, oznaczał, że nierzadko zwłoki były rozcłonkowane tak bardzo, że nie dało się ich wizualnie skompletować na podstawie o umiejscowienia czy ubrania. Bardzo wcześniej stało się jasne, że w procesie identyfikacji konieczne będzie użycie technik DNA. To dzięki nim później – czasem dużo później – udało się złożyć razem poszczególne partie ciała: ich części, fragmenty, kawałki i szczątki, by stworzyć coś, co mniej więcej odpowiadało kształtem ludzkiej sylwetce bądź temu, co z niej zostało. Podobnie jak w przypadku wszystkich innych wypadków masowych, i tutaj identyfikacja ofiar okazała się zakrojonym na szeroką skalę przedsięwzięciem natury nie tylko administracyjnej, ale też naukowej. Tyle że po katastrofie 11 września skala tego przedsięwzięcia była jeszcze większa, gorsza i straszniejsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Po przybyciu na miejsce ciała trafiało do pierwszej sali, gdzie poddawano je wstępnym oględzinom. Następnie przenoszono je do jednego z prowizorycznych prosektoriów, gdzie czekali już patolodzy, policjanci, fotografowie, radiolodzy i personel pomocniczy. Autopsja była przeprowadzana zgodnie z procedurami – na całości zwłok lub ich dostępnych fragmentach, względnie na pojedynczej części ciała. Spisywano wszystkie szczegóły, nie wyłączając informacji o sztukach garderoby

Kiedy zjawiłem się na miejscu o wpół do trzeciej nad ranem, zastałem niezapomniany widok. Nie chodziło jednak o budynek, ohydny betonowy bunkier pamiętający jeszcze lata 60. XX w., który sam w sobie nie przykuwał wzroku. Moją uwagę zwrócił za to odcięty i pilnowany pod bronią cały kwartał ulic, placów i parkingów, zamieniony w całodobowy punkt przyjęć. Przeszedłszy kontrolę, minąłem bramę i dostałem się na rozjaśniony światłem reflektorów prowizoryczny centralny plac, pełen namiotów z lokalami gastronomicznymi i pracowników, którzy zrobili sobie przerwę przy kawie i pączku. Dalej ujrzałem olbrzymie ciężarówki chłodnie – było ich co najmniej 30, a wszystkie stały w równych rzędach na przyległym parkingu, każda pod wielkim namiotem. (...)

Pociągnąłem nosem. Ten zapach. Natychmiast zrozumiałem, że chłodnie pełne są ludzkich szczątków.

Mimo nieludzkiej pory wciąż sporadycznie pojawiały się karawany, które podjeżdżały tyłem do czegoś w rodzaju doku, by oddać swój ładunek w postaci worka kryjącego zwłoki. Ekipy poszukiwawcze w Strefie Zero pracowały na okrągło, tak samo jak

patolodzy. Yvonne pełniła dyżur nocą i za dnia, a odrobinę snu łapała, kiedy mogła, pomiędzy autopsjami. (...)

Wdrożono procedurę, która umożliwiała natychmiastowe zajęcie się ciałem kolejnej ofiary, to jest poddanie go oględzinom i próbie identyfikacji. Nie było tajemnicą, że część worków na zwłoki kryje ciało policjanta lub strażaka, który postawił na szali własne życie i zginął w trakcie tej masakry. (...)

Pociągnąłem nosem. Ten zapach. Zrozumiałem, że chłodnie pełne są ludzkich szczątków.

Wiele worków kryło kompletne lub prawie kompletne zwłoki. Zdarzało się, że mniejsze fragmenty ciał trafiały do kostnicy w pojemnikach odpowiedniej wielkości. Podstawowa zasada, jaka obowiązuje na miejscu wypadku masowego, jest taka, że kiedy członek ekipy poszukiwawczej znajdzie, dajmy na to, palec, musi go zaewidencjonować oddzielnie nawet wtedy, gdy przynależność do któregoś ciała wydaje się oczywista. Charakter tej konkretnej katastrofy, w której ciała ludzi zostały poddane ogromnym siłom najpierw

i rzeczach osobistych (takich jak biżuteria, karty kredytowe itp.), jak również o cechach szczególnych oraz o miejscu, w którym ciało bądź jego fragment znaleziono. Wreszcie, opatrzone unikalnym numerem, zwłoki lub ich fragmenty trafiały na określoną półkę w konkretnej chłodni.

Ciała ofiar traktowano z najwyższym szacunkiem, a chłodnie utrzymywano w czystości i porządku. (...) Ciężarówki chłodnie rozwiązały w tym przypadku jeden z większych problemów każdej katastrofy, jakim jest niepoddawanie zwłok natych-

► miastowej autopsji, lecz przetrzymywanie ich do czasu ostatecznej identyfikacji. Albowiem dopiero wtedy można wydać ciało rodzinie. Przekonałem się naocznie, że Amerykanie świetnie sobie radzą w tej trudnej sytuacji – postępowali metodycznie, nie zapominając o żadnym etapie, jednakże przez cały czas żywili wielki respekt dla ofiar i ich rodzin.

Ponieważ wszyscy wokół mnie ciężko pracowali, starałem się nie sprawiać kłopotu. Także nazajutrz, gdy się pojawiłem, by odbyć spotkanie z naczelnym lekarzem sądowym Charlesem Hirschem, robiłem wszystko, aby nie wchodzić nikomu w drogę. Charles Hirsch był niskim, drobnym i bardzo zestresowanym panem po sześćdziesiątce, a nadzorował tę niespotykanych rozmiarów operację, nosząc szwy na głowie i mając kilka żeber pękniętych. Zjawił się w Strefie Zero wraz z pierwszymi ratownikami przed tym, zanim runęła południowa wieża. Nie miałem pojęcia, jak udało mu się wyjść z tego prawie bez szwanku, podczas gdy jego koledzy stojący tuż obok zostali powaleni na ziemię i wylądowali na intensywnej terapii.

Chłodnie prędko się zapętniały. Koniec końców oszacowano liczbę ofiar na 2753 osoby, przy czym poszczególnych fragmentów zwłok znaleziono ogółem ok. 70 tys. Niektóre ciała katastrofa starła na proch – czy to w pierwotnej eksplozji, czy to przy późniejszym zawaleniu się wież. Znacznie

łatwiej byłoby pochować wszystkie ofiary w jednym grobie masowym, lecz oczywiście ich krewni nie dopuszczali do siebie myśli, że najbliższe osoby spoczną razem z terrorystami, którzy doprowadzili do zamachu.

Niebawem gruzi World Trade Center trafiły na dawne wysypisko śmieci leżące na Staten Island w ujściu rzeki Hudson i noszące nazwę – *nomen omen* – Fresh Kills (dosł. świeże ofiary). Rumowisko zostało starannie przesiane – nie raz,

Większość ofiar zamieniła się w proch. Nie będzie żadnych trumien, prędzej pudełka po zapalniczkach.

ale dwa razy – przez specjalistyczny zespół (w tym antropologów i lekarzy) pod okiem policji i FBI, następnie zaś rozpoczął się długi proces badań DNA prawie 3 tys. ofiar. Trzeba było bowiem zidentyfikować każdy najmniejszy nawet fragment ludzkiej tkanki oraz każdy przedmiot osobisty znaleziony w Strefie Zero.

Badania trwały przez wiele lat, aż do 2013 r. Wreszcie w 2015 r. podano do wiadomości publicznej informację, że udało się ustalić tożsamość 1637 ofiar katastrofy. Liczba ta odpowiada 60% osób, które – jak się uważa – zginęły w Strefie Zero. Reszta zamieniła się w proch, co prędzej czy później jest udziałem każdego. Obecnie są plany rekultywacji Fresh Kills i stworzenia w miejscu dawnego

wysypiska największego na świecie parku miejskiego.

Znajoma antropolog, która uczestniczyła w akcji przesiewania, doświadczyła traumy podobnie jak wiele innych osób mających do czynienia z pokłosem katastrofy. Po miesiącach szukania ludzkich szczątków wśród przesiewanego gruzu rozwinął się u niej strach przed lataniem. Wracając do Wielkiej Brytanii, przed wejściem na pokład podpisała każdą część swojego ciała na wypadek, gdyby samolot

spadł, a ona została rozczłonkowana. Co więcej, utraciła zdolność do pracy, którą podjęła ponownie dopiero po wielu latach.

Pod koniec mojego krótkiego pobytu w Nowym Jorku zawieziono mnie do niewyróżniającego się niczym budynku na Manhattanie, który okazał się jednym z konsulatów brytyjskich w tym mieście. Czekali tam na mnie przedstawiciele brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wiadomo bowiem było, że wśród ofiar zamachu na WTC znalazło się wielu Brytyjczyków, nikt jednak nie miał pojęcia, ilu dokładnie.

– No więc – zagaił jeden z urzędników ministerstwa – jak zabierzemy się do przetransportowania ciał naszych rodaków do kraju?

Zastanowiłem się, jak ich zdaniem powinno to wyglądać. Zanim się odezwałem, uprzedził mnie pewien polityk, który zaczął coś mówić o szeregu trumien nakrytych brytyjską flagą i wiezionych z lotniska do centrum Londynu w konwoju.

Pokręciłem głową. Byłem na nogach od dwóch dni, padałem ze zmęczenia, a szok nie zdążył jeszcze ustąpić. Jako praktyk raczej niż teoretyk odebrałem powyższy pomysł jako typowy polityczny cyrk, dzięki któremu rząd zyskałby okazję do pokazania się i uwiecznienia na paru pełnych dramatyzmu zdjęciach. Poczułem, jak w środku mnie rodzi się coś niebezpiecznego, naprawdę przerażającego, coś, co – gdybym na to pozwolił – mogłoby się przerodzić w prawdziwą furję. Mimo że nigdy się nie złoszczę, o wściekaniu nawet nie wspominając.

– Trumny? – zapytałem. – Powie dział pan: trumny? Czy pan nie rozu-



Wyślij SMS o treści SASANKA pod numer 74567 i pobierz tapetę (koszt 4,92 zł z VAT)

Siwa Sasanka grzebie nerwowo nogą. Stary skórzany kantar ciasno opłata głowę, zardzewiałe wędzidło przeszkadza. Ot, wyprawka jaką człowiek jej dał na ostatnią drogę. Sasanka potrząsa głową, wciąga powietrze chrapkami i po chwili zanosi się długim, żalostnym rżeniem. Woła. Napięta niczym struna, czeka i nasłuchuje czy ktoś odpowie. Ale nikt się nie odzywa, bo nikt jej nie słyszy. Nie ma tu dobrze znanych jej koni.

One zostały. Tam gdzie był jej dom. Tylko Sasanka, już spracowana, leciwa, zniszczona, przeniosła się do handlarza. Stąd się wyjeżdża już tylko do ... nieba. Jaki los przyprowadził Sasankę do handlarza nie trudno się domyślić. Czas oddisnął na niej wyraźnie swoje piętno. Co nie wziął on, zagarnął człowiek. Powyginane nogi, obolałe plecy, małowa i nastroszona sierść. A przecież kiedyś Sasanka na pewno była pięknym koniem. Dziś stara i schorowana, pokornie czeka co przyniesie jej los. I choć nie rozumie czym zawiła, że się jej pozbyli, to pewnie wie, że tu, w miejscu gdzie unosi się zapach strachu, nie czeka już nic dobrego. Polska, największy producent koni rzeźnych. Kiedyś tu koń był przyjacielem, dziś dla wielu jest tylko jeszcze żywym mięsem. Sposobem na zarobek. Zmieniły się czasy, zmieniło podejście. Niestety nie na lepsze. Życie Sasanki warte jest 4250 zł. Potrzebne są też środki na transport, diagnostykę i leczenie. Wierzmy, że dla Sasanki jest niebo tu, na ziemi. Ale musisz pomóc ją ocalić. Mamy czas do 5 maja by zapłacić za jej życie. Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem SASANKA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>



mie, że większość ofiar zamieniła się w proch? Nie będzie żadnych trumien, już prędzej pudełka po zapalniczkach!

Zebrani zmiażdżyli mnie wzrokiem. Padło jeszcze kilka słów, po czym podziękowano mi i wskazano drzwi.

W swoim raporcie pochwaliłem to, jak Amerykanie poradzili sobie z następstwami zamachu na WTC, dodając, że śmiało możemy wykorzystać ich protokoły, zamiast tworzyć własne. Skutkiem tego – mimo że całkowita liczba ofiar wśród obywateli brytyjskich wyniosła ostatecznie 67 osób – wszystkimi przypadkami zajęł się tylko jeden koroner na terenie Wielkiej Brytanii, człowiek doświadczony i bardzo ludzki. Z USA przyleciał tylko jeden policjant, aby zeznawać w trakcie dochodzenia. Zapadł jeden jedyny werdykt. 67 obywateli naszego kraju padło ofiarą zabójstwa.

Cztery lata później do zamachu terrorystycznego zorganizowanego przez islamistów doszło także w Londynie. 7 lipca 2005 r. w wyniku ataku bombowego (trzy wybuchy w metrze, jeden w autobusie) zginęły 52 osoby, a ponad 700 zostało rannych. Dosłownie kilka dni przed tym zdarzeniem zakończyła się przy udziale licznych agend praca nad planami działania w razie wypadku masowego, o których Alison Thompson i ja zaczęliśmy myśleć jeszcze w latach 90. XX w.

W dniu londyńskiego zamachu nie było mnie w stolicy, jednakże gdy dotarł do mnie apel o pomoc, bezzwłocznie wsiadłem w samolot i znalazłszy się na miejscu, rzuciłem się w wir pracy w niepozostawiającej nic do życzenia tymczasowej kostnicy, która w postaci namiotu została wzniesiona w czasie krótszym niż dwie doby na boisku Honourable Artillery Company (Honorowej Kompanii Wojskowej) w londyńskim City. Trafiły do niej ciała wszystkich ofiar. Zarówno tymczasowa kostnica, jak i cały nasz plan działania w obliczu wypadku masowego sprawdziły się niezawodnie.

Swoje obowiązki wykonywałem z głębokim poczuciem smutku. Chyba na dnie duszy miałem wcześniej nadzieję, że jeśli opracujemy plan na taką okoliczność, jakimś cudem oszczędzimy sobie podobnej sytuacji. Cóż, rzeczywistość pokazała, że były to tylko moje pobożne życzenia.



Prowadzący tę sprawę koroner miał jeden powód do żalu. Ponieważ po tragedii na Tamizie (20 sierpnia 1989 r.) rodziny ofiar głośno krytykowały pełne autopsje swoich bliskich – w ich mniemaniu niepotrzebne, skoro przyczyna zgonu w każdym przypadku była taka sama: zderzenie wycieczkowca z bagrem – w 2005 r. po zamachu bombowym w Londynie zabroniono nam wykonywania pełnych autopsji. Mieliliśmy tylko zidentyfikować ciała. Jeżeli już otwieraliśmy zwłoki, to tylko po to, aby obejrzeć pęcherzyk żółciowy i wyrostek robaczkowy, gdyż ich obecność lub nieobecność mogła pomóc w identyfikacji.

W późniejszym czasie podniosły się niespotykane głosy krytyki, wskazujące, że pogotowie zbyt opieszale podejmowało rannych. Tymczasem załogi karettek mają zakaz zapuszczania się do strefy zagrożenia. W tym przypadku, ponieważ istniało ryzyko, że bomb jest więcej, zespoły ratowników musiały czekać, zanim zezwolono im udać się w rejon zamachu. Krytyka przeszła w oskarżenia mówiące, że opieszałość przyczyniła się do części zgonów. Padły słowa o tym, że prawnicy rodzin ofiar wystąpią o odszkodowania do pogotowia ratunkowego. My, patolodzy, z wielkim trudem odpowiadaliśmy na pytania koronera oraz krewnych ofiar, którzy chcieli ustalić dokładną przyczynę śmierci – w końcu nie pozwolono nam przeprowadzić pełnych autopsji!

Wyniosłem z tego naukę. Ileś lat później byłem zaangażowany w sprawę taksówkarza nazwiskiem Derrick Bird, który w Kumbrii wpadł w szal zabijania. (...). Wywierano na mnie naciski, abym nie przeprowadzał pełnych autopsji, skoro przyczyna śmierci ofiar szaleńca jest znana. Jednakże ja, mając w pamięci londyński zamach z 2005 r., nie uległem presji. Każde ciało zostało najpierw poddane badaniu rezonansem magnetycznym, a następnie pełnej autopsji. W związku z tą sprawą nie podniósł się ani jeden głos krytyki pod adresem sposobu działania służb ratowniczych.

Fragment książki dr. Richarda Shepherd *Niewyjaśnione okoliczności. Życie i wiele śmierci czołowego brytyjskiego lekarza medycyny sądowej*, przekład Urszula Gardner, Insignis Media, Kraków 2018

KSIAŻKI

Jestem obywatelem Unii Europejskiej
redakcja naukowa Roman Kuźniar
Wydawnictwo Naukowe Scholar
Warszawa 2019



Bycie Polakiem, obywatelem Unii Europejskiej ma wiele zalet, z których nie zawsze zdajemy sobie sprawę – zwraca uwagę prof. Roman Kuźniar. Polacy powinni mieć zatem świadomość obecnych zagrożeń dla swojego statusu, nie tylko tożsamościowego, lecz także obywatelskiego. Nasza wolność, bezpieczeństwo, rozwój są nieodłącznie związane z przynależnością do rodziny narodów europejskich. Nie możemy pozwolić, aby demony przeszłości zniszczyły europejskie marzenie. A Olgierd Łukaszewicz, założyciel Fundacji My Obywatele Unii Europejskiej, która zainicjowała wydanie tej książki, przypomina niedawny przecież czas, gdy przekraczanie granic w drodze do państw zachodniej Europy było upokorzeniem. Potem była radość z dołączenia do Unii Europejskiej i niestłuchany rozwój cywilizacyjny. Natomiast dziś proponuje się nam Polskę jako samotną wyspę. Mówi się, że poszerzenie świata, otwarcie granic nie jest nam potrzebne. Dlatego należy bronić Unii.

Eugeniusz Januła
Walki o polski Śląsk w 1939 roku
Aspra-JR, Warszawa 2019

Kolejna książka dr. Eugeniusza Januły, pułkownika rezerwy, poświęcona jest wojennym i politycznym aspektom obrony polskiego Śląska we wrześniu 1939 r. przez Armię „Kraków”. Autor stawia tezę, że obrona „Obszaru Warownego” Śląska została zaskoczona manewrami sił niemieckich na flankach polskiej armii. I już w drugim dniu wojny zmuszona do wycofania. Co było początkiem naszej klęski we wrześniu. Książka Januły jest oparta na bardzo wielu materiałach źródłowych, monografiach, relacjach, artykułach. Także niemieckich. Prawdziwa gratka dla koneserów.





2. 1. miejsce w kategorii Współczesne problemy reportaż. „Błogosławiony owoc. Irlandzka walka o obalenie prawa antyaborcyjnego”, Olivia Harris. 25 maja 2018 r. społeczeństwo opowiedziało się za złagodzeniem przepisów aborcyjnych. Teraz aborcja przed 12. tygodniem ciąży jest legalna i bezpłatna.



Bez retuszu



1. 2. miejsce w kategorii Współczesne problemy reportaż. „(Od)rodzenie”, Catalina Martin-Chico, Panos. Po rozjemie między rządem Kolumbii a FARC wśród byłych partyzantów zapanował *baby boom*. Wcześniej od kobiet wymagano oddawania dzieci pod opiekę rodzinie, a nawet aborcji. Nz. Yorladis w szóstej ciąży. Pięć poprzednich usunęła.

3. 1. miejsce w kategorii Środowisko zdjęcie pojedyncze. Brent Stirton, Getty Images. Akashinga (Odważni) to oddział strażników walczących z kłusownictwem. Nz. Petronella Chigumbura biorąca udział w szkoleniu w rezerwacie Phundundu w Zimbabwie.

4. 1. miejsce w kategorii Natura reportaż. „Sokoły i wpływ arabski”, Brent Stirton, Getty Images dla „National Geographic”. Praktykowane od tysięcy lat sokolnictwo przeżywa renesans. Hodowla sokołów pozwoliła zmniejszyć handel dzikimi zwierzętami, także gatunkami zagrożonymi.

5. 1. miejsce w kategorii Współczesne problemy zdjęcie pojedyncze. „Kubańczycy”, Diana Markosia, Magnum Photos. 15. urodziny w kulturze latynoskiej to wejście kobiety w dorosłość. Nz. jubilatka fetowana przez mieszkańców swojej dzielnicy.

6. Zdjęcie Roku World Press Photo 2019. „Płacząca dziewczynka na granicy”, John Moore, Getty Images. Po wprowadzeniu przez USA polityki zerowej tolerancji dla nielegalnej imigracji zaczęły napływać informacje o rozdzielaniu złapanych rodzin. Nz. dwuletnia Yana i jej matka Sandra Sanchez podczas przeszukania przez patrol graniczny. Ojciec Yany wyjaśnił, że nie została odebrana matce.



FUNDACJA JOLANTY KWAŚNIEWSKIEJ
Porozumienie Bez Barier

Czy całe **MOJE ŻYCIE**
nie jest godne Twojej uwagi?

PRZEKAŻ 1% KRS 0000167578

NA PROGRAM **"OSWAJANIE STAROŚCI"**

Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej „Porozumienie Bez Barier”

Codzienne życie wysłanników władzy

Wyraźnie widać, że w polskiej dyplomacji obowiązuje hasło „cała naprzód”.

Wprawdzie ambasador w Berlinie Andrzej Przyłębski jest traktowany w kraju urzędowania z dystansem, ale uczestniczy w różnych imprezach. A jak uczestniczy, to także mówi. Miesiąc temu w Lipsku, podczas panelu na Konferencji Europejskiej 2019, mówił telewizji MDR, że „rząd PO w ciągu ośmiu lat prawie zrujnował kraj” i że polskie media publiczne to przykład wolności i pluralizmu. Cóż, przyjęto to z sarkazmem. A złośliwi skomentowali: „Przyłębski znów donosi”.

Stara się też ambasador w Izraelu Marek Magierowski. Opublikował na Twitterze film sprzed dziewięciu lat o katastrofie smoleńskiej. Film został opatrzony napisami hebrajskimi i polskimi. Jak się domyślamy, polskie są dla widzów (a raczej widza) w Warszawie.

Aktywny jest również nowy ambasador w Kijowie Bartosz Cichocki. Systematycznie ogląda audycje historyczne w ukraińskiej telewizji i je gromi. Ostatnio zaatakował za banderyzm autora pierwszej ukraińskiej pracy o Katyniu i przy okazji obwinił Ukrainę za zbrodnię katyńską. Wierzymy, że z rozpędu, ale...

W każdym razie, gdy Bartosz Cichocki wyjeżdżał do Kijowa, władze argumentowały, że posyłają tam fachowca, który mając umocowanie w Warszawie, będzie mógł prowadzić dynamiczną politykę. A tymczasem chłop siedzi przed telewizorem, ogląda programy i wyklóca się z dziennikarzami. Ciekawe, czy z przekonania, czy z chęci przypodobania się paru ważnym personom w Warszawie. Trudno to nazwać polityką. W każdym razie wiemy, czym nowy ambasador w Kijowie będzie się zajmował.

Inny rodzaj pisowskiej gorliwości zaprezentował wiceminister Konrad Szymański. On z kolei... nie uczestniczył. Otóż w Radzie UE ministrowie ds. europejskich mieli wysłuchać informacji Fransa Timmermansa o zagrożeniach dla państwa prawa i innych podstawowych unijnych wartości w Polsce oraz na Węgrzech. Wystuchać i debatować. Takie debaty to przewidziana w art. 7 Traktatu o Unii Europejskiej część postępowania, które w przypadku Polski wszczęła Komisja Europejska w grudniu 2017 r., a w przypadku Węgier – Parlament Europejski jesienią zeszłego roku.

Polska dyplomacja, czyli ambasador Andrzej Sadoś, mocno pracowała nad tym, żeby debaty o Polsce w programie obrad Rady UE nie było. Niestety, bez efektów. Wobec tego minister Szymański godzinę przed jej rozpoczęciem wyjechał na lotnisko i wrócił do Warszawy. – Wszystkie argumenty już wybrzmiały. Nie widzimy powodów, by to powtarzać – tłumaczył dziennikarzom. W ten sposób mogliśmy się dowiedzieć, jak PiS wybiera sobie debatę i negocjacje.

I jeszcze jedno – wagary wiceministra można tłumaczyć tym, że on i władza PiS liczą na inny, bardziej PiS przychylny układ sił w Parlamencie Europejskim i Komisji Europejskiej po majowych wyborach. Ale przecież ta wiara to ułuda – bo Niemcy i Francja z Unii nie znikną.

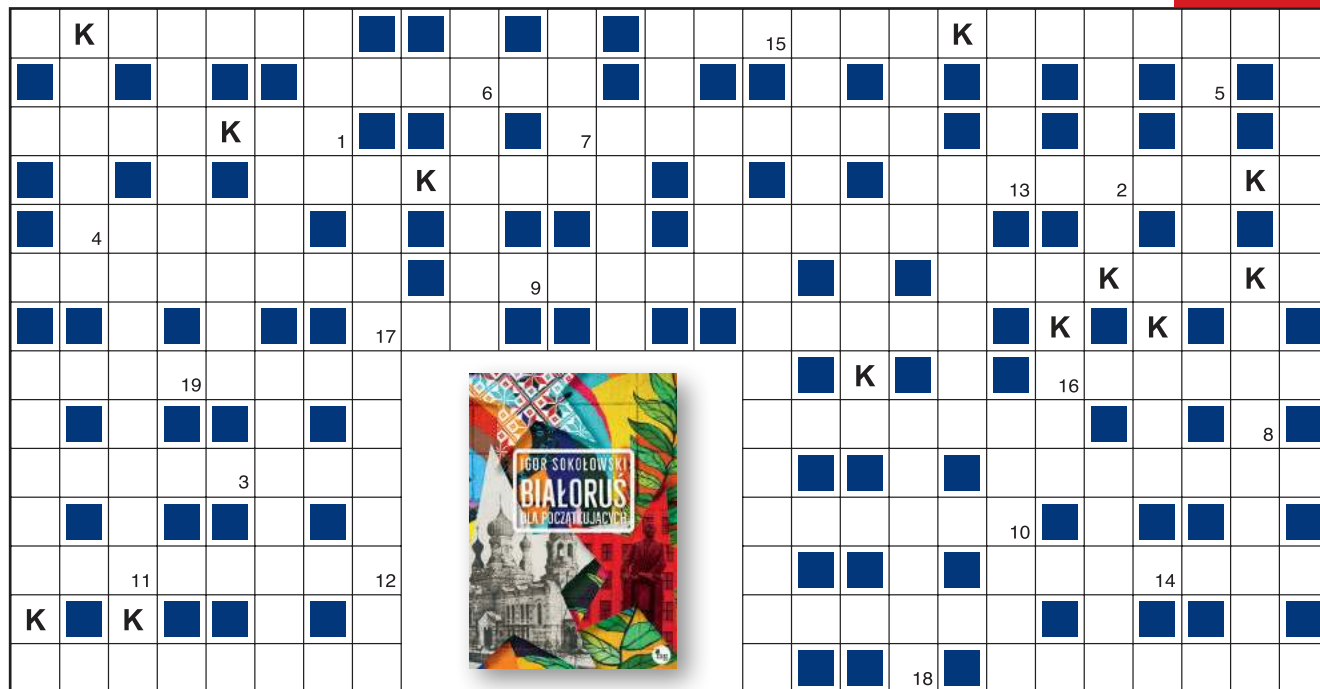
Dużo się mówi, że polska polityka zagraniczna ośmiesza nasz kraj, a ambasadorowie bardziej przejmują się tym, jak ich słowa i inicjatywy odebrane będą w Warszawie niż w kraju urzędowania.

Co było do udowodnienia.

Attaché

Tajlandzki śmigus-dyngus – z okazji buddyjskiego Nowego Roku, 11 kwietnia.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- dawniej o położniku
- prawy dopływ Jeniseju
- książniczka, która spadła z konia
- wygląd zewnętrzny, prezencja
- imię aktora, potem gubernatora Kalifornii
- biuro żołnierza dyplomaty w ambasadzie

- potocznie sprzedaż niehurtowa
- manifestacyjna pobożność
- genealogiczne – bez korony
- część, prefabrykat
- literacka to np. Młoda Polska
- dzielił się na cztery kwarty

- ...hystericus lub model Ziemi
- rzeka w Stargardzie
- państwo z Wielkim Nikobarem
- imię postanki Śledzińskiej-Katarasińskiej
- drapieżnik i marka aut
- z jego ikry czarny kawior
- czarny w stajni
- Kulczycki założył ją w Wiedniu po odsieczy
- prezes PZPN przed Bożkiem
- linia poligonalna
- wilk Zabiwaka podczas mundialu w Rosji
- oskarżycielska albo obrończa
- bierze prochy

- wodospad kanadyjsko-amerykański
- w sztuce lub rzeki
- jednomandatowy wyborczy
- rabat, bonifikata
- określone poglądy polityczne
- pisklę bielika
- medialny, pocztowy lub werbalny
- majowy z 1926 r.
- krótkofalowa do nadawania i odbierania sygnałów
- chleb z ciemnej mąki
- obsypuje się z żelastwa
- podnoszona i opuszczana w oknie
- lada chwila może się zawalić
- krótka łopata
- szatan Adam Cisowski Makuszyńskiego
- żar, spiekota

- narodowość prezydent Zuzany Čaputovej
- do łączenia dwóch wałów: napędowego i napędzanego
- stos, piramida
- ogólnopolski nauczyciel od 8 kwietnia
- ...pułku, czyli młodociany żołnierz
- może być stołu albo wszystkiego
- zielony kamień szlachetny
- zastępuje pieniądze w grach hazardowych
- przemoczy do suchej nitki
- ze stolicą w Montevideo
- przyjaciel Old Shatterhanda
- biegnąć dzięki doświadczeniu
- bruzda na twarzy

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-905”. Do rozlosowania książki „Białoruś dla początkujących” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 22 kwietnia 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-902” z 31 marca: *Do życia potrzeba odwagi.*
Nagrody otrzymują: Grażyna Dziółko z Kielc, Joanna Kochańska z Krakowa, Lubomira Softys z Bolesławca.

PENETRACJE

odra

PROF. ADAM CHMIELEWSKI,
FILOZOF, UNIWERSYTET
WARSZAWSKI

Bezwstyd stał się wręcz przepustką do polityki, w Polsce i gdzie indziej. Bezwstydne zachowania i czyny polityków, upowszechniane przez media, stają się przykładem wyzwalającym bezwstyd w działaniach innych ludzi. Wszechogarniające upolitycznienie naszego życia sprawia, że polityczna nikczemność odbija się głośnym echem w sferze społecznej i prywatnej. Sporą winę za upowszechnienie takich postaw ponoszą także dziennikarze, choć zarazem wielu z nich ujawnia polityczną nikczemność, skrywane przed okiem publicznym.

charaktery
magazyn psychologiczny

JACEK KRZYSZTOFOWICZ,
TEOLOG
I PSYCHOTERAPEUTA

Mając teraz prawie 50 lat i patrząc wstecz na swoje życie, żałuję, że tyle się uczyłem. Nie tego, że wybrałem takie, a nie inne szkoły i że je ukończyłem. Żałuję czasu poświęconego na czytanie książek, które mnie nudziły, i uczenia się rzeczy, które w ogóle

mnie nie interesowały, ale których się uczyłem, bo stopnie były dla mnie najważniejszą rzeczą w życiu. Dziś mogę z całą pewnością powiedzieć, że większość tego, czego się uczyłem (zawsze na piątkę), do niczego w życiu mi się nie przydała i już chyba do niczego się nie przyda. Szkoła jest najważniejsza. Nauka jest najważniejsza. To prawda, tylko dla kogo: dla mojego dziecka czy dla mnie?

PANI

GRZEGORZ RELIGA,
KARDIOCHIRURG

Kiedy ojciec zachorował na nowotwór, nie robił z tego tajemnicy, wiadomo było, na co jest chory i jakie jest rokowanie. Ale też nie prowadziliśmy długich rozmów, to nie było potrzebne, bo jako lekarze doskonale wiedziliśmy, co się dzieje. Paroma rzeczami ojciec mi wtedy zaimponował. Był jedną z pierwszych ważnych osób w kraju pełniących oficjalne funkcje, które wyszły do ludzi i publicznie powiedział: „Zmagam się z chorobą”. To wymagało odwagi. Powiedział mi: „Jak umrę, to nic się nie wydarzy, niewiele się zmieni. Po prostu nie będzie mnie w jeszcze jednym miejscu”.

Aby język giętki...

KATARZYNA HERMAN
O ANNIE ZALEWSKIEJ

Zawsze z naciągniętym jak Joker uśmiechem i spojrzeniem, które nigdy nie zdradza myśli i emocji.

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ
O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE

Głupiutka megalomania i tendencyjna ignorancja.

DR JAROSŁAW FLIS
O OCZEKIWANIACH WYBORCÓW

Od władzy oczekują spokoju i stabilizacji, a nie konfliktu i walki.

PROF. MAREK BELKA O BEACIE SZYDŁO

Gdyby знаła angielski, być może w rozmowach kuluarowych dowiedziałaby się, że grozi jej kompromitacja 1:27.

ANDRZEJ SKWORZ
O KRZYSZTOFIE ZIEMCU

Zniknął z „Wiadomości” i pewnie niebawem dowiemy się, że z najgorszym programem w historii mediów po 1989 r. nie miał nic wspólnego.

KRZYSZTOF SKIBA
O WOJCIECHU CEJROWSKIM

W najnowszej podróży dotarł na bosaka do szamba i odkrył, że ma tam dobrze.

AGNIESZKA DYGANT O URODZIE

Zawsze chciałam być taka jak Sophia Loren. Wyszło w połowie.

EWA KASPRZYK O PRACY AKTORKI

Miewam czasem wrażenie, że nie robię niczego użytecznego. Mogę jedynie mówić tysiącami zdań za kogoś, kto nie jest mną.

MARCIN DOROCIŃSKI O SOBIE

Jestem chłopakiem z małej wsi. Mój pierwszy zawód to technik obróbki skrawaniem.

ODETA MORO O PARTNERZE KONRADZIE

Zastanawiam się, jak mi się udało znaleźć takiego starego kawalera. Pierwszy raz w życiu spotkałam mężczyznę, który chwycił mnie mocno i nie puścił.

JACEK BRACIAK O ROMANTYCZNOŚCI

Ja już byłem romantyczny. Ja chcę mieć święty spokój ze sobą samym.



Przeciwności się przyciągają? Islandzki aktor Hafthor Bjornsson z żoną oraz amerykańscy komicy Murray Hill i Bridget Everett na premierze ósmego sezonu „Gry o tron” w Radio City Music Hall w Nowym Jorku.

A od techno stonki zdechną?

Gatunek muzyki elektronicznej zwany dubstepem może być punktem wyjścia do rozwoju nowych metod ochrony przed chorobami roznoszonymi przez owady – ogłosili naukowcy. Odtwarzanie utworu „Scary Monsters and Nice Sprites” Skrillekksa, łączącego bardzo wysokie i niskie tony, sprawia m.in., że samice komara egipskiego rzadziej kęsają i mają obniżone libido. Sprawa wymaga dalszych badań, ale już teraz warto zabierać ze sobą na wakacje porządny głośnik.

Próbuje pieskiego życia

37-letni Anglik Kaz James twierdzi, że od dzieciństwa czuł w sobie psi pierwiastek, co przejawiało się m.in. okazjonalnym witaniem znajomych szczekaniem. Kiedy poznał inne osoby o podobnych upodobaniach, postanowił pójść kilka kroków dalej. Obecnie w ludzkiej postaci można go spotkać jedynie w pracy – jest kierownikiem sklepu. Po powrocie do domu zakłada specjalny psi strój, je prosto z miski i wyleguje się na kanapie. Zapewne we wszystkich trzech dziedzinach zdobył już imponujące know-hau.



Za braci się płaci

Żaden z bliźniaków jednojajowych nie chciał się przyznać do ojcostwa dziecka będącego owocem krótkotrwałego romansu z pewną mieszkanką miasta Cachoeira Alta w brazylijskim stanie Goiás. Podczas procesu w tej sprawie matka dziecka nie była w stanie rozpoznać, który był jej partnerem, a testy DNA z oczywistych powodów nie mogły rozstrzygnąć wątpliwości. W tej sytuacji sędzia Filipe Luis Peruca wydał salomonowy wyrok: zarówno Fabricio, jak i Fernando zostali wpisani do aktu urodzenia dziewczynki i zobowiązani do płacenia alimentów.

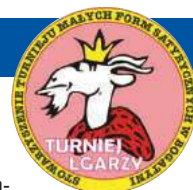
Skazany na brak bąbelków

Mieszkaniec Hawajów, 21-letni Christopher Montilliano, został przyłapany w cudzym samochodzie, na dodatek bez prawa jazdy. Skłamał, że auto pożyczył mu kuzyn, oraz wyjaśnił, że jechał pilnie kupić pepsi, którą

MEMY BEZ ŚCIEMY



Najlepsi satyrycy



W konkursie na prezentację sceniczną jury 36. Ogólnopolskiego Turnieju Małych Form Satyrycznych w składzie: Artur Skrzęta – przewodniczący, Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych,

Natalia Grzeszczyk – RMF Classic, Bożena Mazowiecka – dyrektor Bogatyńskiego Ośrodka Kultury, Marlena Justyńska – Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych, Jan Tomków – Telewizja Regionalna TVT ze Zgorzelca i Henryk Izydorczyk – Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych, postanowiło przyznać:

- **Tytuł Króla Łgarzy A.D. 2019, nagrodę w wysokości 5 tys. zł** ufundowaną przez burmistrza miasta i gminy Bogatynia oraz statuetkę Kozła autorstwa prof. Piotra Gawrona z ASP w Warszawie ufundowaną przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego – zespołowi Kwiatkowski i Bank z Krakowa.

- **Nagrodę publiczności w kwocie 3 tys. zł** ufundowaną przez Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych i statuetkę Szczupłego Andrzeja ufundowaną przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego, a także II nagrodę finansową w wysokości 1 tys. zł ufundowaną przez Telewizję Regionalną TVT ze Zgorzelca – Szymonowi Łątkowskiemu z Poznania.

- **Wyróżnienia po 1 tys. zł** ufundowane przez Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych – Magdzie Kubickiej z Warszawy i Bartoszowi Gajdzie z Pszczyny.



Groźni mogą być niegroźni. Pracownicy rezerwatu Big Cypress na Florydzie z pięciometrową samicą pytona i chłopak z Bazoulé w Burkina Faso, który bez lęku dosiada krokodyla.

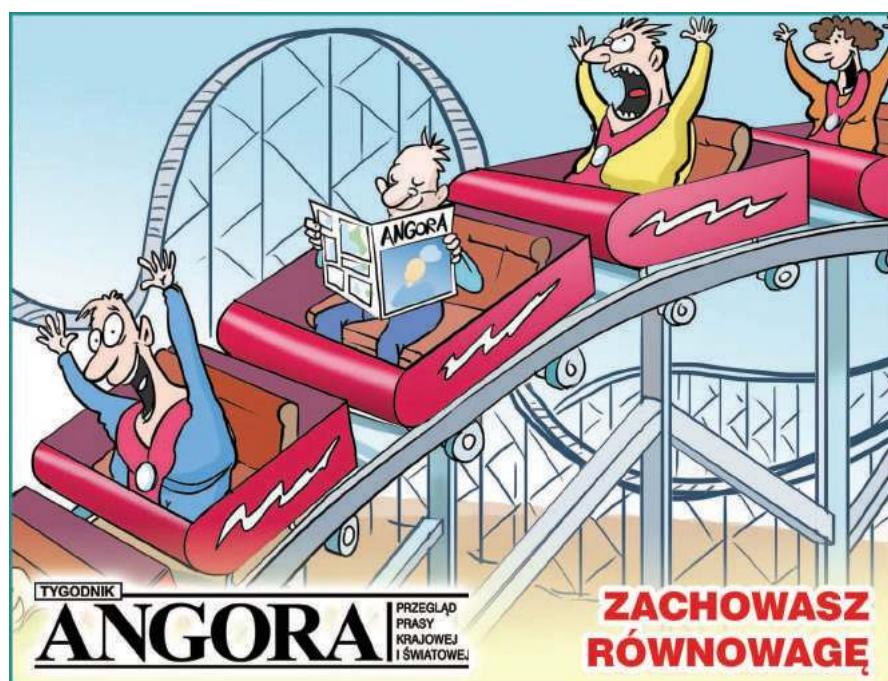
uwielbia. Sędzia skazała chłopaka na prace społeczne i grzywnę, a dodatkowo stanowczo upomniała go, by przez czteroletni okres próbny unikał wspominanego napoju. Jej zdaniem wykazuje on objawy uzależnienia, grożące ponownym wejściem na drogę przestępstwa.

Kruk krukowi pęta nie zwinie?

Holenderski start-up Crowded Cities opracował model karmnika, który wydzieli krukowi orzeszki w zamian za wrzucane do wnętrza niedopałki papierosów. Zdaniem konstruktorów odpowiednio wytrenowane ptaki mogą pomóc miastom uporać się z problemem wszechobecnych petów, które rozkładają się przez wiele lat. Powstaje jedynie pytanie, czy skrzydlaci sprzątacze nie przypłacą zdrowiem nowej pracy, niedopałki zawierają bowiem sporo toksyn.

Tydzień to nie urlop

Badacze z holenderskiego Uniwersytetu im. Radbouda wzięli pod lupę jakże ważną kwestię urlopów. Obliczyli m.in., że najlepiej czujemy się w ósmym dniu wakacji, co oznacza, że najlepiej wyjeżdżać na dłużej niż tydzień. Niestety, okazało się także, że w ciągu pierwszego tygodnia po powrocie do pracy nasze samopoczucie wraca do poziomu sprzed urlopu bez względu na to, jak długo on trwał i jak go spędziliśmy. Sprawa wymaga dalszych badań, a ochotników raczej nie zabraknie.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 **wew.** 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socza (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzyktor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 **wew.** 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 **wew.** 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPL, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Galeria w zaułkach

Wymierające budynki starej zabudowy na warszawskiej Pradze ożywione dziełami bezimiennych twórców ulicznej sztuki — w obiektywie Krzysztofa Żuczkowskiego, fotoreportera PRZEGŁĄDU.





DZIEŃ Z ŻYCIA WSPÓŁCZESNEJ 40-LATKI

PEWNEGO DNIA

REŻYSERIA ZSÓFIA SZILÁGYI („DUSZA I CIAŁO”)

„INTENSYWNY”
Variety

„NIESPOTYKANE DOŚWIADCZENIE”
Hollywood Reporter

„POTĘŻNY”
Screen International

W KINACH OD 26 KWIETNIA



NATALIE PORTMAN
VOXLUX

W KINACH 26 KWIETNIA

cojestgrane24

wysokie obcasy



AKTIVIST



polki.pl

empik



zwierciadło

sens

MY COMPANY

KOBIETA

Gala

STRÖER